



Nazwa instytucji

Książnica Cieszyńska

Tytuł jednostki/Tytuł publikacji

Z dziennika kapelana wojskowego : 1914-1918 / Dominik Ścisła.

Liczba stron oryginału

340

Liczba plików skanów

340

Liczba plików publikacji

341

Sygnatura/numer zespołu

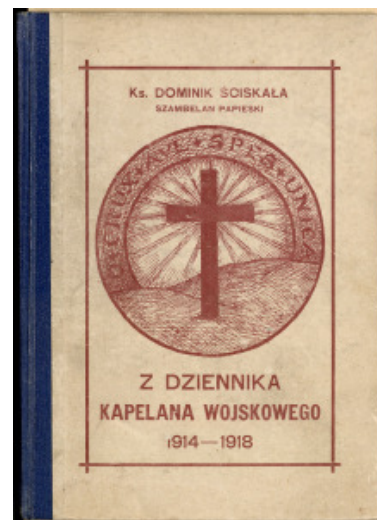
C I 034222

Data wydania oryginału

1926

Zdigitalizowano w ramach projektu pt.

**Udostępnienie cieszyńskiego dziedzictwa
piśmienniczego on-line**



Fundusze Europejskie
Program Regionalny



Śląskie.

Unia Europejska
Europejski Fundusz
Rozwoju Regionalnego

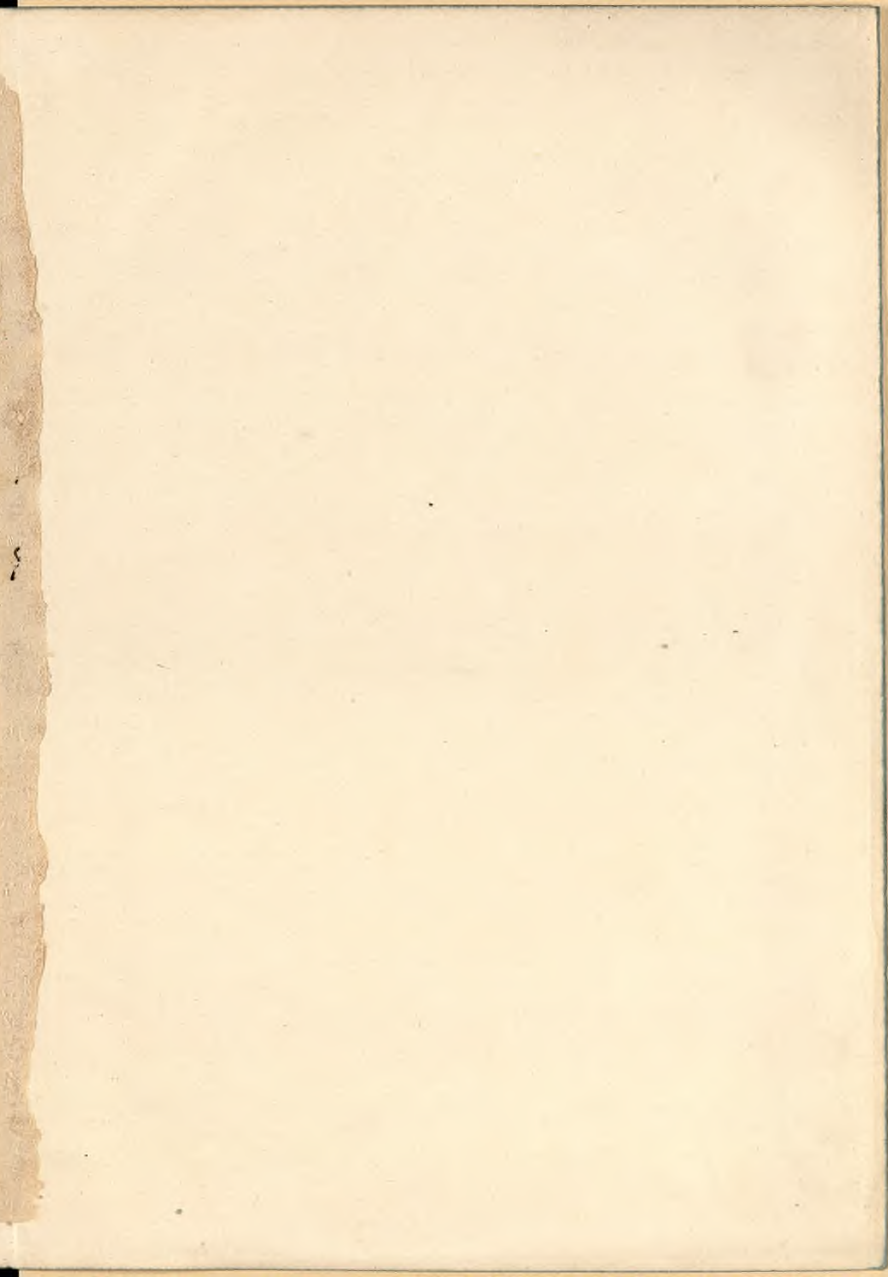


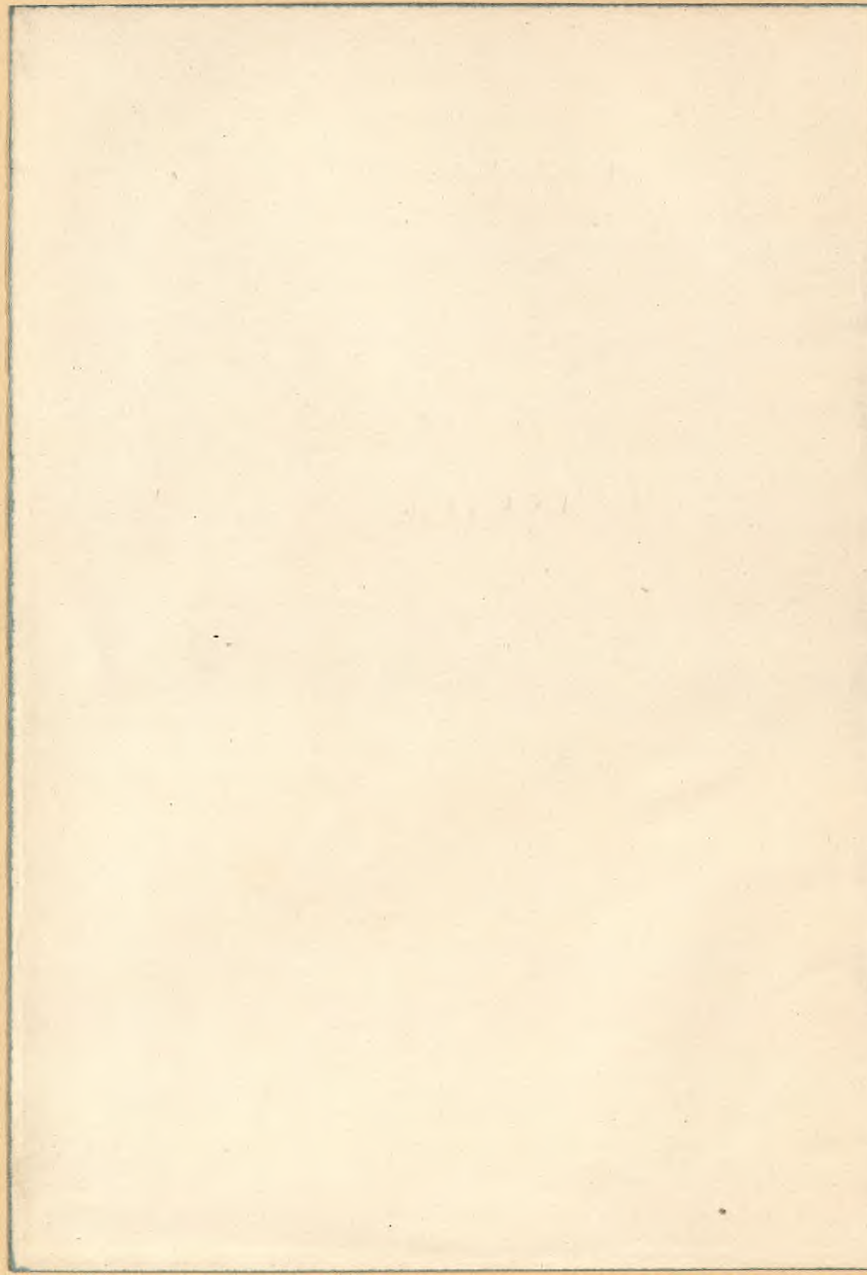
Ks. DOMINIK ŚCISKAŁA
SZAMBELAN PAPIESKI



Z DZIENNIKA
KAPELANA WOJSKOWEGO
1914 — 1918







Ks. DOMINIK ŚCISKAŁA
SZAMBELAN PAPIESKI

Z DZIENNIKA KAPELANA
WOJSKOWEGO
1914 — 1918



CIESZYN 1926
NAKŁADEM AUTORA

25:2925C

C.0342221

Katowice, dnia 20. stycznia 1926.

Biskup śląski.

L. 52/26



Przewielebny

Ks. Szambelan Papieski

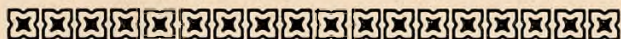
Dominik Ściskala

w Wierzbniku.

W myśl can. 1304. i 1385. zezwalamy niniejszem na wydanie w Cieszyńsku książki »Z Dziennika Kapelana Wojskowego«.

Cenzor
ks. Kudera.

Wikariusz Generalny
r. p.
ks. Szramek.



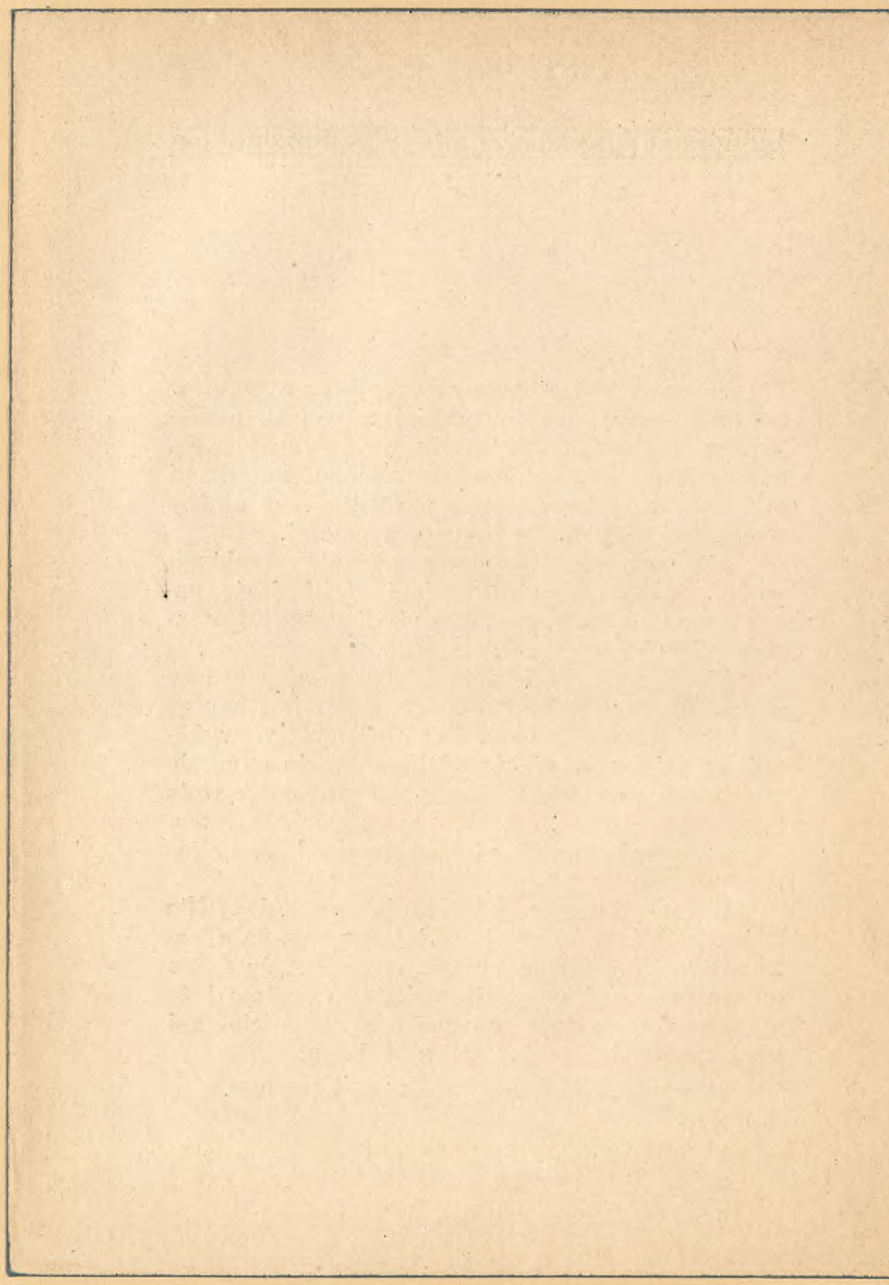
W czasie wojny drukowałem szereg artykułów na temat pracy duszpasterskiej w wojsku a głównie w szpitalach. Zachęcony przez znajomych, uzupełniłem rzeczy już drukowane notatkami z dziennika, prowadzonego w czasie mej służby wojskowej i wydaję je obecnie w całości.

Nie mam zamiaru przedstawienia przebiegu wojny. Są to raczej refleksje i myśli, jakie nasuwały mi się wobec różnych zjawisk i zajęć w latach wielkiej wojny.

Nie brałem udziału w nadzwyczajnych rzeczach, jak inni, więc też to, co piszę, jest bardzo zwykle i bardzo proste. Chciałbym tylko wykazać, że ksiądz katolicki miał wszędzie w czasie wojny tyle przepięknej pracy nad duszami, że nie było wcale czasu a przedewszystkiem ochoty »na błogosławienie armat ani karabinów« i nigdy też tego nie robił.

Wojna niszczyła, wywracała wszystko. Nie zmieniła jednak duszy ludzkiej, owszem dała nawet więcej, niż kiedykolwiek, dowodów, że dusza ludzka zawsze i wszędzie tęskni za Bogiem i że nigdzie nie znajduje prawdziwego szczęścia, ani ukojenia, pociechy, jak tylko w Bogu.

Wierzbnik-Starachowice, 20. października 1925.



1914

110

J a b ł o n k ó w *), 3. sierpnia 1914.

Wojna światowa wybuchła.

Przepowiadano ją, oczekiwano z obawą i bojaźnią. Dziś sroży się, sieje zniszczenie, targa szczęście rodzin, jednostek, narodów, dzieli ludzkość na dwa olbrzymie wrogie obozy.

U nas w Jabłonkowie pierwszym widonym znakiem poważnej sytuacji była wiadomość o ogłoszeniu ogólnej mobilizacji, wywieszona w oknie na poczcie o godz. 3.30 po południu dnia 31. lipca. Zaroilo się odrazu na rynku. Potworzyły się grupy, żywo omawiające doniosłość chwili. Przeważali mężczyźni. Każdy zdawał sobie sprawę, że sytuacja groźna. Wszystkich ogarnął dziwny lęk przed czemś niezwykłym, wielkim a groźnym. Zapału, o jakim donoszą gazety z kilku miast, u nas nie było i niema.

Wieczorem nabożeństwo w kościele z racji oktawy św. Anny. Ks. proboszcz polecił rozdać obecnym krzyże i urządził samorzutnie procesję na rynek do statuy Matki Boskiej. Wśród bicia dzwonów, blasku świec i bicia serc szła procesja

*) Jabłonków na Śląsku Cieszyńskim, dziś po czeskiej stronie.

coraz liczniejsza, by prosić o odwrócenie wojny, tego największego nieszczęścia, by polecić Bogu i Matce Najświętszej tych, co muszą iść na wojnę. — Modlitwy odmawiano wśród ogólnego płaczu i szlochu.

Następnego dnia oświetlono w czasie procesji wszystkie okna na rynku, nawet żydowskie.

Od 1. sierpnia niebywały natłok w kościele i u konfesjonałów. Spowiadają się całe gromady mężczyzn, odchodzących do wojska. A wieczorem do późnej nocy dolatują do miasta modlitwy i śpiewy od przydrożnych krzyżów i kaplic. Wojna uczy ludzi modlitwy.

W niedzielę, 2. sierpnia odeszli na wojnę zmobilizowani. Rano o godzinie 6-tej odprawił dla nich ks. proboszcz Waschitza Mszę św. Po Mszy przemówił bardzo serdecznie wśród ogólnego płaczu i zawodzenia. To wielkie i niezwykle chwile, kiedy całe tłumy płaczą — tego się nie zapomina.

Potem odprowadził ks. proboszcz wszystkich w procesji na kolej. Z pieśnią na ustach, w otoczeniu najbliższych szli na wojnę.

Sam przy tem nie byłem, bo byłem zajęty w kościele Sióstr Elżbietanek z racji odpustu Matki Boskiej Anielskiej. O godz. 7. rano odprawiłem Mszę św. z nauką a potem miałem kazanie na sumie. Widziałem tylko przelotnie szykujących się na rynku do pochodu na dworzec, a już z kościoła słyszałem, jak maszerowali z muzyką koło klasztoru.

Ofiarowałem ich całym sercem Panu Bogu.

W czasie kazania przechodził koło kościoła nowy oddział powołanych do wojska. Nie mogłem

nie poruszyć tego tematu, krwawiącego tyle serc dzisiaj. I była chwila, kiedym nie mógł dalej mówić. Słowa więzły mi w gardle, słysząc było tylko szloch ludu, zebranego w kościele w dzień Królowej Anielskiej.

Po południu koło godziny 3-ciej jechali wezwani do wojska z Istebnej, Jaworzynki i Koniakowa. Jeden wóz za drugim. W każdym po kilka osób, kobiety i dzieci, odprowadzające mężów i ojców. Przed kościołem Elżbietanek wozy przystawały, mężczyźni wychodzili i całowali krzyż, stojący u wejścia do kościoła. Żegnali się ze wszystkim.

Pod wieczór poszedłem w stronę dworca. Przed dworcem na drodze pełno chłopstwa. Jedni po wojskowemu, drudzy jeszcze w ubraniu cywilnem. Siedzieli lub kręcili się beczynn timeradnie, czekając na pociągi, które ich mają dalej zabrać. I to już tak od rana i nie mają pojęcia, co będzie dalej. Na pierwszy rzut oka widać niezdarność i brak planu. Wrażenie ogólne przykre i niekorzystne. Ogłoszono mobilizację. Każdy rzuca wszystko, zrywa najdroższe węzły, pozostawia bliskich na łasce losu, musi iść na wojnę w przeciągu jednej doby pod grozą surowej kary, a teraz skazany na beczynność. Nieszczególna prognoza.

J a b ł o n k ó w, 5. sierpnia 1914.

Wobec ogłoszeń, że od 4. sierpnia zostanie ograniczony ruch kolejowy, wyjechałem przedwczoraj do Opawy, by tam odwiedzić matkę w le-

cznicy, zanim ruch na kolejach ustanie. W Cieszynie, gdzie okiem sięgnąć, pełno rezerwistów. Kręcą się od kilku dni bezczynnie, ci, co mają bliżej, chodzą do domów i wracają rano na punkty zborne. W mieście zapchane wszystko, koszary, szkoły; rezerwiści nocują pod gołem niebem. — Mówią, że protestanci oddali z szerokim gestem swój kościół do dyspozycji wojskowości. Jednak żalują tego, bo dzieją się tam nadużycia i rzeczy niewłaściwe. Na kolei, po dworcach silne straże wojskowe, w Cieszynie na dworcu cały kordon, głównie na to, by powstrzymywać krewnych, żegnających rezerwistów.

W Boguminie, Ostrawie panie i dziewczęta noszą kotły z wodą i herbatą dla żołnierzy, jadących w stronę Krakowa. Między Boguminem a Ostrawą spotyka się całe szeregi pociągów wojskowych — jeden po drugim. Głównie konnica. Pociągi osobowe przepelnione. Kto może, wraca do domu przed ograniczeniem ruchu kolejowego. — Transporty wojskowe pełne krzyków, entuzjazmu; najbardziej ożywieni Wiedeńczycy. Jadą z harmonijkami, śpiewem i okrzykami. Na wagonach różne napisy, głoszące pewność rychłego zwycięstwa.

J a b ł o n k ó w, 11. sierpnia 1914.

Na kolejach ruch. Jeden pociąg za drugim, treny, armaty, samochody, konnica, kuchnie polowe. Ruch zaś osobowy bardzo ograniczony. Na linii Koszyce-Bogumin kursuje pocztowy pociąg wojskowy, jedzie powoli jak zwyczajny pociąg ciężarowy, z Jabłonkowa do Bogumina blisko 5 go-

dzin. Jedna para pociągów na dobę. Jechać może tym pociągiem tylko ten, kto jest zaopatrzony w specjalną legitymację Starostwa i jedzie w interesie wojska lub w sprawach publicznej natury. Wydawane są te legitymacje bardzo niechętnie. W Cieszynie w Starostwie widnieje ogłoszenie: »Legitymacji kolejowych nie wydaje się«, wobec tego ruch kolejowy prawie ustaje. Trzeba siedzieć w domu. Jest jeszcze jeden pociąg ciężarowy, wyjeżdża z Jabłonkowa o godz. 5. rano, a wraca z Cieszyna o godz. 7.30 wieczorem. Niema w nim obowiązku legitymowania się, ale jedzie się w wagonach bydłych lub też w węglarkach odkrytych, co wcale do przyjemności nie należy.

W każdej miejscowości po kilka posterunków wojskowych na drogach i mostach, trzeba się ciągle legitymować. Wszędzie węszy się szpiegów. Pełno pogłosek krąży o różnych Rusach przebranych, wiozących pieniądze złote i t. d.

Nad wszystkim zaciążyła ręka militaryzmu. Wszyscy czekają jakichś wiadomości. Poczcie przywożą codzien koło godziny 2. po południu. Wtedy budynek pocztowy obleżony, każdy ciekaw, jak ta wojna wygląda, co się o niej pisze. Szczególną wziętością cieszy się »Morgenzeitung«, drukowana w Mor. Ostrawie, ma najświeższe wiadomości. Dotychczas poza doniesieniami o entuzjastycznych manifestacjach na rzecz wojny brak wszelkich wiadomości. Daje się odczuć brak drobnych pieniędzy niklowych i pojedynczych koron, które gdzieś poznikaly. Przychodzą ludzie z papierowemi dwudziestokoronówkami i nie mogą nic kupić, bo brak drobnych.

Wskutek ogólnego podniecenia żadna praca nie idzie, trudno się skupić, czemś zająć. Nastąpiło jakieś powszechne sparaliżowanie woli. — Wszyscy myślą o wojnie i zajmują się tylko tem, co ma związek z wojną, wszystko inne straciło swoje znaczenie i urok.

J a b ł o n k ó w, 29. sierpnia 1914.

Wypowiadanie sobie wzajemnie wojny stało się modą. Pierwsza wypowiedziała dnia 28. lipca Austrija wojnę Serbji. Potem Niemcy Rosji, Francji, Belgji, dalej Anglja Niemcom, Austrija Rosji, Czarnogórze i t. d. Już kilkanaście stron wojujących. Kotłuje się w Europie jak nigdy. — Do tego umarł Ojciec św. Pius X., apostoł eucharystycznego Chrystusa. Za kilka dni odbędzie się konklawe, wybór nowego papieża. Ciężkie będzie panowanie w takich burzliwych czasach.

Wróciłem z Krakowa. Jeździłem tam w sprawie Królewaków w Wiśle, którzy zaskoczeni wojną, nie mogli już wrócić do siebie, do Warszawy. Doszły mnie wiadomości, iż im ciężko, pobyt przedłuża się, a niewiadomo, kiedy się skończy, bo władze austriackie nie pozwalają im nigdzie wyjechać, uważając ich za podejrzanych »Rusów«. Mam między nimi dużo dobrych znajomych z czasów, kiedym jako wikarjusz w Ustroniu miewał nabożeństwa w Wiśle, postanowiłem zrobić dla nich, co w danych warunkach będzie możliwe.

Koleją na Goleszów, Ustron było trudno dojechać wobec szykan i różnych obostrzeń. Wybrałem się rowerem przez Piosek, Bukowiec, Istebnę,

Kubalonkę. Zatrzymałem się u pp. Leśniewskich i oświadczyłem gotowość przyścia z pomocą w formie, która w tych warunkach będzie najwięcej pożądaną. Na zebraniu w tej sprawie w sali »Pia-sta« pod przewodnictwem superintendenta p. Burschego wysunęła się na pierwszy plan kwestja przemiany rubli na korony. Wszyscy byli dość dobrze zaopatrzeni w pieniądze, ale nic za ruble kupić nie mogli i wytworzyła się bardzo przykra sytuacja, bo nikt rosyjskich pieniędzy przyjmować nie chciał. Dalej chodziło o zasięgnięcie języka, bo wiadomości wiślańskie były mocno cenzurowane i o dowiedzenie się o faktycznym stanie rzeczy, gdyż głoszone w gazetach pierwsze zwycięstwa na terenie Królestwa wydawały się tym, co znali poszczególne miejscowości, cokolwiek mętne i niejasne.

Pp. Leśniewskie uszyły woreczek na ruble, zebrałem bowiem kilka tysięcy i tak z niepokojącym skarbem, instrukcjami i notatkami różnemi pojechałem na Ustroń, Goleszów do Cieszyna rowerem, a z Cieszyna do Jabłonkowa koleją.

Dzięki znajomości z komisarzem starostwa cieszyńskiego Szalszą udało mi się wydostać pozwolenie »Reisebewilligung« na jazdę pociągiem wojskowym do Krakowa. Jazda strasznie powolna trwała w jedną stronę 23 godziny. W pociągu wszyscy zajęci wojną. Wszyscy dobrej myśli, są przekonani o rychłym zwycięstwie Austrjaków i w Serbji i w Rosji, niedługo padnie Paryż, bo Belgja z twierdzami Antwerpią, Leodjum, powalona, nastąpi rozejm, pokój i powrót zwycięskich wojsk do domu, jak powiedział cesarz Wilhelm, zanim

liść z drzew znacznie opadać, t. zn. w przybliżeniu w listopadzie.

Po drodze spotyka się transporty kolejowe wojskowe, wszystkie w jednym kierunku. Na wagonie z orkiestrą wojskową napis: »Następny koncert w Petersburgu!« Taka pewność siebie! Wszak lada dzień jak opowiadają ma paść Lublin. Rzadko kto wie, gdzie leży Lublin, wszystkim zdaje się już bardzo daleko gdzieś w Rosji, to samo jakiś Iwangrod. Rzuca się powszechnie nazwami miast, miejscowości, pełno tego w komunikatach naczelnego dowództwa, ale mało kto orientuje się, jak to daleko.

Kraków to jedno obozowisko. Nie widziałem dotychczas takich mas wojska. Wszystko w mundurze. Wstyd chodzić w cywilnem ubraniu. Taki nastrój wojenny. Na ul. Lubicz idą całe kompanje bardzo porządnie umundurowane w stronę Rakowic. Wszyscy pełni humoru, życia, na czapkach, w lufach karabinów kwiaty. Przechodnie stają i żegnają odchodzących różnymi okrzykami, jakby ci ludzie szli na ćwiczenia tylko.

Dnia 26. koło 9. rano na ulicach pełno chłopców z nadzwyczajnymi dodatkami różnych gazet. W każdej gazecie ogromny napis: Zwycięstwo pod Kraśnikiem! Pierwsze wrażenie niesłychane. Każdy przekonany, że już chyba Moskale pobici na głowę. Pierwsze zwycięstwo austriackie. Na domach wywieszono z tej racji sztandary. Entuzjazm ogromny, podniecenie niesłychane.

Następny dzień przyniósł jednak inne wieści, więcej autentyczne, bo całe pociągi rannych. Sa-

mochody rozwożą rannych z kolei do szpitali. Nastrój wczorajszy zmienia się cokolwiek — jak na ogromne zwycięstwo to trochę tych rannych, skierowanych do jednego Krakowa, za dużo. Wojna zaczyna odsłaniać powoli swe prawdziwe oblicze.

Okazuje się, że ze zmianą rubli nawet w Krakowie nie łatwo. Giełda nieczynna, nikt nie orientuje się, co ruble warte. Po kilku wędrówkach bezskutecznych zwróciłem się do red. Wojczyńskiego z »Głosu Narodu« o interwencję. Redaktor Wojczyński poszedł ze mną do Banku krajowego do dyr. Stefczyka i dopiero tam udało się w drodze wyjątku zmienić ruble po kursie 230 K za sto. Strata 20 koron na setce, ale wobec tych trudności i to dobre.

W ten sposób załatwiłem najważniejszą część swej misji. Dla zasięgnięcia języka poszedłem do dra Wicherkiewicza, prezesa Samarytanina polskiego o różne informacje i do dra Kiernika, który prowadzi biuro porady prawnej dla obywateli obcych państw. Tam pewność zwycięstw znacznie mniejsza, a zdobycie Warszawy przez Niemców i Austriaków, by moi wiślańscy przyjaciele mogli rychło wrócić do domu, mało prawdopodobne.

Miałem również polecenie odszukać krewnych względnie synów kilku gości wiślańskich w Strzelcu Polskim, do którego przekradają się młodzi entuzjaści ze wszystkich stron Polski, a nawet i z Anglii. Pierwszy oddział takiego wojska polskiego spotkałem na ul. Dunajewskiego. Rogatywki na głowie, mundury niejednolite dość lichy ale

polskie, nasze. Nareszcie choć takie, ale nasze! Śpiewali i szli jakoś inaczej niż wojsko austriackie. Tyle szczęścia, że dożyłem tej chwili! Musiałem mimowoli patrzeć na nich przez łyżki, na świadomość, że to znowu odżyło wojsko polskie, choć takie i w takiej chwili.

Poszedłem do głównej kwatery tego polskiego wojska w Oleandrach w parku Jordana. Jedni nazywali się tu Strzelcami, drudzy Drużynami, inni jeszcze Legionistami. Marnie wyglądała ta siedziba, marnie robi wrażenie. Moje poszukiwania nie mogły przydać się na wiele. O ewidencji nie mają tam pojęcia. Nazwiska ochotników, nawet tych, co już wyszli z Piłsudskim pod Kielce przed dwoma tygodniami, pozapisywane bardzo niedokładnie, na kartkach, świstkach zupełnie nieuporządkowanych. To robiło przykre wrażenie. Wszak tu chodzi o ludzi, będących własnością i dumą rodziców, kraju i nadzieją Ojczyzny. Za swe poświęcenie, zaprawdę zasługiwali na jakieś lepsze obchodzenie się z nimi, choćby w papierach. Chciałoby się bardzo, żeby to jakoś solidniej wyglądało.

Zdobywszy korony i wiadomości różne, wróciłem do Jabłonkowa. W niedzielę wyjechałem z kazaniem na odpust do Koniakowa, a potem po południu puściłem się furmanką przez Istebną koło zamku arcyksiążęcego i leśniczówki do Wisły. Przenocowałem u gościnnych zawsze pp. Leśniewskich w willi »Sokół« i na drugi dzień w sali »Piasta« odbyło się zebranie Królewaków, na którym dzieliłem się swymi wrażeniami. Z dyskusji zresztą bardzo powściągliwej, mogłem wywnioskować, że nie wierzą w rychłe zakończenie się wojny, że

przewidują rozwinięcie sił wojskowych Rosji i że tworzenie Legjonów jest dla wielu z nich objawem niepożądanym i krokiem nierozważnym. W każdym razie nie wierzą w siły austriackie.

Wróciłem wczoraj z tej wycieczki i nie żałuję trudów. To w zamian za ich pamięć stała o gimnazjum w Cieszynie, którego jestem wychowankiem. Na razie nie stać mnie na większy dowód wdzięczności.

J a b ł o n k ó w, 10. września 1914.

Wojna rozpoczęła się na dobre. Gazety pełne wiadomości o »zwycięstwach« na różnych frontach. Zdumiewające są wiadomości z frontów niemieckich w Prusach wschodnich i z Francji. Tam idzie wszystko piorunem i w niebywałych rozmiarach. Cokolwiek brzmią inaczej wiadomości, podawane przez sztab austriacki, n. p. 2. września: »W Galicji wschodniej: Lwów znajduje się jeszcze w naszym posiadaniu. Położenie naszej armji jest tam wobec silnie przeważającego liczebnie nieprzyjaciela bardzo trudne.« Po »zwycięstwach« pod Kraśnikiem i Komarowem — Lwów jeszcze w naszym posiadaniu! Zwycięzamy jakoś wstecz.

We wtorek przewieziono do Węgier przez Jabłonków w trzech pociągach jeńców rosyjskich z pod Kraśnika w liczbie 1500.

Byłem na dworcu, gdzie licznie zebrana publiczność przypatrywała się ciekawie »Rusom«, ubranym w zielono-brunatne mundury. Między jeńcami byli i Polacy. Oddawali chętnie za papie-

rosy na pamiątkę swe błyszczące guziki od płaszcza. W rozmowie byli powściągliwi.

Nasi jabłonkowscy Niemcy w dobrym humorze. Deutschland über Alles. Sławią każde zwycięstwo wywieszaniem sztandarów, wielbią Wilhelma jako geniusza, sprzymierzeńca i przyjaciela, który w krytycznej chwili stanął obok Austrii i broni jej honoru. Rozpowszechniła się od kilku dni moda noszenia na klapach surduta blaszanych podobizn cesarza austriackiego i niemieckiego. Wszędzie po sklepach w Cieszynie, Ostrawie i u nas obrazy »wiernego sprzymierzeńca« Wilhelma. Tak szerzy się prusofilstwo. I o ile nie oziębnie z czasem, to długo chyba da nam się we znaki.

Małomiasteczkowe »spiesbürgery«, czyli łyki, nie zdają sobie sprawy, że gdyby nie Niemcy, nie byłoby wojny. Niemcy narazili się w całym świecie swą zarozumiałością i butą. Dokuczyli każdemu. Nic dziwnego, że polityka sąsiadów, głównie Anglii od kilkunastu lat kręci się koło idei upokorzenia Niemiec. A uosobieniem tej polityki to Edward VII. angielski. Chciał on odciągnąć Austrię od Niemiec, ponieważ uszanować ją w wojnie z Niemcami, jeździł w tym celu do Ischlu do cesarza austriackiego, ale Austrija wolała pozostać nadal podnóżkiem Niemiec, bo żywioł niemiecki w Austrii musiałby zrezygnować ze swej sztucznej władzy. Austrija musiałaby zmienić swą politykę i system rządzenia od podstaw. I dziś pokazują się skutki. Wszystkie zdobycze, zwycięstwo Niemiec w Belgji i Francji są okupione naszą krwią, niedolą, nędzą, naszym bólem, naszymi trupami. Dziś

tratują i niszczą miljonowe armje wioski polskie i ziemie w Królestwie i w Galicji, a co będzie dalej, niewiadomo — wszak »Lwów jeszcze w naszym posiadaniu«!

J a b ł o n k ó w, 14. września 1914.

W gazetach wiadomości, drukowane ogromnymi czcionkami »Nowa olbrzymia bitwa koło Lwowa«, potem walki o Zamość, zwycięstwo Auffenberga, sukcesy w Serbji, kapitulacja twierdzy Maubeuge, zdobycie 400 armat francuskich, 40.000 jeńców, Niemcy mają już wolną drogę na Paryż. Zato najważniejsza wiadomość, podana zwykłym drukiem o opróżnieniu Lwowa przez Austrjaków z objaśnieniem, »że ewentualne opróżnienie Lwowa z góry przewidziane było w planie operacyjnym austriackiego sztabu generalnego. Ustąpienie wojsk austr. ze Lwowa jako ewentualność z góry przewidziana i objęta planem wojennym nie ma więc ujemnego znaczenia w położeniu armji na polu walki. Dyspozycje wojskowe, od których zależy zwycięskie przeprowadzenie kampanji, a tem samem los całej wojny, nie mogą zależeć od chwilowych nastrojów opinji kraju, na którego terenie odgrywają się decydujące wypadki. I rząd francuski nie krępuje się dziś takimi względami uczuciowemi, zamierzając, jak słychać, zgodzić się na dobrowolne oddanie nieprzyjacielowi Paryża.« Lwów pada, by Niemcy mogli pójść pod Paryż!

Niemcy zwyciężają, idą na podbój Francji, a u nas w Polsce, we wschodniej Galicji, w Kongresówce wszystko stratowane, zniszczone na

dziesiątki lat. Przemysł, handel zdewastowany. Kulturalnie cofamy się o całe dziesięciolecia. Ludność musi opuszczać chaty i domy a tułać się po obcych progach. A co nam za to Niemcy potem dadzą?

Wczoraj spotkałem na rynku kilku »spiesbürgerów« jabłonkowskich, — Niemców polskiego pochodzenia, nie umiejących poprawnie po niemiecku. Jeden z nich, Firek, powiedział mi wprost, że najlepiej byłoby oddać Galicję Rosjanom — naturalnie by się pozbyć Polaków. Wie sich das der kleine Moritz vorstellt!

Papieżem został wybrany Benedykt XV. Będzie miał ciężkie i niewdzięczne zadanie uspokojenia stron walczących i zachowania przy neutralności całego autorytetu papieżstwa. Trzeba będzie wspierać go dzielnie codzienną modlitwą.

J a b ł o n k ó w, 16. września 1914.

Otrzymałem w tych dniach list od ks. posła Londzina z wezwaniem do utworzenia Komitetu powiatowego Śląskiej sekcji Naczelnego Komitetu Narodowego. »Uczyńmy wszystko, co do nas należy, rzućmy na szalę całą siłę, jaką rozporządzamy, całą moc duszy naszej, a resztę zostawmy Bogu, ufni w sprawiedliwość Jego i zwycięstwo ostateczne słusznej i świętej sprawy naszej.«

To słowa końcowe manifestu Sekcji śląskiej N. K. N.

Trudno nie działać, kiedy poważni ludzie nawołują nas młodych do działania i twierdzą, że to teraz jest ta chwila dziejowa, »godzina wielka«,

o którą modlił się naród cały. Cały naród staje zgodnie do pracy.

Manifest podpisali w imieniu naszego Śląska: Chlebus, Domagalski, Filasiewicz, Kantor, ks. Londzin, dr. Michejda, Reger, Szura, dr. Wolf i dr. Zaleski.

Ile to razy marzyło się w gimnazjum o takiej godzinie! Mówią, że teraz przyszła! Mówią to nie tacy zapaleńcy, jak ja, ale ludzie starsi, doświadczeni. Więc chyba trzeba wierzyć. Szczęśliwy jestem, że mogę dziś w łącznej dla Ojczyzny pracy na cokolwiek się przydać.

Wiem jedno: że nie wolno teraz stać bezczynnie na uboczu, ani iść luzem, — trzeba łącznego działania. Co ono przyniesie w ostateczności i czy jest tą jedyną, nieomylną drogą, trudno dziś osądzić. Przed nami las, koło nas las. Tylko gdzieś wysoko na sklepieniu wiary przyświeca idea Wolnej Ojczyzny.

Po porozumieniu się z pastorem w Nawsiu, Franc. Michejdą, zestawiliśmy następujący skład Komitetu powiatowego N. K. N. w Jabłonkowie, zatwierdzony przez N. K. N. w Cieszynie:

1. Ks. Herrmann Franc., prob. w Wędryni;
2. ks. Michejda Oskar, pastor w Bystrzycy;
3. Adameczyk J., kier. szkoły w Śred. Łomnej;
4. Gabryś J., kierownik szkoły w Łyżbicach;
5. Szkandera P., gospodarz w Boconowicach;
6. ks. Michejda Fr., pastor w Nawsiu;
7. ks. Ścisłała Dom., wikary w Jabłonkowie;
8. Bocek Paweł, wójt w Piosku;
9. Heczko Paweł, kier. szkoły w Gródku;
10. Malinowski Józ., notariusz w Jabłonkowie.

To pierwsza widoczna organizacyjna praca dla odrębnego Państwa Polskiego. W regulaminie obowiązującym Komitet powiatowy jest mowa o osobnych polskich oddziałach wojskowych, o polskim skarbie wojennym, o zasileniu Legionów polskich ze Śląska Cieszyńskiego.

Nadto zadaniem Komitetu ma być »pouczanie ludności o obowiązkach narodowych w chwili obecnej, dostarczanie jej wiadomości o dokonywujących się zdarzeniach, skupianie jej koło zadań, prac i dążeń Sekcji śląskiej N. K. N. Ciekawa rzecz — do składek na Legiony polskie nawołują i Czesi w swej »Odezwie do narodu czeskiego w Czechach, na Morawach, na Śląsku i na Wołyniu« i stawiają hasła: »Kto czem może, niech pomoże« i »pomóżmy sąsiadom a oni pomogą tobie«. Tak pisze praski »Hlas Naroda« Nr. 231, wydanie wieczorne.

J a b ł o n k ó w, 19. września 1914.

Lwów oddany Moskalom. Ogłoszono to w tydzień po fakcie. W komunikatach dalsze zwycięstwa, obwieszczane we wszystkich gazetach, coraz większymi literami — ściganie nieprzyjaciela, setki armat zdobytych, jeńców tysiące. Telegram »kwatery wojenno-prasowej«: »Ogólne położenie jest korzystne, nawet korzystniejsze jak w poprzednich dniach.« Następuje duża biała plama, bo artykuł na temat tej »korzystniejszej« sytuacji został skonfiskowany w krakowskim »Głosie Narodu«.

Od dwóch tygodni Śląsk roi się od ludności, uciekającej z Galicji. Pierwszych uchodźców widziałem w Dąbrowie koło Bogumina, gdym jechał koleją do Opawy. Na bocznym torze kolejowym stały zwykle wagony towarowe kryte. W nich zamieszkały całe rodziny. Było widać stoły, krzesła, kolebkę, dzieci, graty różne. Twarze wybieżone, zmizerowane. Mówiono, że to rodziny kolejarzy z okolic Lwowa. Drugi taki transport spotkałem w Boguminie. Długi pociąg — w pierwszej połowie wagony wypełnione były rannymi żołnierzami, w drugiej umieszczeni byli uchodźcy, zwani tu powszechnie »uciekiniery«. Z nimi kilku księży. Jeden z nich objaśnił mnie, że to ludzie z okolic Przemyśla. Wyjechali na rozkaz starostwa. Jadą do Styrii. W Ostrawie takie same pociągi. Wojna pokazuje z różnych stron swe straszne nieubłagane oblicze niszczyciela-Molocha.

Linja walk przesuwa się tymczasem pod Przemyśl, Jarosław. Ludność ucieka przez Węgry, Abos, Rutkę, Żylinę na Śląsk lub w stronę Wiednia. Kolej północna zajęta wyłącznie transportami wojskowymi. Każdy pociąg ewakuacyjny przewozi setki nieszczęśliwych ofiar wojny, przyjmowanych wszędzie z coraz większą niechęcią wobec utrudnionych warunków aprowizacyjnych. Bardzo przykre wrażenie wywołuje widok dzieci, które idą na tułaczkę i ponieważ nie wiadomo dokąd i na jak długo.

Do Jabłonkowa przyjechali pierwsi »uciekiniery« przed tygodniem. Pochodzą z Ropczyc. Trzy rodziny. Przyszli do mnie, wyszukałem im

mieszkanie. W ciągu tygodnia napłynęło jeszcze blisko sto osób. Między innymi dwóch księży Bazylikańskich, braci z diecezji przemyskiej. Byli na pogrzebie ojca i nie mogli już wrócić do siebie. Kazano im jechać w świat, bo droga do Przemyśla odcięta. Pojechali przez Węgry do Jabłonkowa. Oficjalne sfery dokonywują masowego świadomego oszustwa. Rzucono hasło: »Gold gab ich für Eisen« — »dałem złoto za żelazo« i naiwni wyzbawiają się złota a nawet poświęconych przy ślubie obrączek, byleby tylko figurować w spisie ofiarodawców. Nic nie charakteryzuje tak dobitnie praktyk austriackich, jak ta zbiórka »patriotyczna«.

J a b ł o n k ó w, 29. września 1914.

Dnia 21. września o godz. 12. w południe wyruszył z Cieszyna z parku Sikory oddział Legjonistów śląskich w pełnym rynsztunku. Odchodzących żegnały tłumy, zgromadzone przed parkiem. Poszli głównie uczniowie gimnazjum i akademicy, to, co ziemia śląska ma najlepszego i najgorętszego. Jeżeli to prawda, że im większa ofiara, tem większy skutek, to i Śląsk z tej ofiary dobrowolnej z życia i krwi naszych najlepszych musi mieć kiedyś pożytek. Marzyło się i czytało tyle o różnych wojnach polskich, o powstaniach i powstaniach, — dziś w ogólnej zawierusze powstaje młodzież śląska, by stać się częścią polskiego wojska. I to wszystko dzieje się w naszych czasach. Tego jesteśmy sami świadkami! W oczach żegnających widać było łzy, ale niewiadomo czy

z żalu za tymi, co odeszli na wojnę, czy też z radości, że oto iszczą się tajone sny i że godzina wolności chyba już bliska.

J a b ł o n k ó w, 7. października 1914.

Wojna trwa. Zdawało się, że przy nowoczesnych urządzeniach wojna kilkumiesięczna będzie niemożliwa, że wszystko się wzajemnie wyniszczy, wymorduje i musi nastąpić koniec. Tymczasem wszystko inaczej się układa i niema nawet mowy o zakończeniu. Setki tysięcy ludzi żyje w ziemi głęboko, w rowach i szuka tam schronienia przed wszystkim, co umysł ludzki wymyślił, by się wzajemnie niszczyć. Dzisiejsza wojna przybiera niesłychane rozmiary, front wydłuża się na setki kilometrów, sięga od morza do morza. Walczące z sobą państwa tworzą wciąż nowe pułki, nowe korpusy. Przemysł, fabryki dostosowane do wojny. Fabrykuje się całe pociągi pocisków, naboji i broni. Świat cały zdaje się dzielić na dwa wrogie obozy, które o niczem dziś nie myślą, jak o wzajemnem niszczeniu siebie. Cesarz Wilhelm zarekwirował na rzecz Niemców nawet Pana Boga — deutscher Gott. Etykę, moralność, przykazania boże wyrzucono za nawias. Czy znajdzie się moc, która to wszystko doprowadzi do równowagi?

Na Śląsku już pełno uchodźców, a przede wszystkim rannych, bo szpitale przenoszą się z galicyjskiego frontu coraz dalej na zachód. Na ulicach spotyka się tłumy maruderów żołnierzy z różnych formacyj, którzy cofnęli się z frontu lub

uciekli okreżną drogą z niewoli. Transporty wojskowe zdążają ciągle w jednym kierunku — na wschód. Obecnie już one nie takie hałaśliwe. Wszystko odbywa się znacznie ciszej, niż w pierwszych tygodniach. Wszyscy zdają sobie nareszcie sprawę, że wojna, to nie zabawa, nie jakaś krzykliwa demonstracja, ale coś bardzo poważnego i strasznego.

Przed kilku dniami przyjechał do Jabłonkowa trzeci ksiądz, proboszcz z Biecza koło Jarosławia. Parafję całą »ewakuowano«, jak brzmi urzędowe określenie, gdyż znalazła się na linii strategicznej nad Sanem, gdzie przewidywane są ciężkie walki. Wpakowano wszystkich w pośpiechu do pociągu ewakuacyjnego i wywieziono na zachód. Rzadko kto miał z sobą jakieś zapasy żywnościowe, a że nigdzie nie można było nic kupić, wydrapywano w czasie długich postojów ziemniaki, marchew, brukiew z pól nad linią kolejową i tem się posilano.

Dziś mieliśmy spowiedź dziatwy szkolnej z całej parafji. Z Cieszyna przyjechało do pomocy w spowiedzi czterech Jezuitów, między nimi trzech uchodźców ze Stanisławowa. W czasie obiadu dzielono się wrażeniami. Przebijają przekonanie, że dowództwo austriackie zawodzi i wojna może skończyć się katastrofą. Opowiadano o wandalizmie i zniszczeniu, jakiego dopuszczają się wojska niemieckie w Kaliszu i w różnych miejscowościach Królestwa. Tosamo robią Węgrzy w Galicji, której ludność traktuje się jako zdrajców i wiesza setkami na podstawie najbardziej błahego oskarżenia, którego powodem jest często nieporo-

zumienie sąsiedzkie na tle osobistem. Same smutne wieści. Pociuszającego nic.

Gazety donoszą o wypadkach cholery azjatyckiej w Wiedniu, Bernie i w północnych Węgrzech.

W Krakowie komenda miasta zarządziła przymusową ewakuację wszystkich obywateli, nie zaopatrzonych w żywność, na trzy miesiące.

J a b ł o n k ó w, 19. października 1914.

Z wiadomości, podawanych w gazetach, nie można sobie wyrobić obrazu o faktycznym stanie akcji wojennej. Prasa podaje jedynie to, co dyktuje naczelne dowództwo armji. W dziennikach znać robotę cenzorów. Nieraz całe szpalty bielusiennie, bo wszystko uległo konfiskacie. Tak wygląda w czasie wojny wolność prasy i swoboda wypowiedzenia się. Ranni, napływający w ostatnich dniach liczniej niż kiedykolwiek, opowiadają o walkach pod Iwangrodem, a wśród ludności krąży upoczywie opowiadania o zwycięstwach rosyjskich, osiągniętych w ten sposób, że zalali wodą całe obszary koło twierdzy, że podminowali cały teren. Są to wiadomości prawdopodobnie przesadzone i niesprawdzone, ale naogół daje się zauważyć popłoch, bezład i niepewność. Popłoch ten powiększają ranni i maruderzy, wracający z pola walki. W opowiadaniach przejawskrawiają swe przeżycia, przesadzają i pod wpływem strachu opowiadają niestworzone rzeczy. Ludność zaś zawiędzona w nadzieji, że wojna skończy się prędko, zaczyna powoli tracić zaufanie w wiadomości

urzędowe i przyjmuje te opowiadania bezkrytycznie.

W obrotach handlowych pojawiają się poważne trudności. Trudno n. p. kupić większą ilość mąki na chleb. Zbiory tegoroczne były nienajgorsze, odeszło wprawdzie trochę rąk do pracy i trochę koni na podwoły, ale to jeszcze nie tłumaczy obecnych trudności. Trudności te zaczyna odczuwać i nasz Konsum chrześcijański w Jabłonkowie. Wobec tego pojechałem w przeszłym tygodniu do Żyliny na Węgrzech, by tam ułożyć się z młynem o dostawę mąki. Okazuje się jednak, że i tam tesame mają trudności, czyli, że to jeden z objawów wojennych.

Wróciłem z Węgier, nic nie wskórawszy. Zresztą w drodze powrotnej przekonałem się, że sprowadzenie węgierskiej mąki stało się już niemożliwe. Na granicy Węgier i Śląska przeprowadzają Węgrzy ścisłą rewizję. O ile potrwa to dłużej, to Śląsk tak gęsto zaludniony a tak nieobfitujący w ziemiopłody ucierpi na tem poważnie.

W czasie rewizji i postoju pociągu nadjechał od strony Węgier pociąg wojskowy z żołnierzami, zdążającymi na front. Kiedy żołnierze Madziarzy dowiedzieli się, że o parę kroków granica, że opuszczają ziemię węgierską, wyszli wszyscy z wagonów, stanęli wzdłuż linii i zaśpiewali jakąś dziwnie tęskną pieśń madziarską. A potem widziałem, jak ci ludzie biedni, jadący na wojnę, klękali i całowali ziemię. A wielu z nich zabierało grudki ziemi i chowało w tornistrze na pamiątkę...

J a b ł o n k ó w, 3. listopada 1914.

Już się ściemnia, siedzę przy biurku, piszę, nie pamiętam już co. Ktoś wchodzi powoli ciężko po schodach, szuka klamki. — Pewnie dziad znowu, żebrak. — W istocie staje we drzwiach kobieta obszarpana, schylona, brudna. Na jednym oku bielmo.

Sięgam do kieszeni po kilka groszy, by ją odprawić. Widzę jednak, że to nie tutejsza żebraczka, mówi poprawnie po polsku, akcent odrębny.

— Coście za jedna? Skąd jesteście?

Starowina siada, oddychając ciężko, mówi z trudem:

— My uciekli. My uciekamy już trzy miesiące, — my z Brzeżan ze wschodniej Galicji. Uciekamy przez Węgry na jednym wózku, jednym konikiem.

— A ile was jest?

— Siedmioro, łaskawy panie. Syn miał dobre zajęcie, był stelmachem u Potockiego. Przyszła wojna nieszczęsna, wszystko się skończyło. Uciekliśmy w nocy. Kozacy nad ranem za nami wpadli. Poco ja uciekam, sama nie wiem. Dziś jedno drugiemu wyrzuca, żeśmy nie zostali. Nie byłoby tej tułaczki, głodu i poniewierki. Myśleliśmy, że tylko parę mil ujedziemy, a potem się wrócimy i wszystko odzyskamy. A tymczasem Moskale ciągle za nami...

Takich biednych ofiar wojny widzi się coraz więcej. A ile ich jeszcze będzie?

Kolonja polska w Jabłonkowie wzrosła do kilkuset osób, przybyłych głównie z Galicji. Są między nimi ludzie zamożni, ale są i biedni. Głową

kolonji polskiej jest p. Beldowski, przemysłowiec z Krakowa, dalej pp. Faliszewscy z Baligrodu, p. Stasieniewiczowa z pod Lwowa i inni.

Naczelne dowództwo armji austriackiej rozlokowało się w Cieszynie, jest widocznie zdania, że bliżej frontu mogłoby być niebezpiecznie. Biura umieszczono częścią na zamku, częścią w gimnazjum niemieckiem i w szkole wydziałowej przy placu Rudolfa. Ruch w Cieszynie dzięki temu ogromny. Spotyka się tam różne wielkości, jak arcyksięcia Fryderyka, generalissimusa wojsk austriackich, następcę tronu arcyks. Karola, dalej szefa sztabu Hoetzendorfa, generała Hoefera, podpisującego komunikaty sztabu. Można powiedzieć, że w Cieszynie jest obecnie siedziba rządu austriackiego, we Wiedniu istnieje tylko jego ekspozytura. Niedawno widziałem tam Bethmanna-Hollwega i Buriana.

Cesarz Wilhelm powiedział na początku wojny, że wojna skończy się, gdy liście z drzewa opadną. Już liścia niema, a wojna trwa i daleko do końca. Wypowiedzieć wojnę, rozpętać żywioł łatwo, ale wstrzymać, tego nawet sam Kaiser Wilhelm nie może. To już teraz nie od niego zależy. Wojna to straszny żywioł, mający jakąś szatańską moc, wciągający w swój krwawy krąg coraz większe masy. Miljony idą na rzeź, na zgubę, na śmierć, a nie mogą stanąć ani opamiętać się i uprzytomnić sobie, że przecież jesteśmy ludźmi, a nie szakalami. I nie wolno nawet protestować.

Już dawno nie było tak smutnych Zaduszek, jak w tym roku.

Z frontu ciągle wiadomości o zwycięstwach armji austrjackiej, przyczem podana jest ilość zdobytych armat i żołnierzy, wziętych do niewoli austrjackiej. Ile zdobył nieprzyjaciel, ile zabrał do niewoli, tego komunikaty wojskowe nie podają. Z bardzo skąpo podawanych nazw miejscowości można przy pomocy mapy wyrobić sobie wyobrażenie o »sukcesach« armji. Poczta nieoficjalna, t. zw. pantoflowa, opowiada pocichu o zbliżaniu się Rosjan pod Kraków.

J a b ł o n k ó w, 19. listopada 1914.

Tętno życia w Jabłonkowie ożywiło się nadzwyczajnie od kilku dni, od chwili, kiedy zjechał tu z Krakowa ewakuowany Departament wojskowy N. K. N. ze szkołą podchorążych i różnymi oddziałami legionowymi. Pierwszych Legjonistów spotkałem w Jabłonkowie, kiedym szedł do siebie ze szkoły miejskiej. Polskie wojsko w Jabłonkowie! Zdawało się nieraz, że już jesteśmy w Prusach, że Jabłonków lada chwila zostanie zgermanizowany — ile to trzeba było zaciętej, uporczywej walki z systemem, idącym z góry, nieraz zdawało się, że sił nie starczy, że to praca beznadziejna, bo nas zdławią, zduszą i zdemoralizują, i ręce często opadały, kiedy się było smaganym nienawistnem określeniem: Volksaufwiegler, Hetzkaplan, kiedy starostwo cieszyńskie prowadziło w ewidencji jako: politisch unverläßlich, polnischer Hetzer.

Nagle w Jabłonkowie — polscy żołnierze, polscy Legjoniści! Nie umiem tego określić, co się

ze mną działo. Zdawało mi się, że śnię, że to przywidzenie tylko.

Poszedłem w stronę dworca kolejowego w Nawsiu. Stamtąd napływały coraz liczniejsze grupki. Rogate czapki, mundur szary, karabiny stare. Pozdrawiają wszyscy słowem: cześć! Na dworcu wyładowują bagaż, różne skrzynie, siodła, konie, rowery, samochody.

Departament wojskowy z pułkownikiem Sikorskim na czele ulokował się w Nawsiu w kinie, w domu gminnym i w szkole. W Nawsiu umieszczono taksamo komendę placu. Komendantem jest dr. St. Kukiel. Szkoła podchorążych mieści się w starym młynie Sikory w Jabłonkowie, biuro ewidencyjne w starym ratuszu, wojsko rozlokowało się w szkole, w »Czytelnicy katolickiej«, w Łomnej, w Piosku, w Boconowicach, Milikowie, gdzie się dało.

Z wojskowymi przyjechało sporo rodzin, n. p. Daszyńska-Golińska, dr. Radlińska, Iza Moszczeńska, Konopaccy, przyjeżdżał kilkakrotnie już Piłsudski, Sieroszewski, hr. Morstin, Gwiżdż, Moraczewski, Sosnkowski, Galica, Daszyński, Sokolnicki i inni.

Ciężko ze szpitalem dla chorych Legjonistów. Brak łóżek, pościeli, chorzy leżeli w pierwszym tygodniu na podłodze. Są siły lekarskie, jest dr. Switalska, dr. Kapelner, Sambor, jest kilka sanitariuszek, ale niema najprymitywniejszych urządzeń. Na razie umieszcza się chorych w Szygłe, w domu Bullawy i z każdym dniem już lepiej, bo Jabłonków nie pozostał biernym wobec chorego i rannego żołnierza polskiego. Zorgani-

zowany naprędce Komitet przy Polskim Związku Niewiast katolickich dostarczył już łóżek, słomy, ziemniaków, prześcieradeł, sporo naczyń i szpital od kilku dni wygląda możliwie. Zbiera się lekturę dla żołnierzy, a głównie dla chorych i jest nadzieja, że nie tylko Jabłonków sam, ale i cały Śląsk otoczy Legjony, a w pierwszym rzędzie szpitale należyta opieką. Odpowiednie odezwy do gazet cieszyńskich już wysłano. Mam nadzieję, że wojsku polskiemu na Śląsku będzie dobrze, bo tu ludzie prości, ale serca złote.

J a b ł o n k ó w, 1. grudnia 1914.

W Jabłonkowie ruch jak w wielkiem mieście, a mieszkanie moje to istny zajazd. Przychodzą »uciekiniery« jedni po wsparcie, drudzy po radę, wskazówki, inni po książki, przychodzą żołnierze po buty, bieliznę, papierosy, a ludność tutejsza ze skargami na legionistów za ich wybryki różne i szkody, jakie wyrządzają.

Przedwczoraj obchodziliśmy tu rocznicę powstania listopadowego. Przed południem nabożeństwo w kościele parafjalnym. Miałem przemowę na temat lekcji św.: »Bracia, już czas, abyśmy ze snu powstali!« — Pierwszy raz mówiłem do wojska polskiego, o Polskę w tej wielkiej wojnie walczącego! Nie trzeba było długo szukać tematu i myśli — było ich aż za dużo. Tyle chciałoby się powiedzieć — wszak świta nam nowy dzień i trzeba teraz ze wszystkiego się otrząsnąć, skupić i siły zjednoczyć do działania. Bo dnieje, bo oto odzywa się złoty róg, abyśmy szli na jego zew, a

przestali krążyć w kółko za muzyką chochoła. Byśmy zaś wytrwali, na to trzeba siły nasze połączyć z wszechmocą Boga, odnowić się duchowo, naprawić stosunek do Niego, trzeba koniecznie »porzucić uczynki ciemności, a otoczyć się zbroją światłości.«

Wyjątki z przemówienia umieścił wczoraj kap. Galica w rozkazie dziennym do wojska.

Wieczorem odbył się w sali kina uroczysty wieczór listopadowy.

Sala ładnie i gustownie udekorowana. Na ścianie na czerwonym tle Orzeł biały w wieńcu z koroną i napis: »Czas wam wstać!« Sala zapelniona po brzegi, dla wielu zabrakło miejsca.

Nastrój niezwykle uroczysty. Tak nie obchodzono u nas jeszcze żadnej rocznicy ani uroczystości narodowej. Wszak tam na podjumu prawdziwe wojsko polskie stało i śpiewało i budziło ducha. To już nie wspomnienie dalekie, obce z przeszłości, ale żywi rycerze z krwi naszej. To tacy, co byli w bitwach jeszcze przed kilku dniami pod Warszawą, Iwangrodem, Krzywopłotami, co walczyli z Moskałem. A na sali wśród nas — spadkobierczynie idei listopadowej, wskrzeszona na nowo szkoła podchorążych.

Zagaił obchód listopadowy pastor Fr. Michejda z Nawsia. Mówił bardzo serdecznie o tym naszym Śląsku, co to najstarszy ze ziem Polski tak długo żyje sam życiem własnem. Uciskany, gnębiony przechodził tyle kolei i tyle eksperymentów, był świadkiem tylu przewrotów dziejowych, a mimo wszystko pozostał polskim i tyle razy był schronieniem dla Polaków i wojsk polskich.

Dziś w wojnie światowej to samo się powtarza. Śląsk nigdy nie zawodzi. A lud tutejszy, choć balałmucony, wynaradawiany pozostał i pozostanie polskim. Została mu dusza zawsze polska i mo-dlitwa polska — to go chroni, to go broni i obroni.

P. Radlińska mówiła o powstaniu 1863 r. Śpiew legionisty Zopotha, artysty opery wrocławskiej i deklamacja legionisty Strojka były wspa-niałe. Takiego wykonania i oddania, takiego rwącego za serce śpiewania nikt tu u nas jeszcze nie słyszał. Było w tem coś, co wgryzało się w serce, pobudzało do łkania i płaczu, ale i do na-dzieji, do czynu.

Kilka razy wystąpił chór szkoły podchorą-żych pod batutą leg. Wojciechowskiego. Zakoń-czył wieczór przemówieniem dr. Kot. Wskazał na doniosłe przemiany psychiki polskiej w czasie wojny i na spontaniczne objawy patriotyczne we wszystkich zakątkach Polski, wskazał na Śląsk, jego ofiarność i udział w budowaniu Ojczyzny.

J a b ł o n k ó w, 9. grudnia 1914.

Pierwszym żołnierzem, którego przygotowa-łem w tej wojnie na śmierć, był legionista Wa-gner, rodem z Królestwa Polskiego, artysta sceny warszawskiej.

Wracałem kilka dni temu pod wieczór ze szkoły. Już ciemno się robiło — patrzę — przed wikarjatem sanki chłopskie. Mam jechać do szpi-tala dla zakaźnych, bo tam legionista jakiś kona.

W przeciągu paru minut byłem gotów. Wzię-łem z kościoła Wiatyk i usadowiłem się na san-

kach. Konie mkną co sił starczy w kierunku Nawisia.

Naprzeciw kościoła nawiejskiego na prawo ścieżką w górę chałupa drewniana, to cel jazdy. Tam dogorywa biedny chory w szpitalu zakaźnym dla legjonistów.

Odrazu na wstępie uderza silny zapach lyzolu, nieodstępny w szpitalach dla chorób zakaźnych. Z sieni wejście do pokoju, gdzie jest wszystko razem: kuchnia dla chorych, apteka, pokój pielęgniarki, pralnia. A dalej trzy izby, zapchane chorymi na tyfus, czerwonkę, ospę.

Nie chce się wierzyć, że to szpital. Parę łóżek z desek prostych, tarcie na słupkach, na tem siennik i to wszystko. Są tacy, co leżą tylko na podłodze na słomie. To ludzie, co dobrowolnie szli na wojnę, co tyle ofiar ponosili. Smutne, przykre wrażenie robił ten szpital. Dziwnie smutno musiało być i Panu Jezusowi, którego przyniosłem, na widok takiego niebywałego opuszczenia, nędzy i cierpień. Tak tam ubogo było, źle i ciasno! Nie było gdzie nawet położyć bursy z Wiatykiem. Nigdzie ni stołu ni krzesła.

A ten, do którego przyszedł, to już tylko ruina. Błady, słaby, wycieńczony, przeźroczysty, z oczu śmierć wyziera. Biedny! Poszedł dobrowolnie z wiarą, że przyczyni się do wywalczenia Ojczyźnie wolności, swobody — poszedł jako ochotnik z przekonaniem, że z tej wojny wyjdzie to, za czem wszyscy od tak dawna tęsknimy, płaczemy, że się skończy niewola, że naród cały odżyje, że Polska znajdzie znowu swe miejsce wśród narodów Europy.

Poszedł, by złożyć tej idei w ofierze swe chęci i siły. Ale przeliczył się.

Wątlęgo zdrowia, delikatny, słaby, nie wytrzymał trudów. I oto tyfus rozkłada i niszczy jego nikły organizm. Tylko oczy jeszcze błyszczą ogniem, co świadczy o wielkim polocie, o wielkiej duszy, co się wydziera »do ogromnych wielkich rzeczy«, co chciałaby »ramię rozpostrzeć szeroko, wielkie skrzydła porozwijać, lecieć a nie dać się mijać«.

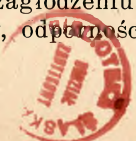
I cóż teraz z tych chęci, pragnień i ofiar? Za chwilę skończy się wszystko, życie zgaśnie. I teraz biedny kaja się przed Bogiem — odbywa ostatnią spowiedź, obmywa duszę swą jasną w Sakramencie Pokuty, otwiera ją na przyjęcia Boga... oddaje się Bogu ze swą ofiarą wielką na wyłączną własność.

Nie myślał, że to tak strasznie prędko przyjdzie. Taki młody! Tyle chciał działać, tyle osiągnąć!

Ileż w tem tragizmu, ile bólu!

A ile to takich w ciągu całego bolesnego pasma walk beznadziejnych! Od wojen napoleońskich, od Samosiery, Berezyny, Lipska aż do Krzywopłotów, do Nidy!

I dziwna rzecz! — Tyle najlepszych ginie — ciągle nowe ofiary, a naród jeszcze żyje i istnieje! Wymazano go z karty Europy, powiedziano, że go niema. Trzy potęgi starają się zgangrenować go i zatruć. Dziś po stu latach po bezprzykładnem spustoszeniu wzdłuż i wszerz, po wywiezieniu i zagłodzeniu setek tysięcy — dziś tyle jeszcze siły, odporności w tym narodzie dzi-



wnym, tyle wiary silnej we wschodzące słońce, w lepsze jutro!

Przecieżby wygodniej było wyprzeć się polskości i wiary, przyjąć inny język, przecież dziś nie dobrze być Polakiem. Wszędzie traktują nas jako coś gorszego: w wojsku, urzędach, w pracy — wszędzie. A jednak mimo wszystko całe miliony wyrzuconych ze swoich siedzib, tysiące mieszkających w barakach i norach ziemiankach, z ruin i zgliszczy a nawet z pod mundurów państw zaborczych wołają i krzyczą: jesteśmy i będziemy!

Tysiące idą dobrowolnie na wojnę i na poniewierkę. Dziwny naród! Traci wszystko, wszystko mu teraz niszczą i tratuja, staje się jeszcze uboższym, biedniejszym, jednak z całej strasznej wojny światowej wyjdzie z sumieniem czystym i będzie mógł kiedyś powtórzyć z Józefem Kościelskim: »Cieszymy się i Bogu dziękujemy, że jesteśmy tylko prześladowanymi, a nie prześladowcami.«

Dziwny naród! Ilu już wydał takich artystów-żołnierzy, marzycieli, co giną, na tyfus umierają, nic nie osiągnąwszy! — Umierają, odchodzą a na ich miejsce zgłaszają się inni. Coś ich wszystkich podtrzymuje, ożywia — myśl jedna, wielka: Ojczyzna.

Umiera, kończy a jeszcze o Ojczyźnie szeptem i marzy! — Tak umarł i ten biedak, żołnierz — bohater — artysta — marzyciel. Umarł w godzinę po przyjęciu Sakramentów św. Spoczął jako pierwszy legionista na śląskiej ziemi na cmentarzu jabłonkowskim.

Pogrzeb był skromny, ale godny legionisty-artysty.

Czyś ty marzył kiedy o tem, byś miał koło swej trumny wojsko polskie? By wojsko polskie oddawało ci ostatnie honory? Czyś ty marzył o tem, że spocziesz tu w tej prastarej ziemi tuż u źródeł Olzy, że Beskidy, ozłoczone słońcem, posrebrzałe śniegiem, staną ci artysto-rycerzu na straży u grobu?

Pożoga wojenna niebywała w dziejach, ta wojna o Polskę, ścina tyle młodych jestestw! Nam przykro, bo giną najlepsi, giną bohaterzy, ale trzeba schylić głowę przed Bożemi wyrokami i wolą.

Kiedy artysta tworzy jakieś monumentalne dzieło, to zasłania się zwykle ogrodzeniem, rusztowaniem i dostrzegamy tylko płótno szare, brudne deski, może fragment tylko, szkic, którego nie rozumiemy. Lecz kiedy artysta, ukończywszy dzieło, zdziera zasłonę, wtedy pojmujemy wszystko, rozumiemy artystę, podziwiamy piękno.

Tosamo i u Boga. Budowa czy przebudowa narodów lub państw, odbudowa Polski, wskrzeszenie to dziś, póki wojna trwa, tylko fragmenty, może nieraz odrażające, przykre, niezrozumiałe. — Lecz kiedy Bóg — artysta przedwieczny, odsłoni całość, da nam to, o co teraz codzień się modlimy, o co na różnych frontach walczyliśmy, to dopiero wtedy zrozumiemy dobroć i miłosierdzie Boże, gdy wszystko złoży się w ów cud — Polskę wolną.

Jabłonkowanie nie zapomną o mogile legionisty-artysty. Bo choć on z Królestwa, a my ze

Śląska, to my wbrew wszystkiemu po polsku myślimy, czujemy i cierpimy. Jedna wiara, jeden język, jeden ból. Jego mogiła stała się naszą własnością, pamiątką. Do tej mogiły będą w Jabłonkowie pielgrzymować, by tam nabierać hartu, mocy i wiary, że żaden trud, żadna ofiara nie ginie, ale prędzej czy później przeradza się w plon. Legł w siostrzanej ziemi nad Olzą, a tam serca takie złote, takie dobre, jak mało gdzie. Tam mu teraz lepiej niż nam, co musimy — jak mówi Wyściański:

patrzeć na przebiegi zdarzeń
dalekie, dalekie od marzeń,
tak odległe od wszystkiego...

Śląsk bezpośrednio zagrożony. Na nic komunikaty sztabu generalnego. W ciche dni a jeszcze więcej w nocy słyhać w Jabłonkowie i okolicy daleki, głuchy huk armat. To najlepiej oświetla sytuację. Ludzie rozmawiają już na temat, co będzie, jak przyjdą kozacy? Żyje się w oczekiwaniu najgorszych rzeczy. Niemcom jabłonkowskim miny rzedną. Nie wymyślają już na legionistów.

J a b ł o n k ó w, 17. grudnia 1914.

Wśród różnych rozbitków wojennych, jacy się znaleźli w Jabłonkowie, wyróżnia się wybitnie p. Olszamowska, żona adwokata z Petersburga, zdolna poetka. Ma w Legionach dwóch synów. W chwili wybuchu wojny, w sierpniu, była w Warszawie. Stamtąd przedostała się przez front rosyjski i niemiecki w Rawce i przyjechała do Jabłonkowa,

poszukując syna, który z uniwersytetu w Anglii miał wyjechać do Legjonów.

Przecucie matki nie zawiodło. Po drodze z dworca w Nawsiu do miasta poznała między maszerującymi wychowankami szkoły podchorążych swego syna Janusza z pseudonimem Łaszczyc.

Pani Olszamowska z papierami rosyjskimi niepokoi mocno tutejszą żandarmerję, węszącą wszędzie szpiegów ruskich. Ciągłe ją też śledzono i molestowano. Ustało to dopiero wtedy, gdy zamieszkała w domu Bagieńskiego w pokoju, położonym nad posterunkiem żandarmerji.

Wbrew żandarmom i p. Olszamowska i Legjony mają dokładne informacje o tem, co się dzieje za frontem rosyjskim i w Petersburgu. Drogą okrężną na Stockholm przez państwa neutralne jeżdżą legionieści do Rosji, przywożą listy i wiadomości bezpośrednio. Pokazywano mi niedawno lekarza legionowego Tatara, muzułmanina z pseudonimem Michał z Litwy, który z Jabłonkowa jeździł do Rosji.

Otrzymałem w tych dniach kartkę od brata, artylerzysty w Krakowie na forcie w Rajsku, że to oni ze swych armat ósmego i dziewiątego grudnia ostrzeliwali zbliżających się pod Kraków Moskali. Czy zrobili im jaką krzywdę, nie wiem. Zato od gwałtownego naporu powietrza wskutek tych strzałów zginęło dwóch Jezuitów w klasztorze w Staniątkach. Rzuciło nimi tak gwałtownie o ścianę w korytarzu, że ponieśli śmierć na miejscu. Nazwiska ich: O. Kurecz i O. Płukasz. Zamiast do Moskali, strzelają w Krakowie do Jezuitów.

Kraków był więc już bezpośrednio zagrożony. Obecnie nie słychać już strzałów ani w dzień ani w nocy. Akcja wojenna widocznie utknęła na razie.

Święta Bożego Narodzenia za kilka dni. Specjalny Komitet gwiazdkowy przygotowuje gwiazdkę dla żołnierzy-legjonistów, głównie dla rannych i chorych w szpitalach w Jabłonkowie i w okolicy. Niewesołe to będą święta.

J a b ł o n k ó w, dnia 28. grudnia 1914.

W dzień wigilijny było w Jabłonkowie i okolicy do tysiąca legjonistów. Z tego chorych i rannych do dwustu, reszta załoga, kompanje wartownicze, szkoła podchorążych. Od kilkunastu dni krzątał się komitet gwiazdkowy, by uprzyjemnić żołnierzom ten dzień, w którym każdy myśli z tęsknotą o rodzinnem cieple, o rodzinnych progach. Ze składek zebrano koło tysiąca koron, zakupiono różne drobnostki i rozdzielono między legjonistów. Wykaz składek w pieniądzech i naturze wysłałem do »Gwiazdki Cieszyńskiej« i »Dziennika Cieszyńskiego«.

Chorzy, ranni otrzymali każdy: parę skarpetek, opaski ciepłe, szczoteczkę do zębów, chustkę do nosa, mydło, kilkanaście papierosów, trochę ciastek, pierników i jabłek.

Inni otrzymali: ciastka, pierniki, czekoladę, owoce i papierosy. Z powodu wielkiej liczby legjonistów, braku odpowiedniego miejsca i oddalenia szpitali i domów wypoczynkowych, jako też

poszczególnych oddziałów, nie można było urządzić jednej wspólnej uroczystości gwiazdkowej. Dlatego komitet postarał się o choinki osobne w szpitalu w Szygłe, w szpitalu zakaźnym i miejskim, w sali kina w Nawsiu, w Boconowicach, w Łomnej, Milikowie, Piosku, Wędryni i w Czytelni katolickiej w Jabłonkowie.

Po wieczery pozapalano ubrane mile choinki i rozdzielono podarunki. Potem rozpoczęto kolędy: »Bóg się rodzi«, »Gdy się Chrystus rodzi«, »Wśród nocnej ciszy«, »Lulajże Jezuniu«. Płynęła jedna pieśń za drugą, ze serca, z głębi duszy — płynęła pieśń polska, kolęda z piersi żołnierzy-bohaterów. Raz cicha, smętna, to znowu jak burza mocna, płynąc do stóp Boskiej Dzieciny.

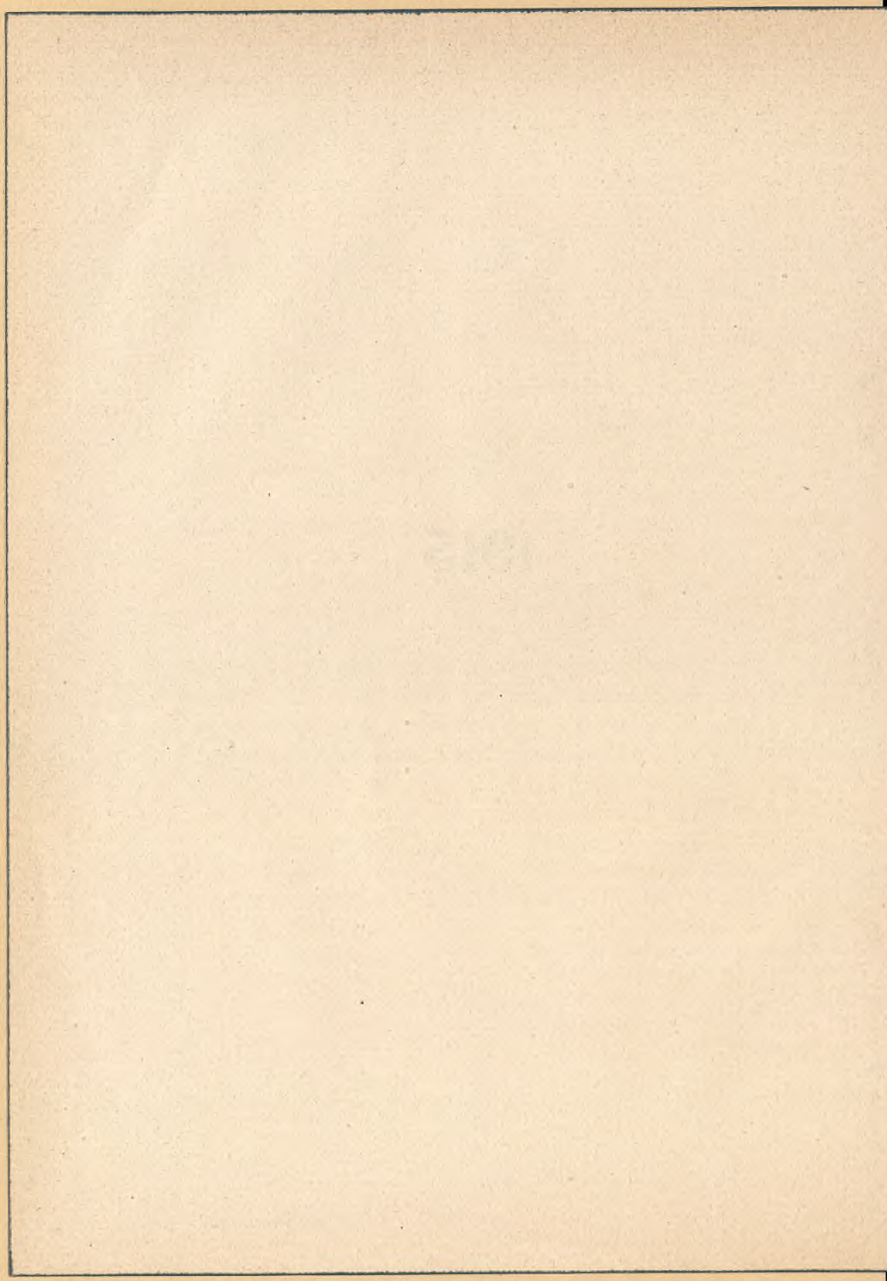
I rozspiewali się żołnierze, zdala od domów, bez wieści o swoich, myśleli tu daleko na śląskiej ziemi o tych, co albo zostali tam gdzieś w »krajnie mogli i krzyżów«, albo sami tułają się bez dachu nad głową. Niejeden ukradkiem łzę ocierał. Ale tam w górze Pan Bóg zbierał te wszystkie łzy, westchnienia tłumione, te ciche prośby, ból i ofiary i przyjmował je jako hołd polskiego żołnierza, jako tren błagalny, cichy i harmonijny: »Ojczyznę, wolność racz nam wrócić, Panie!«

Tak odprawiły Legiony wieczór wigilijny na śląskiej ziemi. Wyróżniała się gwiazdka w kinie ze względu na obecność na niej brygadiera Piłsudskiego. Na propozycję pastora Fr. Michejdy zebrałem wśród chłopców jabłonkowskich kilku pastuszków, którzy na tej gwiazdce odspiewali ulubione kolędy śląskie, ułożone przez poetę jabłon-

kowskiego ś. p. Adama Sikorę. Przemówiłem do zebranych, życząc, byśmy za rok łamali się oplatkiem już w jednej naszej wspólnej chacie — w wolnej Polsce. Odpowiedział na to komendant placu dr. M. Kukiel.

Jednak największe i najmilsze wrażenie wywarł na mnie wieczór wigilijny w szpitalu zakaźnym u chorych na tyfus. Tam radość wigilijna była największa i najszczęsza.

1915



K r a k ó w, 26. maja 1915.

Pisanie pamiętników utknęło.

Z początkiem roku 1915-go otrzymałem nominację na austriackiego c. i k. kapelana wojskowego. Ponieważ było brak kapelanów-Polaków, a nie było ich skąd brać, bo front od grudnia trzymał się na linii Nida, Tarnów, Gorlice, więc pakowano w mundur ze Śląska Cieszyńskiego kogo się dało.

Przeciw przydzieleniu mnie do wojska zaprotestowało starostwo cieszyńskie, twierdząc, że nie nadaje się na to stanowisko jako »politycznie podejrzany«. Przed kilku tygodniami przeprowadzał dochodzenie w tej sprawie bezpośredni mój przełożony superjor wojskowy ks. Krasowski, spisał protokół i dotychczas nominacji nie unieważniono. Noszę więc mundur armji Jego c. i k. Apostolskiej Mości, a na ulicy człowiek zaczyna się dla mnie dopiero od majora w górę, — to, co niżej, o to nie potrzebuję się troszczyć, jak mówią doświadczeni w fachu wojskowym koledzy duchowni i świeccy.

Zostałem kapelanem szpitalnym w Krakowie. Przydzielono mnie do t. zw. szpitali fortecznych Nr. 6. i Nr. 7. Szpital Nr. 6. mieści się w budynku

seminarjum duchownego pod Wawelem. Do niego należy jeszcze szereg tymczasowych szpitali, urządzonych na czas wojny w klasztorze OO. Bernardynów, w szkole obok, na Stradomiu u OO. Misjonarzy, przy ul. Smoleńsk u SS. Felicjanek, w Muzeum techniczno-przemysłowem i w szkole przy tejże ulicy oraz w Kasynie szlacheckiem przy ul. Wolskiej. Szpital Nr. 7. mieścił się przy ul. Warszawskiej u SS. Nazaretanek i Szarytek, przy placu Matejki, w szkole miejskiej, w Akademji Sztuk Pięknych i u OO. Misjonarzy na Kleparzu.

Mieszkam w seminarjum duchownem naprzeciw kaplicy seminarjalnej, mając za sąsiada prefekta seminarjum ks. Marjana Morawskiego, bratanka znanego Jezuity ks. Marjana Morawskiego, autora »Wieczorów nad Lemanem«.

Pomimo zewnętrznych pozorów, munduru, zapominam, że jestem w wojsku. Zdaje mi się, że tylko forma duszpasterstwa uległa zmianie — więcej nic. Z wojskowością niewiele mam kontaktu. Tylko z księżmi i swymi kochanymi chorymi. Poznają wielu księży: ks. regensa Mazanka, ks. Niemczewskiego, ks. Rosponda, a szczególnie młodszych, którzy widać przez przyzwyczajenie wstępują do seminarjum i odwiedzają ukochane mury, w których spędzili szereg lat najpiękniejszych, przygotowując się do kapłaństwa. Odwiedzają przytem ks. Morawskiego a przy tej sposobności i mnie, choć z obcej diecezji, okruszyny się dostają.

Wymiana myśli szczególnie w tak wyjątkowych dla duszpasterstwa chwilach, poruszanie tematów teologicznych, ascetycznych, obserwacja

bezpośrednia pracy kapłańskiej w takiej diecezji, jak krakowska, jest bardzo pożądanem uzupełnieniem moich braków i niedomagań. Niejedno w mem kapłańskim życiu zawdzięczam tym błogosławionym chwilom, spędzonym drugi raz w seminarjum duchownem.

W pracy nad chorymi różnie bywa. Są tygodnie, gdzie rannych i chorych bardzo dużo, ruch ogromny, a są okresy, kiedy szpitale powoli się opróżniają, bo ranni podleczeni bywają wysyłani do szpitali bardziej oddalonych od frontu.

Pomaga w duszpasterstwie szpitalnem bardzo dzielnie duchowieństwo krakowskie, zorganizowane w tym kierunku wzorowo przez księcia biskupa Sapiechę. Każdy szpital, a nawet każdy oddzielny budynek, mieszczący chorych, ma dodatkową opiekę szpitalną jednego z miejscowych księży. Przy rozrzuceniu różnych obiektów szpitalnych po całym mieście nie możnaby podolać wymaganiom. Dzięki ofiarnej współpracy całego duchowieństwa w Krakowie można było przeprowadzić spowiedź wielkanocną nie tylko we wszystkich szpitalach, ale w całym ogromnym garnizonie krakowskim i wyspowiadać stale tych, co odchodzą w t. zw. kompanjach marszowych co tydzień na front i nie pozostawić bez opieki duchownej tych wszystkich, którzy jej potrzebują.

K r a k ó w, 5. czerwca 1915.

Chwile najbardziej wyęzającej pracy chyba już minęły. Przez cały miesiąc maj po przebicju frontu rosyjskiego pod Gorlicami przewinęło się

przez szpitale krakowskie dziesiątki tysięcy rannych. Zwożono ich bezustannie pociągami sanitarnymi a z dworca rozwożono samochodami po szpitalach.

W każdym szpitalu jest osobny oddział dla świeżo przybyłych. Tam myje się chorych, zmienia bieliznę i prowizoryczne opatrunki. Wszędzie, gdzie okiem rzucić, po korytarzach, gankach leżą chorzy na noszach, na podłodze. Każdy brudny, zakurzony, czarny, spocony. A z ran ciecze nieraz ropa, odór nieprzyjemny, robactwo łązi. Ile trzeba pracy, nim się takiego oczyści, umyje, nim go można wnieść na salę i łóżko z czystą poscielą.

O ile potrzebna operacja natychmiast, to nie zwraca się uwagi na brud, na nic, byleby tylko uratować nieszczęśliwego.

Ponad tem wszystkiem jęki, krzyki, syczenie z bólu, narzekania, skargi. Wszystkich łączy tu jedno — ból, cierpienie, nieszczęście. Jedni przetrzymują jako tako, drudzy umierają w tym samym dniu lub w ciągu tygodnia. Nieraz przygotowuje się, spowiada na śmierć jednego, leżącego gdzieś na noszach, na podłodze, a wołają nagle do trzeciego, czwartego.

Bardzo przykre bywa zrywanie prowizorycznych bandaży w sali operacyjnej. Wobec długiego trwania jazdy i gorąca przysychają opatrunki do ran a trzeba je zmienić z obawy przed zakażeniem krwi jak najprędzej. Słychać też często nieludzkie ryki i krzyki, przejmujące do głębi, wycie okropne. Nieraz krzyk rozlega się przez zamknięte okna na kilkanaście metrów wokoło na ulicy. Lu-

dzie przystają, jedni płaczą, drudzy ze zgrozą uciekają.

A niema na to innej rady. Już i tak nieraz wskutek spóźnionej opieki lekarskiej, nim ranych pozbierano z pola bitwy, zaczęły się rany psuć, robactwo wżera się w żywe ciało. Nieraz widzi się ranę otwartą, szeroką, w której rusza się robactwo. Na sam widok można naprawdę zmysły stracić. A jednak lekarze twierdzą, że robaki te niejednemu nieszczęśliwemu ratują życie, bo żywią się tem, co gnije i psuje się, i w ten sposób oczyszczają ranę i chronią przed gangreną.

Nowych chorych nazywa się w języku szpitalnym pospolicie: Zuwachs — tyle, co przyrost. Imienia, nazwiska nie pamięta nikt, choć napisane jest na kartce nad łózkami. Chorych określa się zwykle według sali, na której leżą, czasem według narodowości, lub rodzaju choroby, czy rany. Chyba, że ktoś dłużej leży, to przestaje być dla personelu szpitalnego rzeczą a staje się osobnikiem o nazwisku i pewnych ściśle określonych warunkach. Zdarzają się nieraz chorzy, o niewiadomych nazwiskach i niewiadomej przynależności. Przywożą nieprzytomnego, legitymacja zginęła, przytomności nie odzyskał i umiera zupełnie nieznanym i zapisują go jako nieznanego. Po takim ginie zwykle ślad na zawsze. I tak giną setki mężów, ojców, braci bez śladu.

O ile można fotografuje się takich bezimiennych i umieszcza fotografie w specjalnych wykazach nieznanym, ale to nie zawsze i nie wszędzie możliwe.

To chyba najsmutniejszy los umierać nieznanym między obcymi, daleko, a tam gdzie jest przecież ktoś, co myśli o biednym, co pragnie wieści jakiej od niego, za nim tęskni, za niego się modli i choć dawno wiadomości nie było, choć na wszelkie poszukiwania i pisania ciągle przychodzi jedna odpowiedź: »zaginiony!«, — jeszcze ciągle wierzy i ufa, że czegoś się dowie, może żywego w progach rodzinnych powita. A on tymczasem śpi — daleko od domu, jako cichy bohater, co dał życie za Ojczyznę, nieznanym nikomu, tylko jednemu Bogu.

Kiedy się widzi takich bezimiennych zmarłych, kiedy spotyka się dziesiątki mogił, grobów bez napisów, bez znaków, groby nieznanymi żołnierzy, o których nikt nie wie, kto tam leży, skąd, to pojmuje się naukę Kościoła świętego o Świętych obcowaniu i tę niesłychaną doniosłość modlitw Kościoła za zmarłych, tę Jego miłość do swych dzieci wszystkich.

I choćbym nie wiem gdzie i kiedy umarł, zapomniany, nieznanym nikomu, choćbym zniknął gdzieś bez śladu, Kościół św. pamięta o mnie i modli się za mnie, ogarnia mnie swymi modłami, ofiarami mszalnemi, prośbami tysięcy: »Requiem aeternam dona eis Domine, et lux perpetua luceat eis«. I ja mam w tem swą częśćkę.

I choć dziś wszędzie miliony różnych grobów i mogił, to do wszystkich zmarłych dzieci Kościoła i do znanych i nieznanymi dolatuje szept modlitw i ofiar milionów wiernych, jakoby powiew wiatru wiosennego, co muska bohaterów groby swem

cichem a pokornem: Dobry Jezu a nasz Panie,
daj im lekkie spoczywanie!

K r a k ó w, 21. czerwca 1915.

Kiedy dowiedziałem się, że będę kapelanem szpitalnym, nie bardzo się ucieszyłem. Stawały mi przed oczyma rany krwawe, krew ciekąca, operacje, noże.

Nie myślałem wtedy, że tam w szpitalach znajdę przede wszystkim ludzi, dusze, pragnące zawsze dobrego słowa, ludzi, którzy w cierpieniu są jak dzieci, ludzi, którzy pozostawieni sobie, daleko od swoich kochanych, tęsknią za kimś życzliwym, któryby ich podniósł, dodał im otuchy i wiary w siebie.

Pierwsze chwile pracy szpitalnej nie należą do miłych i przyjemnych. Przede wszystkim nie wiadomo, jak się do tego zabrać.

Wchodzi się do sali — i widzi się przed sobą całe rzędy łóżek po prawej i po lewej stronie. Łóżka żelazne, żołnierskie, na nich kołdry czerwone, niebieskie lub innego koloru, poduszka a na poduszce głowa. Kołdry i same głowy. Jedne obojętne z zamkniętymi oczyma, drugie ożywione, wpatrują się ciekawie, pytająco. I nie wiadomo, co właściwie ze sobą robić. Trudno przecież mówić do wszystkich odrazu, a z pojedynczym chorym — nie wiadomo co, jak do niego trafić. Leży ktoś zupełnie obcy, nieznamy, w dodatku zwykle zniechęcony do całego świata, apatyczny. O czem tu z takim gawędzić?

A takich sal nie jedna ani dwie, ale dziesiątki. I pierwszy raz nieszczególnie idzie. Za drugim razem już lepiej. Już jest jakiś punkt oparcia. Ktoś z nich zdrowszy, rezolutniejszy, zaczyna pogawędkę. Drudzy słuchają, dorzucają swe uwagi, pytania. Sala zaczyna żyć. A kiedy zaczną opowiadać swe przejścia i przeżycia, to siadają w łózkach o ile tylko mogą, stają się rozmowni, oczy im błyszczą z ożywienia i gestykułując żywo, malują w słowach swe przygody. A każdy z nich był świadkiem wielkich rzeczy. Mało teraz żołnierzy, którzyby śmierci nie patrzyli wprost w oczy. Karpaty, Gorlice, Serbja! Wszyscy pytają, jak długo jeszcze, kiedy się to skończy i jak.

Obok łóżek stoją krzesła lub umieszczone są deseczki. Na nich pudełka z tytoniem, papierosami, fajka, jakaś blaszanka lub łyżka, kartki i listy z domu, nierzadko fotografja. To żona z dziećmi. Często małe dziecko na kolanach matki obok niej większe. »Tego małego jeszcze nie widział« — objaśnia z rozrzewnieniem chory. »A ten chodzi już do szkoły, już mi pisze listy, a ta pomaga w gospodarstwie.« Tak opowiadają i są wdzięczni za słuchanie tego, co ich najwięcej obchodzi. Znajomość zacieśnia się. Nieraz proszą, by za nich napisać do domu, do dzieci.

Z czasem każdy chory w sali znajomy. Nie mają tajemnic, opowiadają o wszystkim, o swem szczęściu i o biedzie, o tem, co ich cieszy i co ich boli, o minionych i obecnych latach. Układają wspólne plany na przyszłość.

I sala przestaje być zbiorowiskiem nieznanym, obcych, chorych a staje się zespoleniem in-

dywidualności różnych, o ściśle określonym charakterze, usposobieniu i pojęciach, o własnej historii życia osobistego. I choć każda sala ma bezprzecnie swą odrębną nieuchwytną fizjognomję. swój odrębny charakter, to wyczuwa się, że każdy chory jest w niej całością, osobną istotą, o własnych przeżyciach, własnych pragnieniach i aspiracjach z własnym światem myśli, przekonań i pojęć.

Nieraz zacieśniają się węzły przyjaźni i gdy trzeba się rozłączać, to często lży są tej przyjaźni cichym a rzewnym świadkiem.

Przebicie frontu rosyjskiego w Gorlicach, cofanie się armji rosyjskiej na całym froncie wschodnim upoważniało do nadziei rychłej likwidacji wojny — tymczasem 23. maja wypowiedziały Włochy wojnę Austrii, co komplikuje jeszcze bardziej całą sytuację. Powstał nowy front w górach Alpejskich.

K r a k ó w, 6. lipca 1915.

Austria, Niemcy czyli państwa centralne otoczone obecnie ze wszystkich stron żywym murem wojsk koalicyjnych. Podobnie gigantycznych walk świat jeszcze nie widział. Czem się to wszystko skończy? Jedni i drudzy pewni zwycięstwa.

W Krakowie Prusacy czują się jak u siebie. Maszerują przez miasto całymi oddziałami. Cesarz Wilhelm ogląda Wawel. Sam go tam spotkałem.

Cały świat tarza się we krwi. Życie ludzkie straciło swą wartość. Na jeden odcinek frontu koncentruje się setki armat i bije doń całymi go-

dzinami. Wysadza się w powietrze całe fortyfikacje i tunele, wykute w skale razem z przebywającymi tam ludźmi lub zatapia torpedami okręty z setkami ludzi.

A szpitale pełne. Jedni ranni odchodzą, drudzy przychodzą ze wszystkich stron. Przewijają się przez sale szpitalne najrozmaitsze języki, religie, usposobienia i charaktery. Z połowy Europy i z Azji wszystko się znajdzie.

Z czasem dochodzi się do takiej wprawy w rozpoznawaniu typów i narodowości, że na podstawie wyglądu twarzy z góry można na pewne powiedzieć: to Niemiec, a to Czech, to Rusin, Moskal, Rumun i t. d. Porozumiewają się chorzy między sobą rozmaicie. Jak inaczej nie można, to na migi. Najbiedniejsi zawsze Rumuni, bo taki język, że ani rusz. A taksamo i z jeńcami z Rosji różnie bywa. Jedni mówią dość zrozumiale, drudzy tak, że nie sposób połapać się, czego chcą.

Przy całodziennej beczynności chce chory jakiegoś zajęcia, by sobie zapełnić czas. Pierwszą rzeczą, której się domaga, to gazeta. Chce wiedzieć, co się w świecie dzieje, co słyhać w domu i jak wojna idzie. Widzę często, jak im oczy błyszczą, kiedy przynoszę plik gazet. Każdy chce mieć swoje, w swoim języku, — Niemcy swoje, Czesi, Madziarzy, Kroaci swoje.

Poza tem pożądane są w szpitalu książki do nabożeństwa. Nigdy nie mają ludzie tyle czasu na skupienie i modlitwę, na rozmyślanie, co w szpitalu, kiedy całymi tygodniami leżą bez zajęcia. Tylko bardzo rzadko się zdarza, że ktoś książki nie chce. Na skutek prośby, ogłoszonej w gazetach,

przysłano mi z różnych stron dla chorych tysiące książek modlitewnych, a wszystkie się rozeszły. Nie moja rzecz pisać i sądzić o owocach tego masowego chwytania za książkę do modlitwy — nie da się to skontrolować.

Stwierdzam jednak, że widziałem cuda łaski i miłosierdzia Bożego, zdziałane przy pomocy najprostszej książki do nabożeństwa. I zdaje mi się nieraz, że przy obecnym wyzuciu się narodów w czasie wojny z wszelkiej etyki i bojaźni Bożej, urządza Bóg szkołę wiary i powrotu do Boga w szpitalach.

Te setki tysięcy szpitali w dzisiejszej Europie, większa w nich sposobność niż kiedykolwiek wejścia w siebie, zastanowienia się nad samym sobą, nad swoim stosunkiem do Boga, to z pewnością jeden z etapów, jakimi Bóg ludzkość ku Sobie dziś ciągnie i prowadzi.

K r a k ó w, 27. lipca 1915.

W jednym ze szpitali przy ul. Warszawskiej leży ranny w nogę dwudziestoletni Niemiec z Pragi czeskiej. W maju strzaskał mu odłamek szrapnela nogę w udzie. Obie kości złamane. Aby je złożyć i spróbować, czy się nie zrosną, obłożono nogę gipsem i zabandażowano. Żeby zaś noga była stale wyprostowana, przymocowano ją do żerdki, umieszczonej nad łóżkiem, a u stopy, względnie opatrunku przyprawiono dla obciążenia worek z piaskiem.

Ile razy wchodziłem, widziałem, że mój biedny żołnierzyczek odczuwa ból. Każde poruszenie było

dla niego męczarnią. Przed każdą zmianą pościeli i pozycji składał ręce, prosząc z płaczem, by go zostawić w spokoju. Leżał tak z podniesioną i wyprostowaną nogą tydzień, dwa, trzy — ile razy przyszedłem, zawsze to samo. Zacząłem już z niego nawet żartować, że tak umyślnie nodze nie pozwoli wyzdrowieć, bo mu się wstać nie chce. A on biedny nieraz przez łzy się uśmiechał, ciągle prosił o książki. Znosiłem, com mógł. Czytał dużo, pochłaniał wprost książki, szukając w tem ulgi.

Dałem mu książkę, traktującą o spowiedzi, zrobiła na nim takie wrażenie, że się potem co tydzień spowiadał i często Komunię św. przyjmował, drugich przykładem budował i w swe ślady wciągał.

A noga wciąż na »szubienicy« wisi. To na to — mówił — by przypadkowo do domu nie uciekł.

Wreszcie z końcem czerwca przychodzę, a mój męczennik bez szubienicy. Noga spoczywa swobodnie na łóżku w lżejszym bandażu.

— No chwała Bogu! — powiadam — niedługo będziemy mogli tańczyć.

— E, nie bardzo — uśmiecha się smutnie.

— Cóż takiego? Już chyba było dość tego wieszania?

— Kiedy mam nogę o trzy centymetry krótszą i będę całe życie kulawym.

Chciałem pocieszyć go żartami, ale nie przemawiało mu to do przekonania. Musiałem zacząć z nim poważnie. Skończyło się na tem, że się pogodził z myślą, że będzie trochę utykał, byleby już raz podnieść się z łóżka.

Kilka dni temu wstąpiłem do niego, by zobaczyć, co się z nim dzieje. Na pierwszy rzut oka poznałem, że tu coś niedobrego zaszło. Nie omyliłem się. Ze łzami w oczach, z ciężko tłumionem łkaniem, odrzuca biedny koldrę.

— Księżu, proszę patrzeć!

Noga zrobiła się bezkształtna, rozlana. Narzmiła do niebywałych rozmiarów. Straszne!

— Poco moje męki i bóle wszystkie? I tak nogę mi utną, niema ratunku.

Zabrakło mi słów. Uwięzły w gardle. Co mu powiedzieć? Są chwile, kiedy nie można nic mówić, bo wszelkie słowo traci znaczenie wobec ogromu nieszczęścia i jest przykrym zgrzytem tylko wobec tragizmu chwili.

Włożyłem mu do rąk w milczeniu krzyżyk, pokazując Ukrzyżowanego Króla boleści, zrobiłem znak krzyża św. na czole i pożegnałem.

To nie był mój ból, a jednak krwawił mi duszę i szarpał wewnątrz. A cóż dopiero musiał przechodzić on sam biedny!

A przechodząc koło kościoła Marjackiego, wstąpiłem przed cudowny ołtarz Ukrzyżowanego i dziękowałem Panu Jezusowi, że umarł na krzyżu rozpięty i przybity.

Bo cobym ja miał do powiedzenia moim kalekom, moim biednym chorym, gdyby w Twojem życiu, Panie, nie było krzyża, ran i drogi krzyżowej? Cóż miałbym znaleźć na pociechę?

Dopiero wobec dzisiejszej ogólnej grozy i nędzy zaczyna człowiek rozumieć słowa hymnu kościelnego: »O crux ave spes unica hoc passionis

tempore!« — »Witaj nam, Krzyżu, nadziejo jedyna, w tym czasie nędzy, w chwili cierpienia!«

Wystarczy wskazać na krzyż a wszelki bunt ustępuje, cichnie. To lepsze, skuteczniejsze, niż wszelka wymowa.

I jeżeli kiedy, to teraz będziemy ze zrozumieniem wołali: »Kłaniamy Ci się Panie Jezu Chryste i błogosławimy Tobie, żeś przez k r z y ż i m ę k ę odkupił świat.«

Wczoraj wezwano mię do mego chorego. Chciał się wypowiedzieć i przygotować do operacji, bo tak doktorzy zdecydowali, żeby nie dopuścić do gangreny i niechybnej śmierci.

Dziś rano odbyła się operacja.

Byłem u niego po południu. Zastąpiłem go spokojnego, zrezygnowanego. A gdy odsłonił kołdrę, zobaczyłem już tylko krótką, silnie obandażowaną część nogi, kikut.

Poco tyle bólu, cierpień? Poco tyle cierpieć, naco? I tak w rezultacie nogę odcięto.

Stracił biedak nogę, ale zyskał dużo, bo pogłębił swe życie duchowe, swój stosunek do Boga. I tego mu już nikt nie zabierze, tego już nie straci.

K r a k ó w, 20. sierpnia 1915.

W tej samej sali, co poprzedni mój znajomy, leżał od dłuższego czasu młody jeszcze, 19-letni chłopak, Czech z okolic Budziejowic. Pamiętam, kiedy go przywieziono do szpitala; był wtedy zupełnie nieprzytomny. Miał silną gorączkę i zdało się, że umrze. Odrazu udzieliłem mu Olejów św. w przekonaniu, że nazajutrz będzie z niego

nieboszczyk. Dostał postrzał w głowę, a takie rzeczy są bardzo niebezpieczne.

Ale Pan Bóg jakoś czuwał nad nim i choć życie na włosku wisiało, młoda natura przemogła i nasz Pepik — bo tak go nazywano — obronił się śmierci. Tylko rozum mu troszkę zamroczyło. Kiedy kto przystąpił do łóżka i zaczął o coś pytać, to jedyną jego odpowiedzią było:

— Ne delejte se mne blazna! Ja to powim mamince!

Wskutek postrzału stracił nadto władzę w całej lewej połowie ciała. Był sparaliżowany. Smutno było patrzeć na niego. Leżał całymi tygodniami bez świadomości i pamięci, — trzeba było obchodzić się z nim jak z dzieckiem, karmić, dawać pić i wlewać weń lekarstwa. Wyglądał jak chłopczyk, drobna twarz, zwykle rozpalona, w gorączce, oczy modre spoglądały nieprzytomnie, ciało leżało bezwładnie.

Dzięki znakomitej opiece lekarzy i Szarytek Pepik powoli przychodził do siebie. Umysł powoli się rozjaśniał i rozpoznawał otoczenie. Zaprzyjaźniliśmy się wkrótce bardzo i gdy tak się złożyło, że przez parę dni u niego nie byłem, to tęsknił i dopytywał się, kiedy »pan fararz« przyjdzie.

Z Pepika wyrobił się po kilku miesiącach troskliwej kuracji wcale sympatyczny kawaler, lubiany przez wszystkich, a że tam myśli często jeszcze mu się gmatwały, przytem wymowę miał nieco utrudnioną i nieraz miał śmieszne bardzo pomysły, więc naciągano go na wszystkie strony.

Lubił bardzo śpiewać. Kupiłem mu czeską książkę do nabożeństwa. Śpiewał z niej całemi go-

dzinami aż do znużenia. Melodje urabiał sam. Nie zawsze oczywiście odpowiadały zasadom harmonji. Ulubioną pieśnią jego była żołnierska:

Stoi vojak na varcie, na varcie,
v roztrhanym kabacie, kabacie...

Ponieważ dowiedziałem się, że Pepik ma być odesłany do innego szpitala, poszedłem pożegnać Pepika-przyjaciela. Leżał w jednej sali z poprzednim biedakiem bez nogi. Bandaż z głowy zdjęty. Zostało wyżłobienie na palce głębokie, ale zato Pepik blizki zupełnego wyzdrowienia. Na pożegnanie urządzili mi obaj znajomi koncert. Pepik śpiewał pierwszym głosem a Niemiec z Pragi, który umiał także trochę po czesku, wziął swe szczudło i przebierając na niem, palcami, jakby na harfie, wtórował:

Stoi vojak na varcie, na varcie
v roztrhanym kabacie, kabacie...

A gdyśmy się żegnali, tośmy wszyscy trzej mieli łzy w oczach.

K r a k ó w, 27. sierpnia 1915.

Wojska rosyjskie cofają się na całej linii. Królestwo polskie już całe w rękach państw centralnych. W Warszawie gospodarują Niemcy, w południowej części Królestwa Austriacy. Nazywa się to okupacja niemiecka i okupacja austriacka. Jedna od drugiej przedzielona nową granicą, biegnącą przez środek Królestwa od Dąbrowy górniczej równolegle do kolei warszawsko-wiedeńskiej.

będącej pod zarządem niemieckim, koło Piotrkowa, doliną Pilicy, przez Dęblin na wschód, w stronę Brześcia litewskiego. Żeby dostać się z jednej okupacji do drugiej, trzeba mieć paszport i zezwolenie władz. Władze zaś okupacyjne urządzą się jak w kraju podbitym. Na pierwszym planie interes zwycięzcy i jego wojska — na ostatnim ludności.

Przy ściganiu armji rosyjskiej dostaje się do niewoli dużo rannych jeńców. Dzisiaj umarł jeden z nich, z tych niezliczonych ofiar wojny. Pochodził z pod Kijowa. Żonaty, troje dzieci w domu. Chętnie opowiadał o swych stepach ukraińskich, ogromnych, tajemniczych, o Kijowie, tem ślicznem mieście, o Dnieprze kochanym, jego niezgłęzionych tajemnicach i topieliskach.

Oni wszyscy tak marzą i rozmawiają chętnie o swych chutorach, o chacie, gospodarstwie, o żonie i dzieciach. Żył sobie przedtem spokojnie, gdzieś daleko na olbrzymich przestrzeniach ukraińskich, uprawiał ziemię, Boga chwalił jak umiał, o nic się poza tem nie troszczył.

Przyszła wojna, zabrali go i kazali bić »Austrijców«, »Germanców«, gnali do walki między druty, zasieki, rowy — ot i dostało mu się kulą. Jego żołdacy uciekły lub były zabrane, »takojk i on. Taka dola! Ot cóż!

Nie znałem przedtem Rosjan, nie mam do nich żadnego uprzedzenia, i dlatego czuję do jeńców jakąś słabość i choć mnie z nimi nic nie łączy, lubię z nimi porozmawiać. To im sprawia ulgę. Z każdego z nich przebija szeroka, słowiańska dusza. I nieraz stałem między nimi i pytałem się

samego siebie: czyż to są ci prawdziwi Moskale, o których dzikości i okrucieństwach tyle się czytało i słyszało? Byłem ich otwartością i brakiem wszelkich uprzedzeń do mnie, jako księdza katolickiego, mile zaskoczony i zdziwiony.

Jeniec z pod Kijowa był ranny w nogę. Postrzał w goleń. Pewnego dnia zapowiedział mi, że odchodzi z transportem do innego szpitala i pożegnał się ze mną.

Po południu zajęchał samochód, przewożący chorych na kolej. Poumieszczano już wszystkich, przeznaczonych tego dnia do transportu, tylko dla naszego jeńca z pod Kijowa nie było już miejsca i pozostał. Wniesiono go ku jego zadowoleniu z powrotem na salę.

Ale od tego czasu zaczęło się w nodze coś gwałtownie i niespodziewanie psuć. Gorączka raz się podnosiła, to znowu gwałtownie opadała, nawet do 35 st., co jest rzadkością i zwykle zapowiedzią katastrofy. Równocześnie cierpienia w nodze się wzmagaly.

Znikła pogoda z oczu i ta dziwna równowaga, swoboda umysłu i duszy. Zaczęły się męki i cierpienia. Wszelkie oznaki przemawiały za tem, że noga zaczyna się psuć, że nastąpiło z jakiegoś powodu zakażenie krwi. Nie przypuszczałem, że to pójdzie tak prędko.

Dziś po południu przychodzę odwiedzić biednego. Stan ten sam. Temperatura bardzo niska, a chory aż syczy i wije się z bólu. Pot zimny zalewa mu czoło. Widzę że źle. Noga obwiązana bandażem kilka, może kilkanaście razy, a mimo to przez wszystkie bandaże przecieka ropa, choć o-

patrunek zmieniono przed południem. Chory skarży się, że bandaż ciasny, że boli szalenie. — Idę więc do lekarza i proszę, by biedakowi jakoś ulżył, bandaż zwolnił o ile można.

Przyszedł doktor, pielęgniarki — zaczęto odwijać szarpie, watę, opatrunki.

Tego, com zobaczył, nie widziałem nigdy w życiu. Noga nabrzmiała, rana postrzałowa długa, szeroka. Ale nie czerwona ani krwawa — wcale nie. Widać kość zdruzgotaną, złamaną, białą i ciało nie białe ani czerwone, ale zupełnie zczerniałe o kolorze brunatnym!

Zgnilizna rozszerzyła się w kilku godzinach z przerażającą szybkością. Lekarze stoją bezradni. Chyba nogę odciąć i to natychmiast.

Ale i to niepewne. Chory wycieńczony, osłabiony, narkozy nie przetrzyma. Będzie trzeba odciąć nogę bez usypiania.

Pytają czy, czy zgodzi się na odcięcie nogi. Chory w pierwszej chwili nie rozumie. Przecież nikt dotąd o tem mu nie mówił. Czyżby miało być tak źle?

I chory podnosi się, siada z trudem i spogląda na swą nogę, na swą ranę. Nie zapomnę nigdy jego oczu — tego wyrazu grozy i rozpacz i beznadziejności. Pada bezwładnie na łóżko i woła głuchym, bezdźwięcznym głosem: »Boże, mój Boże! Jaką miałem ranę przedtem, a teraz...!« I lży cieką z tych dobrych jego, pocziwych, jasnych oczu. Wie nieszczęśliwy, co to znaczy. Już zrozumiał.

Pytają się, czy zgodzi się na operację. »Nie — ja chcę umrzeć. To i tak nic już nie pomoże.«

Prosimy go wszyscy, by to zrobił dla dzieci, co w domu nań czekają, prosimy, by zrobił dla nich wszystko co może, żeby uratować życie. Ale nie zgodził się. Czuł dobrze, że to nie pomoże. Wiedział, że tego nie przetrzyma, bo za słaby.

Pozostawiono go. I słusznie, bo ledwo zdążyłem go wypowiedzieć, na śmierć przygotować, ledwo zdążył mi powiedzieć, co mam po wojnie napisać żonie i dzieciom, stracił przytomność, a za kilka chwil zakończył swe smutne życie, daleko od swoich, od żony i dzieci.

K r a k ó w, 6. września 1915.

Nie zawsze w szpitalu jest smutno. Były oddziały dla rekonwalescentów, bliskich wyzdrowienia, gdzie prócz ogólnego wycieńczenia, jakiegoś zakatarzenia, zdarcia naskórka, nie było nic poważniejszego.

Wtedy żołnierze poczciwi spędzali czas jak mogli. Grali w młynka, w owce, w fortecę, czasami pokryjomu w karty, czytawali, usługuwali innym chorym. Niektórzy strugali coś, rzeźbili, malowali a nawet haftowali. W kilku oddziałach wyrabiali koronki, różańce. A wśród tego nie brak było psot, śmiechów i żartów.

Szczególnie wesoło bywało w jednej sali, gdzie leżało dwóch cyganów. Krewniacy byli, to samo mieli imię i nazwisko. Jeden miał około 40 lat, drugi 19. Nie było końca pokpiwania sobie z jednego i drugiego. Nie bardzo było na nich znać choroby, więcej było udawania i narzekania. Nikt też nie chciał jakoś uwierzyć w ich cierpienia.

Był czas spowiedzi wielkanocnej. Spowiadałem wtedy pod rząd jednego chorego za drugim.

Przyszła kolej na cyganów. Przedtem jednak chciałem się upewnić, co też to za osobniki, czy wogóle wiedzą co o Bogu i Sakramentach św.

A więc najprzód pytania z katechizmu.

»Umiesz się modlić?« pytam starszego.

»Nie, a co to jest modlić?«

»Umiesz Ojczy nasz, Zdrowaś? Otcze nasz, jenz i si na nebiesich? Vater unser, Gegrüßet seist Du Maria? Mijantiankot? Uedvezledy Maria?«

Cygan wstrząsa ramionami, kręci głową, że nie.

»A przeżegnaj się!« Pokazuje ręką, jak się to robi, wielki i mały krzyż.

Ale i to bez skutku. Cygan nie wie, czy nie chce wiedzieć, co to jest. Że jest katolikiem, wiedziałem z papierów, jakie miał przy sobie.

»A byłeś kiedy u spowiedzi?«

Nie był nigdy jeszcze, mimo to że ma blisko 40 lat.

Okazuje się że do szkoły nigdy nie chodził, czytać i pisać nie umie.

O Bogu ma tylko słabe pojęcia, jako o wielkim, potężnym Duchu, który wszystko daje i wszystko stworzył.

Ani rano, ani wieczorem, nigdy się nie modli. Nikt go tego nie nauczył. Całe życie przewędrował bez ojczyzny, bez dachu nad głową. Ma żonę i troje dzieci. Gdzie są, nie wie. Nie boi się, że z głodu poumierają, bo cyganie im umrzeć nie dadzą.

To samo było z młodszym cyganem. Chodziłem do nich przez jakiś czas, uczyłem najprostszycz wiadomości katechizmowych, ale szło tępo, strasznie tępo. W rezultacie starszy nawet pacierza dobrze się nie nauczył. Był zdania, że i bez tego można być dobrym cyganem, zresztą niedługo obaj wyszli ze szpitala.

Nie chce się wprost wierzyć, że są dziś jeszcze u nas ludzie, żyjący jak poganie.

Powagi żadnej wyższej, autorytetu ani jeden ani drugi nie uznawał. Z nikogo sobie nic nie robił, nikt mu nie imponował. Oficer czy żołnierz, lub ksiądz — wszystko mu było jedno.

Kiedym pierwszy raz zanadto może rozmowę przedłużał, wstaje, prowadzi mnie do okna i powiada: »Panie farasz, widzicie tu trafiku tam? Przynieszte mi tabak!«

K r a k ó w, 8. września 1915.

Dziś święto Matki Boskiej. Miałem dwie Msze św. dla chorych. Jedną przy ulicy Warszawskiej w kaplicy Szarytek, drugą w kaplicy Seminarjum duchownego. Obie z nauką, przystosowaną do warunków.

W ciągu tygodnia w zwykłe dni mam Mszę codzienną w innym szpitalu po różnych salach. Stawia się pod ścianą jakiś dłuższy stół, nakrywa trzema obrusami, na to świece, krzyż, relikwie i ołtarz gotowy.

Mam zawsze takie dziwnie przejmujące wrażenie, kiedy wychodzę ze Mszą wśród szeregu łóżek szpitalnych. Na każdym z nich chory, cierpią-

cy. Koło łóżek grupują się zdrowi z innych sal. Schodzą się na nabożeństwo szpitalne, o ile tylko mogą. To dla nich ogromna radość i przedewszystkiem urozmaicenie. Twarze wszystkie poznać ból i przejścia wojenne. W tem środowisku, w takim improwizowanym kościele, gdzie każdego coś boli, gdzie połączył wszystkich i przyprowadził ból, odczuwa się lepiej głębokość myśli w modlitwach, z których składa się Msza św.

Takby się chciało podkreślić co drugie, trzecie słowo! —

— Quia Tu es Deus fortitudo mea — boś Ty Panie męstwem mojem — Spera in Deo — ufaj w Bogu! A dalej: — Adjutorium nostrum in nomine Domini — pomoc nasza w imieniu Pańskim — Kyrie eleison — Panie zmiłuj się nad nami. Dona nobis pacem — pokoju użyż Panie! — Ile to rzewnej i radosnej treści tkwi w często słyszanych słowach: Dominus vobiscum — Pan z wami!

Słowa te na sali wśród chorych, rannych są głęboką modlitwą o to, by Pan zstąpił między tych biednych, nieszczęśliwych, by ich podniósł, pocieszył tak, jak to robił, żyjąc na ziemi, kiedy uzdrawiał, łagodził nędzę, ocierał zły.

Wyczuwają to, pamiętają o tem obecni. Spojrzeć tylko na te rozmodlone twarze i oczy! Jedni modlą się z książek, drudzy na koronce, inni, ciężko chorzy, nawet ruszać się mogą, więc choć spoglądaniem na sprawowaniem bezkrwawej Ofiary i ofiarowaniem swych cierpień przed Bogiem się korzą.

Czasem zdrowi śpiewają.

A kiedy zstąpi Pan Jezus żywy na ołtarz, między chorych, to wprost czuje się bezpośrednio Jego bliskość i dobroć i oddziaływanie na tych, co Go o pomoc i zmiłowanie proszą. Chorzy cieszyli się zawsze szczególnymi względami Zbawiciela. I dziś z pewnością taksamo. Byleby serca czyste były.

Każde takie nabożeństwo tworzy w swoim rodzaju cudny obrazek. Tyle w każdym nabożeństwie malowniczości i rzewności. Wprawdzie zawsze jedna Msza, jedna ofiara, a jednak zawsze coś innego, inni ludzie, inny nastrój, inne otoczenie. To w sali szkolnej — ołtarzem są dwie przysunięte do siebie katedry, a tłem tablica, na niej krzyż lub jakiś obraz. To znowu w dużej sali wykładowej Muzeum techniczno-przemysłowego lub w sali Akademii Sztuk Pięknych — ołtarz pod oknami, wychodzącymi na plac Matejki, z widokiem na potężny pomnik grunwaldzki Jagiełły, a na ścianie obrazy pierwszorzędnych mistrzów. Albo w Kasynie szlacheckim przy ul. Wolskiej, gdzie dawniej huczno, wesoło bywało, gdzie trwoniono nieraz mienie i zdrowie — dziś Bóg we Mszy św. szpitalnej do chorych i rannych przychodzi. Lub też w ślicznej kaplicy Seminarjum duchownego, albo u Nazaretek, z przemitym śpiewem dzieci lub samych zakonnic.

Kiedy wszystko obecnie zbankrutowało, kiedy cała bryła świata wyleciała z posad i pławi się we krwi, kiedy ziemia stała się krwawą areną szatana-niszczyciela, co lubuje się w dymie, w prochu i krwi, mordach wzajemnych, kalectwie, nie-

szczęściu miljonów, to na tem okropnem, krwawem tle ocenia się głębiej wartość prawd i pościech religijnych, wiary w Boga, w wieczność.

Muszę napisać także o nabożeństwach u jeńców Polaków z wojska rosyjskiego, w barakach w Dąbiu koło Krakowa. Jeżdżę do nich co dwa tygodnie. Jest ich tam katolików koło trzystu, z najrozmaitszych miejscowości z Królestwa i z Rosji, a nawet z Sybiru.

W barakach urządza się prymitywny ołtarz, na nim stawiam przywieszoną ze sobą rzeczy i rozpoczyna się Msza św.

Przypominają mi się wtedy czasy apostołskie, czasy pierwszych chrześcijan, kiedy odprawiano Msze i agapy w norach i podziemnych lochach, w katakombach, kiedy chrześcijanami byli wyłącznie niewolnicy i najbardziej upośledzone najniższe warstwy społeczeństwa.

Jak sobie zawsze cenią ci jeńcy, nowocześni niewolnicy, tę ofiarę Mszy św., to misterjum dobroci Bożej! Jak się oni pobożnie modlą! Z jaką pokorą zwracają się do Tego, który zstępuje dla nich w czasie Podniesienia z nieba, do tych ubogich, brudnych baraków, otoczonych dookoła strażą i drutem kolczastym!

Zyczyłbym każdemu, by mógł przyjść i przypatrzeć się tym jeńcom, jak stale garną się do Sakramentów św., by mógł wsłuchać się w szept niezrównanej modlitwy i w tęskne dźwięki staropolskich Godzinek, kiedy wszyscy z setek piersi śpiewają:

Przenajświętsza Matko Boża, o Marjo,
Gwiazdo burzliwego morza, o Marjo!
Bądźże pozdrowiona, Panno uwielbiona
I błogosławiona, o Marjo!

a potem:

Przybądź nam miłościwa Pani ku pomocy,
A wybaw nas z potężnych nieprzyjaciół mocy.
Chwała Ojcu i Synowi Jego przedwiecznemu
I równemu Im w Bóstwie Duchowi świętemu.

Tak śpiewają jeńcy-Polacy i śpiewaniem, modlitwą, dusze swe krzepią. Choć na chwilkę nie czują wtedy, że są w niewoli. Przenoszą się myślą do swych wiejskich kościołów w domu, bo to ta sama Msza, ten sam Pan Jezus, te same Godzinki.

A po nabożeństwie śpiewam z nimi zwykle różne pieśni — potem otaczają mnie, przedstawiają swe życzenia, skargi, prośby, wypytują co nowego w świecie, kiedy się wojna skończy, kiedy będą mogli wrócić do swoich, do swych chat niskich, ale kochanych, do swej ziemi, przesiąkniętej ich łzami, krwią i potem.

Bardzo są wdzięczni za papierosy, obrazki, medaliki.

Każdy, czy chory, czy inwalida, czy jeńiec, ma swój ból własny, co mu się z przedłużaniem się wojny coraz głębiej w duszę wgryza i wszędzie się przejawia. Każdego trawi tęsknota wielka i jedno pragnienie: skończyć z tem wszystkim.

K r a k ó w, 12. października 1915.

Od kilku miesięcy jestem równocześnie kape-
lanem inwalidów krakowskich. Umieszczeni są
w osobnych domach i szkołach inwalidzkich. Tam
pozostają oni pod dozorem lekarskim, póki rany
ich zupełnie się nie zagoją. Równocześnie robi się
starania o zapewnienie tym biedakom przyszłości.
O ile który pozostał bez ręki lub nogi, otrzymuje
sztuczną, tak zwaną protezę i uczy się jej uży-
wać. Wskutek kalectwa inwalida musi zwykle
zmienić swój dawny sposób zarobkowania. Przy
każdym domu inwalidów jest więc szkoła, gdzie
różni fachowcy uczą się rzemiosł, zastosowanych
do upodobania i zdolności każdego z nich. Istnie-
ją warsztaty krawieckie, szewskie, koszykar-
skie, ślusarskie, introligatorskie, drukarskie. W
Mydlnikach koło Krakowa jest nawet szkoła rol-
nicza dla inwalidów. I każdy uczy się czego mo-
że, żeby w przyszłości nie stać się dla drugich
ciężarem.

Choć dom inwalidów nie ma nic wspólnego
ze szpitalem, jednak cięży tam jakaś dziwnie cięż-
ka atmosfera.

W szpitalu każdy chory ma nadzieję, że wy-
zdrowieje, że będzie lepiej. Tymczasem inwalida
już tej nadziei nie ma. On się już nie łudzi. Wie,
że jest kaleką i pozostanie nim na zawsze.

Nic dziwnego, że jest zgorzkniały i stale nie-
zadowolony. Inwalida ma żal do wszystkich i o
wszystko.

Trudno też trafić do serca inwalidy. Ma wie-
cznie jakieś skargi, życzenia i żale.

Są różni między nimi, młodzi i starsi, po dwadzieścia, trzydzieści i więcej lat, a nawet tacy, co już włosy siwizną mają przyprószone, starsi odemnie. Jeden oka nie ma, znać dobrze krwią nabiegłą szramę od szabli przez głowę i oko. Drugiemu brak ręki jednej lub drugiej, a nawet obu. Inny ma sztywne palce lub dłoń odciętą. Sami tacy, co śmierci zaglądali w oczy, co byli pod gradem pocisków i kul.

W szkole przy ul. Smoleńsk jest inwalida, którego nazywają wszyscy dziadkiem. Nie był żołnierzem, ma już koło 60 lat. W czasie bitwy wpadł granat do jego chaty i zrobił go na zawsze kaleką. Wzięto go do szpitala i zobowiązano się dać mu protezy.

Przechodzę pewnego dnia po salach. Widzę kogoś nieznanego jeszcze. Podchodzę, by go przywitać, zapoznać się z nim. Twarz miła, oczy dobre, łagodne, włosy już siwe. A dziadek podchodzi do mnie i schyla się, by mnie pocałować w rękę. Podaję mu rękę, a dziadek wyciąga do mnie tylko — obcięty kciuk. Prawą rękę ma uciętą. Patrzą — a on i lewej nie ma. Ucięta przy samem ramieniu! Człowiek bez rąk.

Zdrętwiałem, nie wiedząc, co dziadkowi dobrego powiedzieć. Są chwile, kiedy na widok nędzy i nieszczęścia cały proces myślenia na chwilę ustaje, człowiek wtedy zamienia się cały w samo tylko uczucie, a ma wrażenie, jakby go ktoś obuchem uderzył i mowę odjął.

Z trudem wielkim przechodzi mi przez gardło zwyczajne: »Jak się macie?«

»A dobrze« — powiada dziadek — »tylko mi źle, że się ni przeżegnać, ni na różańcu pomodlić nie mogę.«

To tylko polski chłop wobec całego, bezgranicznego swego nieszczęścia tak powiedzieć potrafi. Tylko on tak dziś, wbrew wszelkiej nadziei, w Bogu nadzieję całą złożył. Nie szemrze, nie rozpacza, nie buntuje się — owszem chciałby się żegnać i do Boga mimo wszystko wołać: Chwała Ojcu i Synowi i Duchowi św.!

Jak strasznie małym czuje się człowiek wobec takiego cichego, pokornego bohatera! I kiedy mi źle, ciężko bardzo, to przed sobą widzę dziadka bez obu rąk z pogodną, uśmiechniętą dobrotliwie twarzą, dziadka, co nie skarży się na kalectwo i nieszczęście, lecz tylko na to, że Boga po dawnemu chwalić nie może!

K r a k ó w, 22. października 1915.

Rano odprawiłem Mszę św. pierwszy raz w kościele Marjackim, przed ołtarzem, gdzie przechowuje się Najśw. Sakrament.

Przed południem nauka religii u inwalidów, w gmachu Muzeum techniczno-przemysłowego przy ul. Smoleńsk, w sali na drugim piętrze. Mówiłem im o Opatrzności Boskiej, która nas stale podtrzymuje, troszczy się o nas i prowadzi najrozmaitszemi drogami. Jednego kula na wojnie zabija, drugiego omija, innego rani nieraz w dziwny sposób. — W szpitalu, mieszczącym się w Seminarjum duchownem, leży ranny sanitariusz. W czasie opatrywania rannych po bitwie w Karpaczu.

tach zabłąkana kula przeszła przez powiekę, która pozostała obecnie nieczułą i nie podnosi się, a potem ta sama kula wyleciała nosem. O włos, a naruszyłaby mózg i przyniosłaby śmierć. Ile to razy słyszy się o odbiciu kul od medalików i książek do nabożeństwa! Prawda — są i tacy, co im pocisk zmiażdżył rękę, nogę, co stali się na całe życie kalekami. Ale i tu widać dobroć Bożą i Opatrzność. Coby było z niejednym, gdyby ten sam pocisk poszedł troszeczkę inaczej, gdyby trzeba było może bez przygotowania, może w grzechu ciężkim tak niespodziewanie, nagle stanąć przed wiecznym sędzią? I dlatego Bóg zostawił cię wtedy przy życiu, byś ty, wprawdzie z jedną tylko nogą, z jedną ręką, z kilku palcami, ale na pewno dostał się do nieba, o ile tylko sam zechcesz. Dlatego nie przeklinaj ty dziś swego krzyża, bo cię krzyż do Boga zbliża!

Pan Bóg nie daje nikomu cierpienia ponad siły. Cierpienie i kalectwo to często dowód zaufania Bożego. Kto inny pewnoby zmarniał przy tym bólu, jaki ty masz — ty natomiast zniesiesz, zmęźniejesz, zahartujesz się duchowo. Boisz się, że sobie nie dasz rady w życiu? — A pamiętasz ty o Chrystusowych liljach polnych i wróblach, co ani sieją, ani żną, ani zbierają do gumien, a jednak Ojciec niebieski pamięta codzien o nich i żywi je? — A tylko o tobie, w którego sam wpoił tyle tęsknoty za szczęściem, o tobie, coś tyle wycierpiał i co doń zawsze z taką ufnością się modlisz — o tobie jednym miałby zapomnieć?

Słuchali biedacy cichuteńko. Łzy w oczach się perlily.

Na zakończenie zaśpiewałem z nimi: »Nie płaczcie, dziecino, choć cię pali ból« i do Serca Jezusowego »Z tej biednej ziemi, z tej lez doliny«.

Po południu pojechałem do Mydlnik, gdzie znajduje się szkoła rolnicza dla inwalidów, urządzona w tamtejszym dworze na górze. Duży dom z ogromną salą, opartą na kolumnach, z czterema piecami, choć wszędzie zimno.

Po nauce pieśni religijne i patryotyczne. Ludzie, którzy śpiewają, nie mogą być źli. Chciałbym bardzo, żeby moi inwalidzi stawali się coraz lepszymi wbrew powszechnemu zepsuciu wojennemu.

K r a k ó w, 3. listopada 1915.

Dziś odbyło się zebranie w »Czerwonym Krzyżu« przy ul. Basztowej 6 w sprawie opieki nad chorymi.

Chorzy, ranni, jeńcy zasługują nietylko na opiekę wojskowości, ale i społeczeństwa naszego. Chodzi tu o uprzyjemnienie im długich dni cierpień, wpływanie na nich w kierunku moralnym, podnoszenie, krzepienie ducha i przeciwdziałanie ujemnym skutkom wojny.

W pierwszych dniach wojny odwiedzanie chorych było bardzo modne. Odbywały się w szpitalach istne pielgrzymki, nieraz nawet ze szkodą dla chorych. Dziś prócz krewnych nikt prawie chorych u nas nie odwiedza. Czasem tylko przyjdzie jakaś pani z Ligi kobiet, stanie u wejścia i dowiadyje się, czy niema Legjonistów z pierwszej brygady. Inni nie obchodzą jej zupełnie. A przecież

wszyscy chcieliby usłyszeć czasem coś z poza szpitalnego świata, zająć się czem innym niż własną niedolą. Odkąd zostali wyrwani z domu, ze zwykłego, spokojnego życia, mieli już tylko do czynienia z wojną, z koszarami, z barbarzyństwem, dobrze więc byłoby, żeby zetknęli się choć czasem z myślą o rodzinie, społeczeństwie i narodzie naszym. Kobieta, jak zdołałem zauważyć, wpływa zawsze kojąco i dodatnio na chorych w szpitalu.

Zebrało się sporo pań: Księżna Czartoryska, hr. Szeptycka, ks. Sapieżanka, p. Ujejska, hr. Mieroszewska, pp. Kossakowa, Gniewoszówna, Leowa, Łozińska, Stachiewiczowa, Jawornicka, Spornówna. Przyszła także delegacja zjednoczonych Sodalicyj Marjańskich krakowskich z O. Haduchem T. J. na czele i obiecała poparcie. Omówiono sprawę życzliwie, na podstawie mego referatu i mam nadzieję, że coś z tego będzie.

K r a k ó w, 22. listopada 1915.

W połowie listopada byłem na krótkim urlopie na Śląsku. W Cieszynie widziałem się z ks. posłem Londzinem. Z rozmowy z nim wywnioskowałem, że sprawa polska na Śląsku, w miarę sukcesów niemieckich, przedstawia się coraz niekorzystniej. Nastrój sfer rządowych dla Polaków na Śląsku i zdaje się wszędzie, bardzo nieprzyjazny. A ludność cała ma już dość wojny i pragnie całą duszą końca. To samo potwierdzali: ks. prof. Tomanek, ks. kanonik Moron i ks. radca Olszak, których spotkałem. Wszyscy podnosili ujemne strony

wojny, wielkie zepsucie w rodzinach i demoralizację kobiet.

Sam Cieszyn zrobił na mnie po kilku miesiącach nieszczególne wrażenie.

W domu zastałem wszystko dobrze. Matka, cierpiąca od początku wojny na rozstrój nerwowy, ma się znacznie lepiej. Chwała Bogu! Odżyłem na chwilę.

W Jabłonkowie byłem tylko przez kilka godzin. Odwiedziłem swego ks. proboszcza Waschitzę, który mnie nadspodziewanie życzliwie przyjął, dalej obu księży wikarjuszów i sklep »Spółki chrześcijańskiej«.

K r a k ó w, 26. listopada 1915.

W niedzielę byłem z nabożeństwem w Dębiu, w barakach u jeńców. Zebrało się ich koło dwustu. Przed Mszą św. wypowiadałem kilkunastu, a w czasie Mszy św. powiedziałem im na tle Ewangelji niedzielnej naukę o sądzie ostatecznym, który nas czeka i o krzyżu, co wtedy na niebie pokaże się jako znak Syna człowieczego. Co powiedzą jeńcy, kiedy ten krzyż zobaczą? Czy powitają go z radością jako nieodstępного towarzysza swego w czasie wojny i w niewoli, jako dobrego znajomego, do którego w chwilach ciężkich często się zwracali — czy też będzie im ten krzyż wyrzutem, przypomnieniem, że go znać nie chcieli, że i krzyż i Boga i siebie przeklinali.

My wszyscy krzyżową, ciernistą idziemy drogą w czasie wojny, cały nasz naród ugina się pod ciężarem doświadczeń. Wydaje nam się ta droga

długa, ale i ona się skończy, jak się skończyła Chrystusowa droga krzyżowa i przyjdzie zwycięstwo — zmartwychwstanie — powrót do swoich, do domu.

Po Mszy św. powiedziałem jeńcom, że to »polska niedziela«, bo Ojciec św. wezwał cały świat katolicki do modlitw za Polskę w dniu dzisiejszym i do składek na chleb dla zniszczonej, głodnej Polski. Zmówiliśmy wspólnie w intencji Ojca św. litanję, a potem rozdałem jeńcom przywiezione książki i obrazki.

Na koniec jak zawsze śpiewy. Miałem dużo radości, że Polak ze Śląska może uczyć jeńców-Polaków, zebranych ze wszystkich stron Polski i Litwy, a nawet z Sybiru, takich pieśni, jak: »Z dymem pożarów«, »Boże coś Polskę«, zakazanych tam przed wojną.

K r a k ó w, 27. listopada 1915.

Po nabożeństwie dla chorych w szpitalu, urządzonym w szkole miejskiej obok klasztoru OO. Bernardynów, byłem u p. Rydlowej, matki poety Lucjana Rydla. Codzień w czasie jej choroby przynoszę jej Komunię św. z pobliskiego kościoła Sióstr Sercanek przy ul. Garncarskiej.

P. Rydlowa, córka filozofa Kremiera, pamięta jeszcze dobrze stary Kraków, opowiada chętnie o wielu osobach, o których dotąd tylko czytałem, a których już dawno nie ma. Lubi też opowiadać o synu poecie, który stale urządził w domu i wśród kolegów różne kawały. Zresztą i teraz jeszcze często z rozmowy z nim przebija sympa-

tyczny urwisz, który z filozoficznych dociekań przeskakuje na takie tematy prozaiczne, jak słonina i skóra. Przy matce mieszka siostra poety Hanka, którą Wyspiański uwiecznił w »Weselu«. Należy do Ekonomek, to znaczy świeckiego stowarzyszenia św. Wincentego à Paulo, pielęgnuje chorych, zajmuje się wyjątkową nędzą po zaułkach, piwnicach i poddaszach. Ile lez ociera, ile ludzi chroni przed głodem, to tylko Bogu wiadomo.

Wczoraj dowiedziałem się, że mam opuścić Kraków a pójść do Iwangrodu — Dębina w Królestwie.

Nie zaskoczyło mnie to wcale — zwłaszcza po różnych utarczkach w ostatnich tygodniach z władzami wojskowemi o nabożeństwa dla jeńców i opiekę w szpitalach, oraz o moje nieaustrjackie metody w spełnianiu obowiązków kapelana wojskowego — jednak żał mi opuszczać Kraków.

Dęb lin, 6. grudnia 1915.

Znalazłem się w Dęblinie.

W Krakowie pożegnałem się ze znajomymi, o ile czas pozwolił. Byłem u księcia Biskupa Sapiehy. Przed audjencją powiedział mi sekretarz księcia Biskupa, ks. dr. Niemczyński, że ksiądz Biskup żałuje, że odchodzę z Krakowa. Było to dla mnie nagrodą za trudności i przejścia ostatnich tygodni. Po miesiącach wytężonej pracy w obcej diecezji, w samem sercu tej diecezji, miło mi było usłyszeć słowa uznania, pochodzące od samego Pasterza tej diecezji. Sam książe Biskup powiedział mi to samo, pożegnał mnie bardzo serdecznie, dał

na pamiątkę swą fotografię, krzyżyk na drogę i powiedział: »o ile kiedy księdzu źle będzie, proszę się odnieść do mnie.«

Nadzwyczaj serdecznie zegnali mnie Państwo Gniewoszowie. Złote dusze. Zawdzięczam im tyle! Przygarnęli mnie do siebie jak swego, choć mnie wcale nie znali. Poznałem najprzód p. Anielę Gniewoszonę podczas zaopatrywania ciężko rannego żołnierza. Później poznałem jej matkę — obie wyjątkowe, święte dusze, jakby nie z tego świata. Kiedy byłem nieraz czemś znękany, przybity, to sama rozmowa z niemi podnosiła ducha. Panna Aniela była od początku wojny prawdziwym duchem opiekuńczym dla chorych. Napotykała nieraz dużo przykrości, ale wszystko znosiła z dziwnym spokojem. Chorym, rannym rozdawały wszystko. Znają ją wszystkie dziady krakowskie, żebraczkі — a żołnierze nazywają ją: »nasza pani«. Jej kieszenie, tłomoczki były stale pełne, umiała zawsze coś dla chorych uszyć, wykroić lub kupić albo wydostać. Kiedy miałem odprawiać nabożeństwo w barakach dla jeńców, nie miałem żadnych absolutnie przyborów potrzebnych. Panna Gniewoszonna i jej brat Karol, prokurator sądu krakowskiego, poradzili na to w przeciągu tygodnia. Znalazł się dziwnym sposobem i kielich i ornaty, cyborjum, alby, bielizna, hostje a nawet harmonjum składane, na którym sama w barakach w czasie mszy św. przygrywała. Chorych, rannych, inwalidów napędzała do spowiedzi i często sama przygotowywała — była moim wikariuszem, jak sama siebie żartobliwie nazywała.

Dęblin, 7. grudnia 1915.

Jazda do Dęblińska nie ciekawa. Pociąg pociąg po-
pieszny w stronę Trzebini spóźnił się o trzy go-
dziny. Pojechałem więc zwykłym, pocztowym o
6.50 rano. W wagonie spotkałem węgierską ko-
misję poborową. Pułkownik, dwóch lekarzy i sta-
rosta z Iglo na Węgrzech, jakiś baron, który opo-
wiedział mi, że jeździ z komisją poborową na te-
renie okupacyjnym Królestwa Polskiego i prze-
gląda cywilnych robotników, obywateli austriack-
kich. Był też w Dęblinie. Od niego pierwszego za-
czerpnąłem trochę wiadomości, co to jest Iwan-
gród, czyli Dęblin. Wiadomości niezbyt pociesza-
jące. Opowiadał, że niema tam ani kościoła, ani
księdza, miejscowość spustoszona. Radził mi żar-
tem, bym się dobrze modlił, by pociąg nie wpadł
z mostu pod Dęblinem do Wisły, bo austriacki
most prowizoryczny, wskutek podniesienia się
wody w Wiśle, bardzo niepewny.

W Trzebini znalazłem się około 9. rano.
Stamtąd do Kiele bez przesiadania.

Wjeżdżałem pierwszy raz w życiu na teren
Królestwa Polskiego. Ślady wojny widoczne od
Wolbromia i Olkusza. Budyńki kolejowe zrujno-
wane, spalone. Stoją nagie mury, zczerniałe od sa-
dzy i dymu. Funkcjonuje tylko jeden tor kolejowy,
drugi zniszczony, pozostały z niego tylko ślady.
Wzdłuż toru drut telegraficzny w nieładzie po-
zrywany. Gdzieś słupek pochylony, a z niego
zwisa drut, niby gałązki brzozy płaczącej. Od
czasu do czasu spocznie oko na samotnym grobie,
oznaczonym prostym krzyżem. Czasem widać ca-

łą ich grupę — w środku duży krzyż brzozy, co rozpostarł swe ramiona nad mogiłami cichych, zapomnianych ofiar tej strasznej wojny. — W Miechowie dworzec doszczętnie spalony. W Kielcach stanąłem koło ósmej wieczorem. Następny pociąg miał odejść dopiero o 12. w nocy. Poszedłem do miasta, zjadłem coś i czekałem na pociąg do godz. 1. w nocy. Ulokowałem się na kupie węgla w jakimś baraku, postawionym koło ruin dawnego budynku stacyjnego.

Skoro dzień zaczęło, zauważyłem z pociągu, że okolica, przez którą przejeżdżamy, jednostajna, płaska i bezdennie smutna, pozbawiona wszelkich wzniesień i pagórków. Wszędzie same pola, łąki, piaski, lasy i bagna. Inaczej niż na Śląsku.

Takby się chciało widzieć jakieś wzniesienie, górkę, a tu nic — tylko jednostajna, bezkresna równina. Gdzieś tam wieś, chałupy biedne, słomą kryte, na ogół całe, oszczędzone przez wojnę, zniszczone przeważnie tylko w pobliżu toru kolejowego.

Stacje kolejowe umieszczone tymczasowo na bocznicach, w wagonach. Tam są kancelarje i mieszkania. Personal cały wojskowy, konduktorami żołnierze.

Nareszcie koło godz. 8. rano Iwangród-Dęblin, a właściwie stacja prowizoryczna nad Wisłą. Powiedziano nam, że trzeba wysiąść i iść piechotą na miejsce, bo przez most na Wiśle kolej już nie kursuje. Wziąłem trochę rzeczy, by ulżyć memu służącemu Andrzejowi i puściliśmy się pieszo przez nowy, ale bardzo chwiejący się most na

Wiśle. Po dawnym rosyjskim moście, wysadzonym w powietrze, pozostały tylko olbrzymie przęsła i szyny bezładnie pogięte, leżące w wodzie.

Tuż za mostem kilka budynków czerwonych, koszarowych — to cel podróży. Okazuje się, że prócz tych budynków, z całej twierdzy właściwie nic nie pozostało.

Kiedy pisano w sierpniu o zdobyciu Dęblina, myślano ogólnie, że to jakieś duże miasto. Tymczasem jestto osada tylko wojskowa, zbudowana jako twierdza w głównej części pod ziemią u ujścia Wieprza do Wisły, na miejscu, gdzie przedtem były tylko moczary i łąki. Od Jana, czyli po rosyjsku Iwana Paskiewicza, właściciela okolicznych folwarków i pogromcy powstania polskiego, nazwano twierdzę Iwangrodem.

Dziś po południu zwiedziłem twierdzę. Centrum stanowi obszerna, imponująca cytadela, a naokoło w promieniu paru kilometrów istniało kilka fortów. Do cytadeli przechodzi się przez wysoki wał, potem fosa, jakby łąka szeroka zalana wodą, a po drugiej stronie wysoki, kilkaset metrów długi mur. U wejścia piękna brama ze św. Mikołajem u góry, z wału do bramy prowadzi most, obecnie zniszczony.

Przechodzimy po zarzuconych przez wodę kładkach i dostajemy się przez bramę na ogromny plac, otoczony dookoła koszarami, przykrytymi ziemią. Na placu duże budowle, magazyny, koszary, dom komendanta, szkoła wojskowa, elektrownia, kasyno wojskowe, cerkiew garnizonowa, a wszystko z zewnątrz niewidoczne. Miało tam być pomieszczenie na kilkanaście tysięcy żołnierza.

A dziś tylko ruiny i zgliszcza. Spalono wszystko przed oddaniem Austriakom, zostały zczerniałe mury, rumowisko bezładne i kupa gruzów. Jeszcze dziś czuć spaleniznę.

W środku cytadeli duża cerkiew garnizonowa, stosunkowo najlepiej utrzymana. Na ścianach pomalowanych na żółto, tysiące białych plamek. To ślady strzałów karabinowych. Z kopuły zwieszają się zeschnięte gałęzie — tam Rosjanie urządzili sobie punkt obserwacyjny i zakryli go zielenią. Dlatego ostrzeliwano i cerkiew. Wszystkie szyby potłuczone. Wewnątrz cerkiew zupełnie zdewastowana, ołtarz rozebrany, carskie wrota rozbite, obrazy wykradzione, po posadzce walają się rupiecie, jakieś galony z mundurów rosyjskich, podarte ornaty, metryki, jakieś pokwitowania, rachunki i kilka tomów »Wiestnika cerkiewnego«.

Dziś chce zarząd wojskowy zamienić cerkiew na kościół katolicki, bo prawosławnych ani w wojsku, ani wśród ludności w okolicy niema.

Tak wygląda Dęblin.

W a r s z a w a, 9. grudnia 1915.

Jestem w Warszawie ze sprawunkami, dotyczącymi urządzenia kościoła w Dęblinie. Jestem w sercu Polski, w tej biednej, dziś głodnej Warszawie. Ile myśli ciśnie się pod pióro! Nie umiem tego wyrazić co czułem, wjeżdżając pierwszy raz do Warszawy.

Warszawa! Jedno słowo, a mówi tak wiele — szczególnie dla Ślązaka, co słyszał przedtem o Warszawie, jako o czemś dalekiem, mało dotąd

dostępny, a jednak drogiem i wielkim. Warszawa taka mocna i wielka, tyle przeszła, przecierpiała i dziś znowu cierpi...

Dziś w pruskich rękach. Przeżyła wszystkie wstrząsy wojny, dziś przeżywa nową niewolę. Rekwizycje bezwzględne, dyktowanie dowolnego kursu pieniądza, wprowadzanie bezwartościowej waluty, cicha kontrybucja, codziennie nowe rozporządzenia, grożenie karami do 50 lat więzienia, rozpieranie się pruskiej buty w rekwizowanych siłą mieszkaniach, na ulicy, głodzenie systematyczne ludności, wywożenie, rabowanie publicznego mienia.

I dziś widzi się na ulicach Warszawy skulone postacie, blade, żółte, z wpadniętymi głęboko oczyma, postacie wzbudzające litość, bo rzeczywiście głód cierpią. Nie zapomnę nigdy kobiety, wynędzniałej jak szkielet, z cerą wyżółkłą, z dzieckiem na ręku, przy ul. Marszałkowskiej.

Po wsiach koło Dęblińca nie zauważyłem nędzy, o jakiej nieraz opowiadano, przypuszczałem, że to przesada, jednak w Warszawie przekonałem się naocznie, że jest źle, bardzo źle.

Byłem w Konsystorzu arcybiskupim w sprawie paramentów do kościoła wojskowego w Dęblińcu. Regens Konsystorza, ks. prałat Sokołowski, polecił mi udać się wprost do ks. Arcybiskupa.

Właśnie przyjechał ks. Arcybiskup z katedry. Poszedłem za nim na pierwsze piętro. Poczekalnia przypomina krakowską w pałacu biskupim. Sam Arcybiskup Kakowski jest bardzo przystępny. Wysoki mężczyzna, oczy niebieskie, nosi okulary,

wygląda najwyżej na lat 40. Z twarzy przebija jakieś przemęczenie, ból.

Wrażenie to wzmagą się, gdy Arcybiskup skarży się na zniszczenie w swej diecezji. Dzieśiątki kościołów już nie istnieją, legły w gruzach. To robota przewrotna Prusaków, a nie zawsze wynik względów strategicznych. W Łodzi zamieniono kościół na garaż, choć w tak dużym mieście można było z pewnością znaleźć odpowiednie pomieszczenie. Gdzieindziej zamieniono kościoły na stajnie. Sami Niemcy fotografowali to i rozsyłali w różne strony, jakby nie rozumiejąc, że sami się tem osądzają. Fotografje takie ma ks. Arcybiskup u siebie. Paramenta, bielizna kościelna pokradzione. Są miejscowości, gdzie nie pozostało literalnie nic. Obecnie chodzi o pierwszą pomoc. Ks. Arcybiskup utworzył w tym celu komitet diecezjalny z ks. prałatem Brzeziewiczem, proboszczem kościoła św. Aleksandra, na czele. Komitet ten zbiera nadliczbowe paramenta z zamożniejszych kościołów i rozdziela je, gdzie trzeba. Do tego komitetu polecił mi udać się ks. Arcybiskup i dał mi odpowiedni list do ks. prałata Brzeziewicza. Przykro było brać tam, gdzie takie ubóstwo, ale innego wyjścia nie miałem. Ograniczyłem też swe wymagania do minimum. Dostałem brązowy krzyż na ołtarz, portatył i obrus.

Wobec trudności pocztowych i komunikacyjnych, stawianych ludności cywilnej przez Niemców i Austrjaków między jedną a drugą częścią Królestwa, ofiarowałem się ks. Arcybiskupowi z pomocą w przewożeniu korespondencji i listów. Ks. Arcybiskup powiedział na to, że życzy sobie

tylko, bym mu dostarczył »Acta Apostolicae Sedis«, to znaczy, pismo zawierające wszystkie rozporządzenia Stolicy św. Od roku żaden biskup na terenie Królestwa nie otrzymał ani jednego numeru »Acta Ap. Sedis«. Biskupi niemieccy, pomimo kilkakrotnych starań ze strony ks. Arcybiskupa, dotąd nic nie przysłali. Temsamem Episkopat polski w obu okupacjach stracił wszelki kontakt z Rzymem i nie wie, co się w Rzymie dzieje.

Ile tkwi niespożytej siły w Kościele katolickim, jeżeli pomimo wszelkich utrudnień, przeszkód i szykan, tak w Polsce jak i w Belgji, kościół św. stoi mocno, niewzruszenie, a nawet jest w tym czasie zamętów i kataklizmów twierdzą, ostoją, siłą, pociechą, filarem i potęgą, nie dającą się skruszyć żadnej przemocy, żadnej armji.

Wszystko pada, załamuje się dziś, a Kościół stoi i stać będzie.

Opinia publiczna w Warszawie rozbita. Poglądy krańcowo przeciwne. Przeważa pesymizm i defetyzm. Spodziewałem się w sercu Polski spotkać więcej wiary w siebie i ufności. Mam wrażenie, że to jakaś obca naleciałość, chyba rosyjska. Za mało jednak znam Rosjan i psychologję ich wpływów, bym mógł stawiać jakieś pewniki.

Każda rozmowa, którą w mojej obecności prowadzono, miała zawsze w sobie coś charakterystycznego, coś, z czem się jeszcze dotąd nie spotykałem, a co, zdaje się, świadczy o pewnem załamaniu się woli. Swoją drogą, gdy się obserwuje, jak okupanci z zimną krwią i wyrachowaniem celowo rujną Polskę, wyduszając ze spo-

leczeństwa wszystkie zasoby materialne, trudno mieć zbyt różowe nadzieje.

Jeden z profesorów Seminarjum duchownego, z którym dziś po Mszy św. w kościele Karmelitów rozmawiałem, powiedział mi, że nie wytrzymamy, że utoniemy w tem wszystkim, zaleją nas, wygłodzą, zniemczą. — Skąd tyle niewiary w siły żywotne narodu? Jako Ślązak nie mogę tego zrozumieć. Wskazałem mu Śląsk, co setki lat żył i rozwijał się, odcięty od Polski i państwowości polskiej, a jednak pozostał polskim i nie wynarodowił się. My Ślązacy czujemy po polsku i jak widzimy, moglibyśmy dziś nawet Warszawie sporo wiary w siebie i w przyszłość udzielić. A Warszawa, gdzie tyle pamiątek polskich, gdzie tętni życie polskie, gdzie tradycje takie żywe i silne — Warszawa, Królestwo miałyby przepaść? — Przecież nad nami jest jeszcze Ktoś, co nas Polakami stworzył i chce mieć Polakami.

Dziś okupanci oparli się na żydach i mają odrazu wśród nas, przeciw nam oparcie i broni, to jednak jeszcze nie powód, by głowę tracić.

Opowiadano mi u znajomych z Wisły pp. Leśniewskich o kuchniach dla głodnych. Poszedłem je zobaczyć. Zwiedziłem dwie, jedną dla dorosłych, drugą dla dzieci. Pierwsza w dużej hali w pałacu prymasowskim. Pełno przegrodzeń dla utrzymania porządku. W obrębie tych przegród setki ludzi. Każdy z kartką, otrzymaną przez komisarza dzielnicowego po stwierdzeniu ubóstwa, jak objaśnia dyżurująca księżna Lubomirska. Panie z inteligencji wydają zupę do naczyń, jakie sobie każdy przynosi. Olbrzymie kotły — w nich gotuje się co-

dzień 3200 obiadów. Tyle ludzi przeciska się przez tę jedną tylko kuchnię, — tyle tam nędzy i niedostatku razem! Przychodzą i ludzie lepiej ubrani, inteligencja — idą na równi z biedakami po trochę zupy, bo i oni dziś głód cierpią.

Sfery zamożniejsze w Warszawie robią co mogą dla ulżenia nędzy. Zorganizowano Wydział zaopatrywania przy Komitecie obywatelskim w 15 okręgach miasta. Urządzono 88 kuchni. Niektóre wydają nawet ponad sto tysięcy porcji miesięcznie.

Ale na takie duże miasto to wszystko jeszcze za mało. I Warszawa potrzebuje wciąż pomocy. Dowiaduję się z gazet, że i nasz Śląsk, choć niebogaty, pospieszył też z pomocą i złożył już sporo na Warszawę.

Dęb lin, 14. grudnia 1915.

Po powrocie z Warszawy jakoś mi tu lepiej, nie tak obco i smutno. Uważam za rzecz zupełnie naturalną, że jestem w Dęblinie. W przeciwieństwie do Krakowa, gdzie życie było czynne, ale i rozproszone bardzo, mam tu dużo czasu dla siebie.

Praca koło urzędnienia kościoła postępuje. Wojskowy oddział budowlany pracuje gorliwie nad przyprowadzeniem cerkwi do możliwego stanu. Uprzątnięto śmieci, rumowisko, obecnie uzupełnia się powybijane okna i buduje ołtarz. W warsztatach pracują żołnierze, stolarze nad urządzeniem zakrystji i przygotowują konfesjonał oraz kilka ławek. Przypuszczam, że niedługo będzie można odprawić pierwszą Mszę św.

Iwanród-Dęblin, twierdza rosyjskości i prawosławia w Polsce, tuż pod jej sercem, pod Warszawą, twierdza zbudowana za tak ogromne sumy, że nawet carowi, na pytanie, ile kosztuje, odpowiedziano: »Boh znajet i gienerał Dehn«, dziś w gruzach — spełniła się wizja Katerwy-Żeromskiego z »Róży«. A cerkiew prawosławna, stojąca w centrum tej twierdzy, widoczna ze wszystkich stron, staje się kościołem. Polski, katolicki ksiądz ze Śląska poświęca ją i Mszę św. w niej odprawia. Nie pozostanie wnet ani śladu stuletnich wpływów rosyjskich. Dziś jeden z żołnierzy wdrapał się na szczyt kopuły i obciął belkę poprzeczną z prawosławnego krzyża.

Kiedy mnie przeraża to, co robią okupanci, co w Warszawie widziałem i słyszałem, kiedy Polska zdana dziś na łaskę i niełaskę Niemców — zwycięzców od Bałtyku, kanału La Manche i Belgji po Wardar, Saloniki, wzdłuż morza Śródziemnego, to te ruiny dęblińskiej twierdzy uspokajają mnie, szepcząc: sic transiit gloria mundi — na wszystkich przyjdzie czas.

I jak wśród ruin Dęblina, tego symbolu naszej niewoli, zajaśniał odnowiony krzyż, tak nad tem wszystkim, co się dziś w Polsce dzieje, na ruinie dzisiejszej niewoli i krzywdy, zajaśnieje moc sprawiedliwego Boga. Dobrze, że to Bóg kieruje losami świata i narodów, a nie kto inny.

Wczoraj odbył się pierwszy porządny pogrzeb żołnierza, zmarłego w szpitalu. Dotychczas grzebano tu zmarłych bez księdza, bez trumny, wykopano dół, kładziono weń trupa, zasypano ziemią i rzecz skńczona.

W niedzielę odprawiłem Mszę św. u jednego z oficerów. Kościół jeszcze nie przygotowany, a u siebie nie mam nawet stolika, pisać muszę na razie na oknie. Było nas na tej Mszy wszystkiego pięciu.

Z zestawienia cyfrowego wynika, że do załogi tutejszej należy 8724 żołnierzy różnych religji i narodowości. Katolików: Polaków 540, Czechów 1986, Niemców 1073, Madziarów 429.

Dęblin, 15. grudnia 1915.

Otrzymałem dziś kilka miłych listów. Między innymi od pani Rydłowej z Krakowa. Dodaje otuchy na nowej placówce. W post scriptum pisze: »Odpocząwszy sobie, piszę jeszcze. Zauważyłam, że mój list jest bardzo oschły i że niema w nim ani śladu tej serdeczności i życzliwości, jaką czuję dla ks. Kapelana. Jak się zobaczymy, to ustnie lepiej to wypowiem.«

Równocześnie nadszedł list od P. R. Miła niespodzianka w mojej obecnej pustelni. Biorąc a-sumpt do mojej zbytnej porywczosci w Krakowie, pisze zasłużoną zupełnie reprimendę: »Najwięcej pragnę i modłę się o to dla Ks. Kapelana, żeby Ksiądz umiał zapanować nad nerwowością, żeby impet w rzeczy był opanowany, bo przecież są drobiazgi, na które lepiej nie zwracać uwagi, chociażby się miało w rzeczy słuszność, bo całość sprawy może na tem ucierpieć, jeśli się zanadto wojowniczo przeciw szczególowi występuje.«

A o sobie między innymi pisze: »Ach Boże, żeby tylko był jakiś stosunek między tem, coby czło-

wiek chciał zrobić ze siebie, coby chciał w pięknych marzeniach dać ze siebie Bogu, a co daje w rzeczywistości! Ale ten dyssonans, jaki jest między najwyższym tonem, do jakiego się dusza zrywa, a temi codziennymi wypadkami, niewiernościami, słabością — tem wiecznym kręceniem się w kółko koło tych samych małości, wiecznym obiecywaniem na to, żeby nigdy nie dotrzymać! I czyżby to było dziwne, żeby obrzydnąć Panu Bogu — kiedy człowiek sam sobie brzydnie?»

»Dla mnie to raczej dobrze, że Ks. Kapelan za lepszą mnie ma, niż jestem — bo jeżeli co może mi dodać animuszu do pracy nad sobą, to właśnie zbyt dobre o mnie mniemanie u ludzi.«

»Ktoś bardzo mądry, kogo ogromnie kocham. P. Jenerałowa Zamoyska z Kuźnic powiedziała mi raz, kiedy mówiłam o tem, że mnie tak strasznie upokarza zbyt dobra opinja o mnie, że się czuję wobec niej hypokrytką, że »Pan Bóg sam chce w nas widzieć te cnoty, jakich się ludzie w nas dopatrują, a do jakich się nie poczuwamy — więc trzeba tem bardziej nad sobą pracować, żeby do tych cnót dojść naprawdę.«

Ze wszystkiego, com przeboleła i przeszła, jedno mi tylko zostało — to zdolność odczuwania tego, co innych boli — sama przeżyłam dużo, dużo — więc też dużo rozumiem i współczuję. »Milsze jest dawać niżli brać.« Ja tylko w takim uczuciu czuję się sobą, gdzie mogę jakiegoś macierzyńskiego instynktu się doszukać i nawet w stosunku do Matki raczej jak do dziecka się do niej odnoszę. Proszę o tem pamiętać, że to moja specjalność —«

List ten charakteryzuje przezacną duszę. To mnie też ośmiela do umieszczenia tych kilku wyjątków w pamiętniku.

Trzeci list był od Zarządu Spółki spożywczej w Jabłonkowie, zawiadamiający o walnem zgromadzeniu w niedzielę 19. grudnia. »Życzeniem naszym byłoby — pisze sekretarz p. Płoszek — gdyby czcigodny Ksiądz raczył przynajmniej listownie kilka słów do członków wystosować«. — Napisałem więc list na ogólne, walne zebranie, wzywając do wytrwania w łącznej, zgodnej pracy, z propozycją, by część zysku przeznaczono na głodnych w Warszawie.

Dęblin, 17. grudnia 1915.

Wczoraj po południu byłem na przechadzce w stronę rzeki Wieprz. Doszedłem do folwarku Dęblin. Droga poprzez tor kolejowy dobrze utrzymana, bita. Po lewej stronie w oddali miasteczko żydowskie Irena, a dalej przy drodze wzniesienie, grupa starych drzew, wśród nich figura św. Jana Nepomucena, a wysoko na jednym z drzew umieszczone stanowisko obserwacyjne.

Spotkałem po drodze chłopca z sąsiedniej wsi Masowa. Opowiadał, że należy do parafji Bobrowniki. Nie pracuje teraz nigdzie. Ma kawałek pola, chałupę i chodzi koło tego. Jakiś czas pracował u Austryjaków w stolarni wojskowej w cytadeli w Dęblinie, ale sprowadzono robotników z Lublina, pracują taniej, bo za cztery korony dziennie i okoliczni, niekwalifikowani odeszli. Sam ma

z czego żyć, bo w tym roku kartofle i kapusta obrodziły.

Rozmawiając, doszliśmy do parku dużego. Wśród drzew po prawej stronie rysowały się coraz wyraźniej szare, wysokie mury jakiegoś długiego domu. Dziwnie tu cicho i martwo. Zbliża widać, że to ruiny. Mury wysokie z otworami na okna wyszczerbione, popękane, wewnątrz rumowisko, kamienie, kafle, cegła, a żelazne dźwigary i klatka schodowa powyginane, przepalone. Kiedyś — pałac księcia Erywańskiego Paskiewicza. Dalej ślady wozowni, garażu i mieszkania dla służby. Wszystko w kompletnej ruinie. Stoi to martwe, gołe, bez życia, smutne, zniszczone rozmyślnie. Opróżniono pałac, wywieziono i podpalamo, zanim Austriacy przedostali się przez Wisłę do Dębina.

Za pałacem park. Naprzeciw dawnego tarasu staw rozległy, obmurowany. Na prawo kaplica, przypominająca kaplicę na zamku piastowskim w Cieszynie. Drzwi oderwane przemocą. Wchodzę — mrok już był — wystarcza jednak rzucić okiem, by stwierdzić, że nie zostało nic. Gołe ściany, wszystko poodrywane — nawet gzymsy.

Przeszedłem się po parku. W nastającym mroku księżyc słał swój blask, osrebrzający te smutne szczątki książęcego pałacu.

Tyle refleksji nasuwało się tam wśród tych odymionych ruin! Czego były one świadkiem? Ile życia, przepychu, a równocześnie niesprawiedliwości, cierpień, goryczy, łez widział Bóg w tych murach? Dziedzictwo skradzione polskiej rodzinie Jabłonowskich przez rząd rosyjski za udział

w powstaniu, oddane księciu Paskiewiczowi, re-negatowi, w nagrodę za stłumienie powstania w potokach krwi polskiej! Tu umarł Paskiewicz, po-tem mieszkali następcy.

Przypomniało mi się tu żywo opowiadanie hr. Miosroszewskiej o tem, jak Paskiewicz trzy dni ko-nał i ryczał wprost z rozpaczy, z wyrzutów su-mienia, tak, że wszyscy z pałacu wtedy pouciekali.

Tu leżał jakiś czas w kaplicy nad stawem w parku, później wywieziono jego zwłoki do Homla.

Dziś wszystko w gruzach. Martwe wszystko, skamieniałe. Ani śladu życia. Wszystko przeszło, skończyło się.

Było już późno, kiedym te ruiny opuścił.

Poszedłem do domu inną drogą, koło folwar-ku, rysującego się zdala w blasku księżyca. Zie-mia zmarznięta, chodnik suchy.

Zabudowania folwarczne bardzo porządne, murowane, dobrze kryte i obszerne. Natknęłem się koło płotu na jakiegoś mężczyznę. Powiedział mi, że jest parobkiem w tym dworze, że żonaty. Majątkiem, należącym do Paskiewiczów, admini-struje p. Mierzejewski z Borowiny za Wieprzem. Ziemia urodzajna. Orzą nowymi, dwuskibowymi pługami. Przed wojną było trzydzieści koni, obecnie pozostały tylko cztery najgorsze. Jeść mają co. Żyto, owies zabrane, kosili i zabierali żołnierze z różnych armij i z różnych oddziałów.

Do rozmowy przyłączył się drugi mężczyzna starszy; opowiadał, ile wszyscy przeszli strachu w czasie rozsadzania fortów, cytadeli i mostów i w czasie walk dwukrotnych w roku zeszłym i

w tym roku o Dęblin — przez kilkanaście dni była zacięta kanonada, piekielny huk, aż się ziemia trzęsła, a im w mieszkaniu wszystkie szyby z okien powylały.

Podczas tej pogawędki podeszło kilku małych chłopców. Okazało się, że do szkoły nie chodzą, bo szkoły niema ani nie było. Tylko w większych miejscowościach były szkoły rządowe, ale rosyjskie, mało uczęszczane i dlatego ludność naogół nie umie ani czytać ani pisać.

Dęblin, 18. grudnia 1915.

Byłem dziś w kościele, względnie w cerkwi w cytadeli obejrzeć roboty. Okna już zaszklone, carskie wrota przywrócone do porządku, zamiast bramy wstawiono duży obraz Wniebowstąpienia Pańskiego jako tło do ołtarza, z lewej strony Matka Boska, z prawej Pan Jezus. Za carskimi wrotami urządziła się zakrystję. Równocześnie reperują dach, bo podziurawiony kulami jak rzeszoto, woda przecieka, niszcząc sklepienie i mury.

Już przy świetle świecy, gdy robotnicy skończyli ostatnie prace, ubrałem z poczciwym moim Andrzejem, służącym, ołtarz w przepisane trzy płócienne obrusy, otrzymane w Warszawie, umieściłem krzyż, świece, relikwje.

Nowy kościół, nowy przybytek, w którym królować będzie dobry Jezus, skąd błogosławić będzie moim kochanym żołnierzom, chorym, jeńcom biednym i tej ziemi polskiej, przesiąkniętej świeżą krwią ofiar strasznej wojny. Nowe tabernakulum,

skąd płynąć będzie po wszystkie czasy błogosławieństwo na całą okolicę.

Nie odstąpiłbym nikomu, za nic na świecie tej rozrzuwającej radości, jaką odczuwałem, przygotowując ten nowy przybytek, nowy ołtarz Boskiemu Zbawicielowi i to jeszcze w takich warunkach. Nie wiedziałem dotąd, że nieraz Bóg tak odrazu wynagradza po królewsku i to za tak drobną pracę.

Kiedy ołtarz był gotów, choć w nim nie było jeszcze żywego Boga w Najśw. Sakramencie, uklękłem, oddając Bogu ten przybytek nowy i wszystko, co w nim dzieć się będzie dobrego w przyszłości dla dusz ludzkich. Wtedy choć tłumione, łzy z oczu mi płynęły, było mi tak dziwnie dobrze, tak dziwnie jasno na duszy, że musiałem wołać: »Panie, odbierz mi tę radość, daj ją tym, co tu do Ciebie biedni, skołatani na duszy przychodzić będą! Panie, nie tu mi płąć na ziemi, ale tam kiedyś po śmierci, bo jak tu zapłacisz, co mi na potem zostanie?«

Dziękowałem Bogu, że jestem w Dęblinie.

Dęb l i n, 19. grudnia 1915.

Dziś cerkiew prawosławna w Dęblinie stała się kościołem katolickim. Jestto chyba pierwszy wypadek w Polsce.

Poświęciłem ją przed 9. rano. Potem odprawiłem pierwszą Mszę św. Śpiewali w czasie Mszy św. żołnierze, którzy zdążyli już utworzyć chór kościelny.

Po Ewangelji kazanie polskie i niemieckie. Wskazałem na niezwykłość chwili. Podniósł się z ruin, otaczających nas wokoło, przybytek poświęcony Bogu i naszemu zbawieniu. Cerkiew wybudowana przed laty, by stać się na polskiej ziemi rozsądnikiem rosyjskości, prawosławia, jest dziś kościołem naszym, katolickim.

Tu będziemy się schodzić, gromadzić, do Boga się modlić — o siłę, wytrwanie, o zwycięstwo ostateczne prosić.

Żyjemy w adwencie. Przypomina nam to czas długi, bo 4000 lat trwający, kiedy to ludzkość tęskniła za kimś, coby przyniósł pokój i pomoc ludzkości znękanej. I przyszedł, przyniósł w Betelem pokój tym, co dobrą wolę mieli.

I my tu dziś zebrani wszyscy czegoś chcemy, za czemś tęsknimy. Doszliśmy wszyscy do przekonania, że jest dobro większe niż powodzenia wojenne i zwycięstwa, a tem dobrem to — pokój. Nie dał go nam dotychczas świat, nie dały miliony bagnetów, nie wywalczyły tysiące armat — musi nam dać ten pokój ktoś silny, mocny, nieśmiertelny, a tym jest — Bóg.

I dziś prosimy Boga, prosimy Tego, co mocniejszy od wszystkich wojsk i cesarzy, Tego, co ma teraz zamieszkać wśród nas, prosimy modlitwą i życiem dobrem o pokój dla siebie, dla rodzin naszych i tej nieszczęśliwej ziemi.

Nastrój był poważny. Całość robiła widocznie wrażenie, bo po nabożeństwie przyszedł generał Lang, komendant twierdzy, i dziękował bardzo serdecznie.

Dęblin, 20. grudnia 1915.

Wczoraj po południu pojechałem do proboszcza w Stężycy, w którego parafii leży Dęblin. Droga z początku wcale dobra, bita, później gościniec, tzw. polska droga o miękkim gruncie. Wzdłuż drogi zniszczone magazyny wojskowe i kolejowe. Stoją tylko kominy i piece kaflowe, do nich przytulone.

Koło ostatniego fortu murowanego cmentarz prawosławny, z cerkwią cmentarną o pięciu kopułach niewielkich. Poza ogrodzeniem cmentarnem jest kilka grobów oddzielnych, zdaje się jeńców katolików. Napisów brak.

Naokoło moczary i nieużytki nadwiślańskie.

Do Stężycy dojeżdża się drogą piaszczystą. Przed wsią patrol niemiecki. To znak, że Stężycą leży już w okupacji pruskiej i między Stężycą a cmentarzem biegnie linja okupacyjna.

Sama wieś skupiona. Jedzie się ulicą wśród domów, a raczej chat, bo wszystko tu drewniane, słomą kryte, gdzieniegdzie ściany pobielone z odcieniem niebieskawem, jak pod Krakowem. Koło kościoła murowana szkoła, pierwsza jaką w Królestwie widziałem.

Kościół murowany, stary, poważny gotyk nadwiślański. Kryty dachówką, omszony cały.

Posłyszałem organy, domyślając się, że to nie-szpory, wszedłem. Kościół jak na wiejski duży, z nawą poprzeczną. Po prawej stronie siedzą kobiety, po lewej mężczyźni. Śpiewano właśnie Ma-

gnifikat, podczas którego kościelny dzwonił sygnaturką. Śpiewano po łacinie, jeden wiersz śpiewają mężczyźni, drugi kobiety. Wygląda to na pierwszy raz bardzo oryginalnie i trochę śmiesznie. Łacińskie psalmy w ustach chłopki ze wsi, co nawet po polsku nieszczególnie czytać umie.

Wolę stanowczo nasze polskie nieszpory na Śląsku. Są zrozumiałe, przystępne i są naprawdę modlitwą, oraz krynicą prześlicznych natchnionych myśli. Tu łacińskie psalmy tracą na zrozumieniu i mijają się właściwie z celem. Zresztą śpiewa tylko niewielka garstka, a reszta wiernych zachowuje się w kościele zupełnie biernie.

Po nieszporych: »Wszystkie nasze dzienne sprawy«. Myśli uleciały wtedy gdzieś daleko tam na Śląsk, gdzie nasz lud tak ładnie śpiewa, gdzie śpiew polski po kościołach obronił najbardziej zagrożone parafje od wynarodowienia.

Poszedłem potem do księdza proboszcza. Młody, przystojny brunet, kędzierzawe włosy. Przyjął mnie z wielką rezerwą.

Dowiedziałem się, że Stężyca i Dęblin należą do dekanatu garwolińskiego w diecezji podlaskiej, administrowanej na razie z Lublina. Sama Stężyca była w 17 wieku siedzibą starostwa stężycyckiego i sporem miastem, zniszczona jednak została wylewem Wisły, która zmieniła wtedy swoje łożysko tak, że dziś płynie na gruzach dawnej Stężycy. Stężyca jest znana ze zjazdu rokoszan Zebrzydowskiego w 1606 r.

Dęblin, 22. grudnia 1915.

Wybrałem się wczoraj do drugiego sąsiada, do księdza proboszcza w Gołębiu nad Wisłą od strony Puław, z Dębłina przeszło mila.

Droga pierwszorzędna, bita, biegnie wzdłuż Wisły. Po obu stronach wierzby. Tuż za mostem na Wieprzu wieś Borowa, potem fort, a mniej więcej w połowie drogi dwór Borowina, bardzo porządnie zbudowany. Krajobraz typowy nadwiślański, bezkresna równina, przecięta wstęgą powoli płynącej Wisły. Jakże ona tu inna od Wisły na Śląsku z pod kościoła w samej Wiśle lub w Ustroniu!

Z poza pasma wierzby przydrożnych wynurzają się ponad szeregami chat wiejskich dwie wysokie, imponujące wieże kościelne i kontury dużego kościoła. Ma się wrażenie, że ten kościół tu skądś przeniesiono, że to fragment, resztką jakiegoś dawnego miasta, co tu może kiedyś rozłożone było u stóp kościoła, a potem zapadło się w topieli.

Probostwo schowane za kościołem w sadzie, parterowe, niskie.

Proboszcz wysoki, kościsty, o siwych włosach, robił zrazu wrażenie wystraszonego moją wizytą, ale wkrótce uspokoił się i rozmawiał swobodnie, opisując swoje przejścia w czasie walk pod Dęblinem i nad Wisłą. Z księdzem wikariuszem porozumieliśmy się zato o wiele łatwiej i prędzej.

Gołąb, dziś miejscowość bez znaczenia, jest miejscem zawiązania tzw. konfederacji gołąb-

skiej w r. 1672 pod łaską Stefana Czarnieckiego celem moralnego poparcia króla Michała Wiśniowieckiego, kiedy tracił popularność wskutek klęsk w wojnie z Tatarami.

Pod względem kościelnym należy Gołąb do diecezji lubelskiej w dekanacie puławskim.

Dęblin, 25. grudnia 1915.

Boże Narodzenie dziś.

Dla mnie dzień wytężonej pracy.

Martwiłem się o to, jak będzie ze świętami. Nie wiedziałem, jakby najlepiej wszystko urządzić, by biednym moim żołnierzom uprzyjemnić Boże Narodzenie i dać im choć przypomnienie tego, co zawsze dotąd mieli w te dni w domu.

Nie bardzo wierzyłem w powodzenie pasterki. Żołnierze zmęczeni, nie chciałem ich jeszcze więcej trudzić i niepokoić. Jednakże naznaczyłem pasterkę na godz. 12 w nocy. W najgorszym razie, gdyby nikt nie przyszedł, byłbym odprawił pasterkę sam dla siebie, by sobie przypomnieć zeszłoroczną jabłonkowską i pasterki z lat dawnych w rodzinnej Końskiej koło Cieszyna.

Jakże się w przypuszczeniach pomyliłem! Kochani żołnierze z oficerami przygotowali niezwykle miłą niespodziankę, nadającą urok całemu nabożeństwu.

Wychodzę po jedenastej w nocy z mieszkania, idę przez most w narażnym forcie. Tam w cytadeli koło ruin jakieś smugi światła jasne, jakieś promienie dziwne ruszają się, przesuwają, chodzą, oświetlając drogę i bramę św. Mikołaja i mury

spalone, zgliszcza i drzewa bezlistne i sam kościół.

To reflektory, poustawiane na drodze i wśród ruin. Wrażenie jak w bajce, jak na polach koło Betleem.

Kościół przybrany przez żołnierzy w zieleń, jodły, świerki, wieńce koło ołtarza. A koło filarów u wejścia, w ukryciu, zrobionem z desek, dwa duże reflektory. Rzucają smugi światła w górę, w kopułę wysoko, gdzie na niebieskiem tle złoczone gwiazdki błyszczą, obok ciemnych plam, znacząc miejsca powyrywane granatami.

A stamtąd z góry płynie światło i jasność, rozlewa się na ołtarz pełny żarzących się świec i na kościół, zapełniony żołnierzami.

Przyszli i ludzie z okolicy. Albo im zburzono kościoły, albo im do swoich za daleko — przyszli tu, skoro dowiedzieli się o pasterce w byłej cerkwi, dotąd im niedostępnej.

O północy wyszedłem ze Mszą św.

Jakieś drżenie uroczyste udzieliło nam się wszystkim. Nastrój, przeżycia dziwne, tajemniczość uroczysta, atmosfera betleemska. Śpiewa chór żołnierzy.

Gloria! Pierwszy raz w tym kościele! Pierwszy raz głoszona tu chwała na wysokości Bogu, a ludziom, co są dobrej woli — pokój. Pierwszy raz tu w tem Betleem nowem. Jak burza, huragan, leci ku niebu nasza kochana polska kolęda: »Gdy się Chrystus rodzi i na świat przychodzi«. Potem znowu śpiewna i cicha: »Wśród nocnej ciszy« i »Lulajże Jezuniu moja perełko«.

Po Ewangelji kazanie. Tu przypomnieli sobie moi kochani żołnierze, jacy oni dziś podobni do pastuszków, co za miastem strzegli swego dobra i mienia i przytem Boga o lepszą dolę prosili, o lepszych dniach marzyli. I żołnierze dziś daleko od swoich kochanych, od rodzin, żon, dzieci, od kościółka swego, tu daleko bronią dóbr swej Ojczyzny i swego narodu. A są tacy, co już po raz drugi w wigilję, zdala od swoich, marzą o lepszej doli, o powrocie lepszych, jasnych dni w domu, wśród bliskich. Co dotąd przeszli i jeszcze przechodzą, to tylko jeden Bóg wie i widzi...

Ale też to właśnie uprawnia dziś żołnierza do pójścia do Jezusa po moc, po siłę, po błogosławieństwo na ciężkie życie żołnierskie, na znoje, na trudy — uprawnia do kornego proszenia o to, za czem tam w domu wszyscy i my tu dziś i świat cały płacze i tęskni: o pokój.

O pokój nam wszystkim trzeba dziś się modlić, o pokój zwłaszcza dla tej polskiej ziemi, pooranej wzdluż i wszersz rowami, porytej, gdzie okiem rzucić, zroszonej, przesiąkłej krwią, zasianej tylu grobami poległych! Może Boska Dziecina spojrzy dziś na całą martyrologję polskiego narodu, pobłogosławi go, jak pastuszków na dalsze losy i męki.

Jeżeli który naród, jeżeli jacy żołnierze, to polscy mają prawo, ale też i obowiązek iść do Boskiej Dzieciny, do Jezusa, ze swemi modłami, prośbami. Bo my nie mamy co oglądać się na innych — nam nikt nie pomoże — tylko jeden Bóg. My nie mamy armji ani armat — nasza cała nadzieja, ufność, to ta słaba na pozór Boska Dziecina na tym żołnierskim prostym ołtarzu.

Kto pomyślał, że dziś będzie w rosyjskiej cerkwi obchodził Boże Narodzenie? A jednak stało się. Niech to będzie rękojmią i zapewnieniem, że Bóg zmieni wszystko na lepsze i sprawi, że i nam inaczej, lepiej będzie.

Potem Podniesienie. Podniesiony Pan Jezus wysoko błogosławił z pewnością żołnierzy moich i ten lud dobry na dolę i niedolę, na życie ciężkie, wojenne — błogosławił tym, co się przed Nim koryzyli, błogosławił ten kraj naokoło, Polskę biedną, polski lud, co i tu tak do Boga się garnie jak koło Jabłonkowa i Cieszyna.

Po Podniesieniu zaśpiewano czeską kolędę: Narodil se Kristus Pan, veselme se, kvitek s ruze vykvet nam, radujme se«. Śpiew chóru podchwycili z zapalem obecni na pasterce żołnierze Czesi. I płynęła pieśń czeska z polskiej ziemi, z byłej cerkwi prawosławnej, dziś nowego Betleem Jezusowego, hen w niebo przed Boży tron wysoko.

W czasie Komunii św. zaintonowali Niemcy swoje melodyjne, znane na całym świecie: »Stille Nacht, heilige Nacht« — Cicha noc, święta noc.

I mieli wszyscy swoją własną pasterkę, choć zdala od swoich, od domu.

Podziwiałem wtedy tę przedziwną powszechność Kościoła katolickiego, jak umie być dla wszystkich jednakową matką i dać każdemu, skądby nie był, jakimby językiem nie mówił, pełnię szczęścia i zadowolenia. Przed ołtarzem u żłóbka Boskiej Dzieciny zacierają się wszystkie różnice, łączy wszystkich jedna miłość, jedna wiara.

Drugą Mszę św. odprawiłem o godz. 9 z kazaniem niemieckim i polskim.

Trzecią o godz. 10½ dla jeńców katolików. Niewiele ich było, przyszli i prawosławni. Zato przybyły tłumy ludu z okolicy. Obszerny kościół pełniusieńki. Śpiewaliśmy kolędy, a ponieważ nie mam organisty, sam każdą im zaczynałem.

Kazanie miałem znacznie dłuższe niż na pastercie. Wskazałem na położenie ludu polskiego, smutne polskie Boże Narodzenie wśród wojny, która przeszła już dwa razy przez Polskę jak zaraza i tyle zniszczyła! Biedni jesteśmy, ale właśnie ta bieda nasza zbliża nas do ubożego Dzieciątka u betleemskiej stajni. Chrystus nowonarodzony wie dobrze co to znaczy zimno, głód, wie, jak to ciężko, gdy się nie ma dachu nad głową.

Po Mszy św. przełamałem się opłatkiem z jeńcami w kościele. W barakach względnie w ziemiankach, gdzie mieszkali, uważano by to za rzecz karygodną — tymczasem w kościele wcale to nie raziło, a jeńcom sprawiło ogromną przyjemność i radość.

W zakrystji zastałem pełno ludzi. Wystarczyło kilka dobrych słów w kazaniu, by uznali mnie nie za Austriaka, dziada, jak ogólnie Austriaków tu nazywają, ale za swego, za księdza polskiego. Pytali, czy możnaby zebrać chór kościelny, czy trzeba urządzić jaką składkę na cele kościelne. Na chór chętnie się zgodziłem, na składkę jednak nie pozwoliłem, bo wydatki kościelne musi ponosić wojskowość, a ja sam mam co mi trzeba.

Tak jakoś odrazu otworzyli mi swe serca, jakby mnie znali oddawna. A przecież znaliśmy się ledwo od godziny. W takich razach widzi się nacznie te wewnętrzne siły niespożyte organizacji

kościelnej, ziemskie odzwierciedlenie obcowania świętych. I było mi tak dobrze z tem, tak miło jak u nas na Śląsku.

Dał mi dobry Jezus te serca — to był mój podarunek na święta.

Dęb lin, 27. grudnia 1915.

Wczoraj w drugie święto pojechałem z por. Grabowskim do Borowiny, o pięć wiorst stąd do pp. Mierzejewskich. Jest to najbliższe kulturalne i polskie sąsiedztwo. Trafiliśmy na imieniny pani domu. Zjechała się cała rodzina oraz sąsiedzi. Nastrój pomimo wojennych czasów bardzo miły i sympatyczny.

Spotkałem się pierwszy raz z życiem ziemian, szlachty osiadłej na roli. Odrazu zmiarkowałem, że to coś dla mnie zupełnie nowego, jakiś inny świat dotąd mi nieznan, toteż miałem wiele sposobności do obserwacji i porównywania stosunków, poglądów tutejszych i śląskich.

Przedewszystkiem uderza tu zupełne wyodrębnienie się ziemian z życia wsi i gminy, obcuja oni tylko ze sobą. Ludność wiejska taksamo nie ma z ziemianami nic wspólnego. Przedział między ziemianinem-panem a chłopem ogromny. Ziemianie tworzą najwyższą warstwę umysłową i społeczną, włościanie natomiast najniższą. Mieszkańcy zaś małych miasteczek, którym żydzi wydarli z rąk prawie cały handel, pod względem kultury, oświaty i pojęć, niemal wcale od chłopów się nie różnią. Dlatego, za wyjątkiem większych miast, brak właściwie w Polsce sfery pośredniej, stanu

średniego, jakim w innych społeczeństwach są zwykle rękodzielnicy, mieszczenie, to co obejmujemy nazwą stanu trzeciego, który to stan trzeci mógłby swym wpływem i życiem zmniejszyć ten przedział społeczny między ziemiaństwem a chłopem i usuwać wynikające stąd powszechną nieufność i zakorzenione uprzedzenia.

Do tego przedziału i nieufności wzajemnej przyczynił się zresztą różnymi sposobami i rząd rosyjski, bo waśniąc, dzieląc, siejąc nieufność, a często nienawiść sąsiedzką, mógł łatwiej w Polsce nad zwaśnionymi panować.

Życie towarzyskie u ziemian rozwinięte do granic u nas niespotykanych. My na Śląsku, jako społeczeństwo chłopskie, demokratyczne, nie mamy o tem pojęcia. Toteż formy nasze i sposób bycia bardzo prosty utrudnia nam obracanie się w t. zw. »towarzystwie«. Nie wiadomo co lepsze — złoty środek będzie chyba najbardziej odpowiedni.

Lublin, 30. grudnia 1915.

Wyjechałem na dwa dni w sprawie organizacji duszpasterstwa do superjoratu wojskowego w Lublinie. Koleją jedzie się z Dębłina dwie godziny. Po drodze mija się słynne w literaturze i historii polskiej Puławy, gdzie w dawnym pałacu książąt Czartoryskich mieści się obecnie instytut rolniczy i wielkie zbiory muzealne. Same Puławy zniszczone i spalone prawie doszczętnie.

Z dworca w Lublinie idzie się do miasta pół godziny. Śródmieście leży na wzgórzu, to nadaje Lublinowi zdaleka dużo uroku. Po drodze spotyka

się poważne, stare domy i kościoły, bo Lublin jest starodawnym miastem. Utrzymują, że powstał jeszcze w czasach pogańskich, przed pierwszym królem Mieczysławem, koło r. 950. Za Bolesława Chrobrego był tu zamek drewniany. Z większych budowli przechował się zamek królewski z wieżą Daniela, dalej potężna Brama krakowska z wysoką wieżą z 1342 roku. Rynek jest mały — oryginalna jest ulica Grodzka, spadzista ze starymi domami, bardzo malownicza. Są i nowsze ulice wielkemiejskie, szerokie i ludne, jak n. p. Krakowskie Przedmieście.

Kościółów ma Lublin blisko 20. Katedra bardzo ładna stoi na rozległym placu, ozdobiona greckim portykiem z sześciu kolumnami i dwoma wieżami. Osobliwością jest chrzcielnica z przed 700 lat z napisem: »hilf god Maria berod« — to znaczy: pomagaj Boże i Marjo, udzielaj rady. Kilka bocznych kaplic, szereg nagrobków, pomniki Sebastjana Klonowicza (um. w Lublinie), Wincentego Pola (ur. w Lublinie) w kaplicy poetów. Słynna jest zakrystja ze sklepieniem w kształcie elipsy, odbijającym głos tak, że szept osoby, stojącej w jednym kącie zakrystji, może być słyszany wyraźnie przez kogoś, stojącego w drugim.

Ciekawy jest kościół po-dominikański, stary, z kilku kaplicami. W jednej cudowna Matka Boska t. zw. Trybunalska. W innej kaplicy znajduje się bardzo wielka relikwja św. Krzyża, druga co do wielkości w Polsce. Największą relikwję ma klasztor na św. Krzyżu, ofiarowaną Polsce przez króla węgierskiego Emeryka w r. 1006.

Na sklepieniu kaplicy św. Krzyża są ciekawe malowidła, przedstawiające Sąd ostateczny. Zbawiciel siedzi na tęczy, otoczony aniołami, u nóg Jego księga z napisem: »Księgi spisane wysławiają, które każdą rzecz wyjawiają, z czego na świat dekret sprawią«. Na drugiej stronie krzyż, podtrzymywany przez aniołów i napis: »hoc signum crucis erit in coelo«, — »ten znak krzyża będzie na niebie«. Pomędzy Zbawicielem a krzyżem różne sceny z sądu ostatecznego. Widać człowieka, co trzyma dzban wina w jednej a karty w drugiej ręce. Na szyi ma pętlę z powroza, rogaty szatan ciągnie go do piekła. Są tam i kobiety, lubiące zbytki i stroje, jadą w powozie, zrobionym z ludzkich żeber i piszczeli, a powóz zaprzężony w odrażające potwory.

Lublin to miasto historyczne. Tu odbywał się często sejm, tu doszła do skutku Unja Lubelska w r. 1569. W tym samym roku odebrał tu król Zygmunt August, przed ratuszem siedząc na tronie, hołd i przysięgę lenniczą od księcia pruskiego Albrechta Fryderyka. Na pamiątkę wiekopomnej Unji stoi na placu Litewskim kolumna kamienna czarna ze złoconym u dołu medaljonem.

W 16. i 17. wieku był Lublin jednym z największych i najładniejszych miast w Polsce, bo leżał mniej więcej w środku posiadłości państwa polskiego.

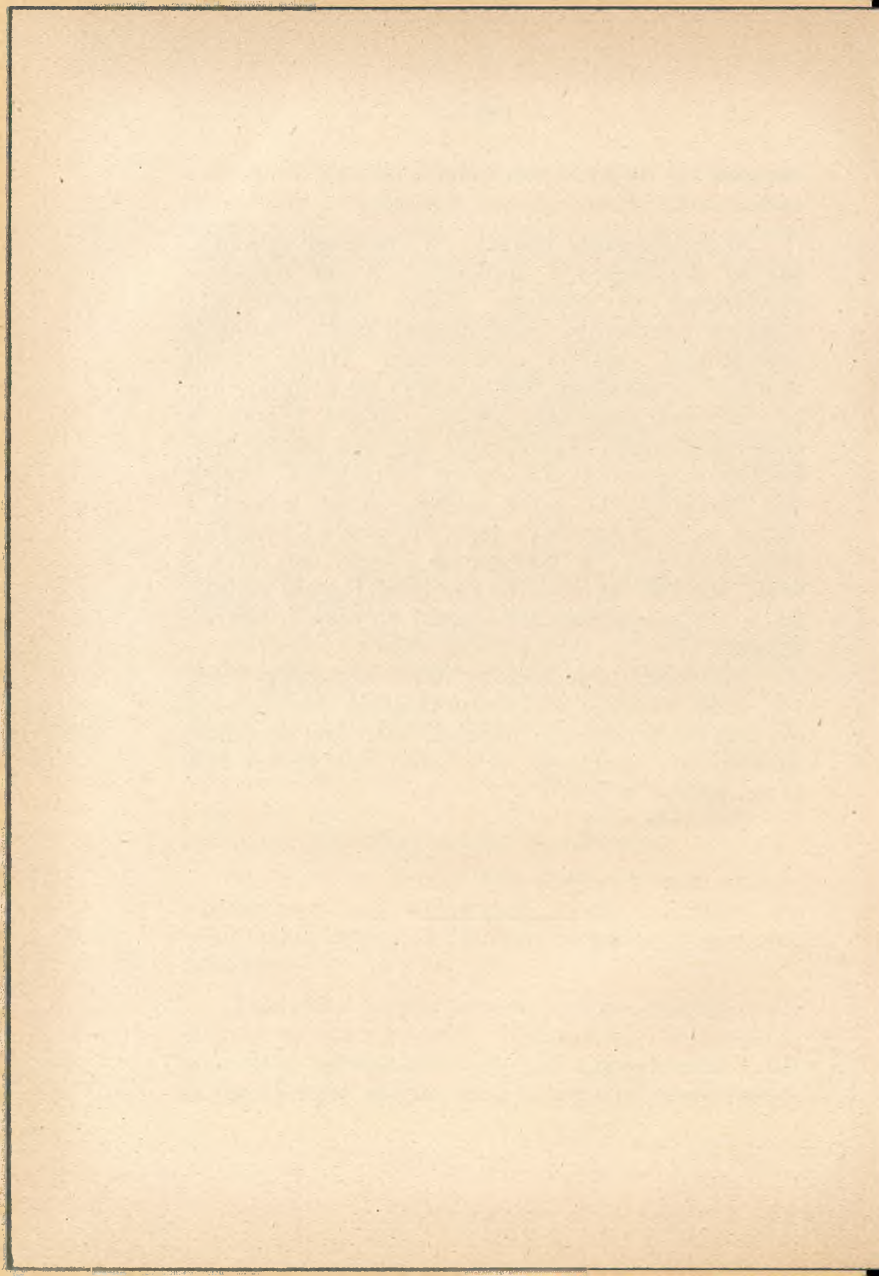
Ponieważ Dęblin leży w obrębie diecezji podlaskiej, administrowanej tymczasowo z Lublina, poszedłem przedstawić się w Konsystorzu. Biskupa obecnie niema, umarł parę dni przed rozpo-

częciem się wojny. Diecezjami podlaską i lubelską zarządza ks. Prałat Zenon Kwiek.

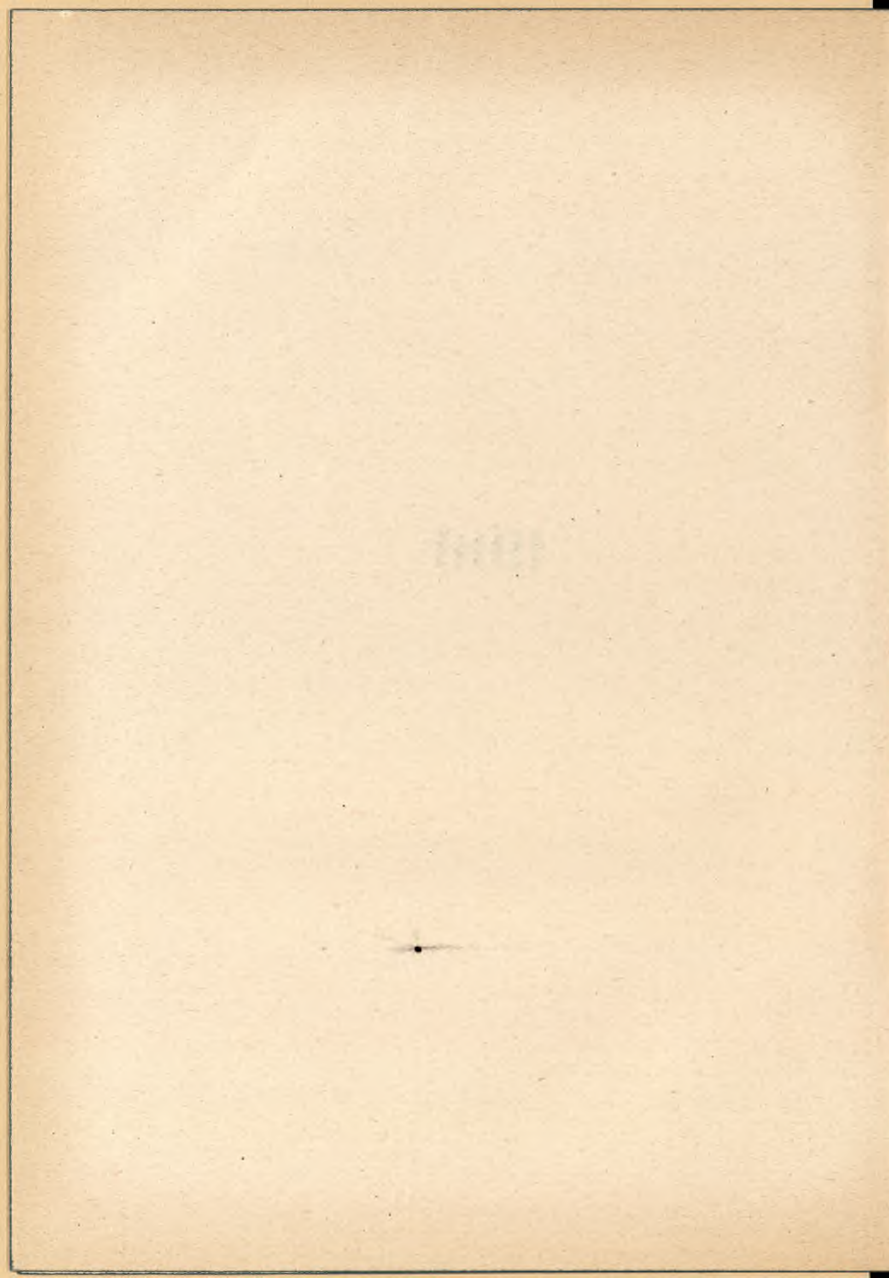
Niski, szczupły brunet, w czarnej sutannie, bardzo przystępny i serdeczny. Widać troskę o powierzone mu diecezje, ślady przemęczenia i ciężkich warunków. Część diecezji jest w okupacji austriackiej, część w niemieckiej. Wobec utrudnionego przejazdu z jednej części do drugiej, wobec niefunkcjonowania poczty, stracił kontakt z całością diecezji. Wytworzyły się stąd bardzo niekorzystne warunki dla spraw religijnych. Przedtem marjawityzm, teraz wojna, nowy podział i okupacja. Z zestawienia tego, co mówił ks. arcybiskup Kakowski w Warszawie i tego, co tu widział, wynika, że Kościół katolicki i życie religijne w Polsce przechodzi ciężki kryzys i twardą szkołę.

Jak długo to jeszcze potrwa? Kończymy jutro rok 1915, zdawało się, że przyniesie rozwikłanie sytuacji — tymczasem nadzieje zawodzą, wszelkie rachuby nie spełniają się i nowy rok będzie tak samo rokiem wojny.

Oby ostatnim!



1916



Dęblin, 18. stycznia 1916.

W niedzielę rano wróciłem z Krakowa, gdzie bawiłem trzy dni. Pojechałem przez Kielce, a wróciłem przez Tarnów, Rozwadów, Lublin, bo przez Wisłę w Dęblinie w żaden sposób przedostać się nie można. Niedawno runął cały most, zbudowany przez Austriaków, wobec tego komunikacja odbywała się statkami i łodziami — obecnie jednak płynie kra i o przedostaniu się z jednego brzegu na drugi niema mowy.

Na kolejach spotyka się wyłącznie wojskowych, jedni jadą z frontu, drudzy na front. Cywila niema nawet na pokaz, bo zresztą osobne są wagony dla cywilnych, a osobne dla wojskowych.

Kraków zawsze miły — to miasto robi na mnie zawsze duże wrażenie. Pierwszy raz byłem w Krakowie jako uczeń trzeciej klasy gimnazjalnej z wycieczką, urządzoną przez profesorów gimnazjum polskiego w Cieszynie. W szkole idealizowano nam stale Kraków, jego historję, rozbudzano entuzjazm do wszystkiego co polskie i dzięki temu Kraków był dla mnie jakimś sanktuarjum. Zazdrościłem tym, co do Krakowa jadą, co w Krakowie mieszkają, co tam się uczą, a kiedym pierwszy raz z wagonu zobaczył kopiec Kościuszki, a potem

sam Kraków, to z dziwnej egzaltacji miałem lzy w oczach, a mazgałem się, kiedy potem z Krakowa wyjeżdżać musiałem.

Były to, nawiasem mówiąc, czasy zmagania się na Śląsku i w Cieszynie z wszelkiego rodzaju metodami germanizacyjnymi, czasy rozwydrzenia Niemców śląskich, czasy, kiedy się było bitym kilka razy na tydzień, na Materówce lub na Brandysie, na drodze ze szkoły, przez uczniów z niemieckich szkół, z czego do dziś mam blizny na głowie. W takich warunkach Kraków musiał uchodzić conajmniej za polski Olimp.

Ten dziwny urok został, choć przebyłem potem w Krakowie całe dwa lata. Nie mogę się skarżyć na Kraków, zawsze mi tam dobrze było — spotykałem dobrych i życzliwych ludzi.

I teraz znajomi witali mnie serdecznie. Prawie zupełnie zajęli mi czas pp. Gniewoszowie. We czwartek urządzili herbatę, na której był obecny ks. biskup Nowak. W »Czerwonym Krzyżu« otrzymałem dla szpitala dęblińskiego od księżny Sapieżyny dużo bielizny. Pani Rydlowa, dobra i pogodna, życzliwa jak zawsze, skarży się żartobliwie, że straciła wszelki autorytet u dzieci. Dwa razy zastałem poetę Lucjana Rydla. Ale też ten człowiek »gada i gada«... jak słusznie pisze o nim Wyspiański w »Weselu«.

Dęblin, 6. lutego 1916.

W barakach i w ziemiankach, gdzie mieszkają jeńcy rosyjscy, pokazał się tyfus plamisty. Dla nas nieprzyzwyczajonych do tyfusu brzmi to zawsze

jakoś groźnie — tu w Królestwie rzecz zwyczajna. Lekarze powiadają, że tutejsza ludność jest przyzwyczajona do tyfusu, »immunizowana«. Ja sam wyobrażałem sobie, że tyfus plamisty to coś okropnego — tymczasem cała historia polega na silnej gorączce, a wyzdrowienie zależy od wytrzymałości serca. Na ciele pojawiają się drobniutkie plamki, czerwone lub fioletowe.

Na ogół Austriacy mają wielki respekt przed tyfusem. Widziałem w Lublinie na bramach kilku domów afisze ostrzegawcze z namalowaną trupią głową i napis: Flektyphus — tyfus plamisty.

Jak Flektyphus, to Flektyphus i pan generał, komendant twierdzy w Dęblinie, pan życia i śmierci na całą okolicę, wydał w związku z tyfusem różne rozporządzenia, a między innymi i »befehl«, że aż do odwołania znosi się w kościele w cytadeli »Kirchengang«, czyli nabożeństwo dla żołnierzy, a naturalnie i dla ludności cywilnej.

Dowiedzieli się o tem mieszkańcy sąsiedniej parafji Opactwo, po drugiej stronie Wisły, z diecezji sandomierskiej i wydelegowali czterech gospodarzy, by mnie zaprosili z nabożeństwem do swego kościoła. Księdza nie mają, poszedł jako kapelan wojskowy z wojskiem rosyjskiem — teraz Bóg wie gdzie jest. Sąsiedni proboszcz nie może wydołać pracy w dwóch parafjach. Od lipca zeszłego roku była tylko jedna Msza św. w Boże Narodzenie, od tego czasu w kościele cicho, pusto i smutno. A parafja duża, należy do niej czternaście wiosek, przeszło pięć tysięcy ludzi.

W niedzielę i święta nieraz zejdą się ludziska, organista zagra, zaśpiewają sobie, ale to już nie to

samo jak kiedy jest ksiądz, jak kazanie do ludu powie, Mszę św. odprawi, jak Pan Jezus żywy w Hostji św. do kościoła na ołtarz zstąpi. Młodzi idą do sąsiedniej parafji, ale starszym w tych błotach i bezdrożach — iść trudno.

Zgodziłem się. Jabym tu sam musiał być na Mszy św. ze służącym, a tam tysiące osieroconych i opuszczonych pragnie choć raz Mszy św. Potrzebne przybory kościelne przygotowałem i spakowałem do walizki, bo tam — jak mówili gospodarze — nie zostało nic, zrabowano, zabrano wszystko. Zostały gołe ołtarze i puste szafy.

Nazajutrz rano przeprowiłem się parowcem przez Wisłę. Zostałem na brzegu dwóch znajomych gospodarzy, czekali z wozem. Jedzie się najpierw przez las, pełen okopów, rowów i zasieków, a dalej koło rozbitych, zniszczonych fortów i ruin z dawnych koszar i innych budynków. Gdzieś grób samotny jakiegoś żołnierza.

Tam w oddali wśród zabudowań murowanych widać kościół. Wygląda raczej na dwór szlachecki. Wieży niema, dach czerwony, widny już zdaleka, ale jakiś powichrzony, jakby rozczochrany i w nieporządku. W ścianach duże ciemne i szare plamy, pstrokacizna.

Po drodze opowiadają gospodarze, że to wskutek licznych strzałów armatnich i karabinowych. Wpadło do kościoła kilka granatów, zasypano go kulami z karabinów i to dwa razy: w październiku 1914 roku i w sierpniu 1915, a jednak kościół stoi, nie rozwalił się, został. Inny byłby runął, ale ten zbudowany mocno, przetrzymał. Budowali go zakonnicy Benedyktyni. Tu mieli klasztor, póki rząd

rosyjski go nie skasował i nie zabrał. Potem był kościół przez dłuższy czas zamknięty, zamieniono go na skład zboża. Przez jakiś czas zamykano w nim owce, zrobiono z niego stajnię. Dopiero później pozwolono odprawiać w nim nabożeństwa.

Im bliżej, tem wyraźniej dawały się rozeznaczyć ślady zniszczenia zabudowań i kościoła. Mury całe pstre od kul, tynk poodpadał, widać cegły. Naróża obszarpane i wyszczerbione. Dach połamany w kilku miejscach, pokrzywiony, miejscami prześwieca na drugą stronę. Wszędzie, gdzie okiem rzucić, zniszczenie. Przykry widok, aż człowieka coś boli, kiedy trzeba na to patrzeć. A jaki kościół, taki cały ten kraj dokoła.

Przed kościołem duży plac, w środku krzyż, z boku dzwonnica. Na placu tłumy ludu. Mężczyźni z charakterystycznymi czapkami maciejówkami. Wóz zajeżdża powoli. Wszyscy witają — tak dawno księdza u siebie nie widzieli. Nagle — dzwony biją, dzwony się odzywają! Byłem tem zaskoczony, zdziwiony, bo tu nigdzie dzwonów niema. Zabrano wszystkie. Tu dziwnym sposobem jakoś ocalały. Widząc moje zdumienie, uśmiechają dobrodusznie się poczciwi ludziska, z jakąś dumą i satysfakcją.

Otoczyli mnie w jednej chwili kołem, każdy chce się zbliżyć, powitać. To ten sam dobry polski lud, te same dobre dusze, co u nas na Śląsku, te same dobroduszne kochane twarze. Lgną do księdza jak u nas. Obcy im jestem, w obcym mundurze, a jednak odrazu otwierają dusze i serca.

Kościół sam robi wyglądem wewnętrznym miłą niespodziankę. Śliczny, harmonijny barok. Stare

malowidła poważne, artystyczne. Linje łagodne, spokojne, motywy bynajmniej nie tuzinkowe. To kościół wytworny, miejski. Byłem zaskoczony mile tem com widział.

Niestety znać wszędzie zniszczenie. W sklepieniu kilka dziur, w bocznym murze także wyrwa. Jeden bok już zamurowany. Szyby z okien wyleciały wszystkie, część zaszalowano deskami, a tylko kilka oszklono, zwłaszcza że o szkło tu teraz trudno. Ołtarze ogołoczone ze wszystkiego.

Boże! Jak oni słuchali w skupieniu, pobożnie, gdy im mówiłem, że to oni tacy jak i ci biedni apostołowie, co z Panem Jezusem w Łódce chcieli wy dostać się na bezpieczny brzeg z rozszalałych burzą wód. Żle im, poniszczone wszystko, trzeba zaczynać na nowo, dachu nieraz nad głową niema. ziarna brak na zasiew i chleb, obrobić niema czem. Tylu mężów, braci gdzieś zabitych lub tułających się daleko, niewiadomo gdzie. A przed ludem widmo biedy, widmo głodu, kij żebraczy. Żle, ciężko, beznadziejnie. Wygląda tak, jakby Jezus nie wiedział o tem wszystkim, jakby spał. — Ale nie, On nie śpi, On chce nam tylko od czasu do czasu pokazać, jacyśmy sami w sobie słabi, jak my mało możemy zrobić sami. On chce, byśmy uznali naszą niemoc, a zawsze i wszędzie do Niego ze wszystkim i we wszystkim się zwracali. On pomoże znowu, skoro tylko dumny człowiek uzna na nowo Jego Siłę i Potęgę i schyli się przed Wszechmocą Bożą, skoro my wszyscy zdobędziemy się na pokorne, a pełne wiary: Panie ratuj, bo ginimy! Panie ratuj ten kraj cały, tę Polskę biedną! Popatrz na nią, wszak ona, choć sama biedna, przy-

tuliła do swego łona tyłu, co padli, co zabici! Nie pyta kto to, wszystkich otula, wszystkim daje ziemię na mogiłę, grób. Dziś w Polsce jedno wielkie, olbrzymie cmentarzysko! Panie pociesz ten lud, co przecierpiał tyle, a zawsze jeszcze przy wierze ojców swoich trwa, co może i nieraz o Tobie zapomniał na chwilę, może Ci się Boże sprzeniewierzył nieraz, ale co płacze, gdy mu kościół rozbili, gdy na Mszy św. w niedzielę być nie może.

To tylko próba dziś, doświadczenie. Jak Pan Jezus apostołów próbował, doświadczał, tak i nas. Ale On zażegna wnet tę burzę światową, uciszy, a my wszyscy ze świętem drżeniem przed Bożą Mocą i cudem uznamy Go Bogiem, uznamy Go Panem.

A kiedy było potem Podniesienie, to w Opactwie sieciechowskiem nie czuli się już ludzie opuszczonymi, osieroconymi i zapomnianymi, bo tam na ołtarz Pan Jezus żywy ze Swem przedobrem zawsze Sercem zstąpił, zamieszkał między nimi na kilka dni, pocieszał ich, łaskami, pomocą i opieką przemożną darzył, błogosławił na życie twarde i znoje...

Dęblin, 23. lutego 1916.

O ile stosunek mój do ludności w okolicy jest bardzo sympatyczny i ludzie ci przychodzą z najrozmaitszemi sprawami o radę, czy pośrednictwo, czy też o obronę przed nadużyciami władz okupacyjnych, to stosunek do księży nie ma tej cechy.

Dęblin leży na granicy trzech diecezyj: sandomierskiej, lubelskiej i podlaskiej. Otoczony jest

przez pięć różnych parafij. Do kościoła wojskowego chodzą więc ludzie, którzy mieli dotąd do swoich kościołów parafjalnych najdalej. Wskutek tego kontakt z parafią własną i z proboszczem, i tak dotychczas luźny, obecnie prawie że zerwany. Ze względów duszpasterskich jest to zawsze niekorzystne i niepożądane. Dlatego też rozumiem zachowanie się okolicznych księży względem mojego kościoła i nabożeństw. Do tego dołącza się ogólne uprzedzenie do kapelanów wojskowych, często uzasadnione.

Nabożeństwa dla ludności cywilnej powstały bez mej woli, siłą faktów. Od pierwszej niedzieli kościół był stale pełny, przychodzili ludzie z chwiłą, gdy się dowiedzieli, że się tu odprawia nabożeństwo. A teraz byłoby mi serdecznie żal znieść te nabożeństwa dla ludności cywilnej, zakazać uczęszczania do kościoła.

Ja tu wśród tych koszar i ruin tem przecie żyję. Nabożeństwa te, to moja pociecha wśród najrozmaitszych trudności. Duszpasterstwo wojskowe nie jest w ścisłym słowa znaczeniu duszpasterstwem, jest objawem wojennym, tymczasowym, jest w niem dużo urzędowego charakteru i przymusu dla obu stron. I o ile chodzi o żołnierzy zdrowych w różnych oddziałach i formacjach, a nie o rannych, to ani ja z nich nie jestem zadowolony, ani oni ze mnie. To się wyczuwa. Zbieranina niemiecko-czesko-rusińsko-madziarska, spełniająca służbę wojskową z przymusu, tęskniąca za jednym tylko, żeby to wszystko jak najprędzej rzucić i znaleźć się w domu, co ją tam ksiądz obchodzi? W niedziele i święta przed po-

łudniem słucha nauki, kazania, a po południu stoi w ogonku przed domem publicznym, urządzonym przez władze okupacyjne w pobliskiej mieścinie żydowskiej dla moich wojskowych »parafjan«. Z jednej strony nauki kapelana wojskowego o przykazaniach bożych, z drugiej zaś dowództwo wydaje żołnierzom wskazówki, jak się chronić przed chorobami wenerycznymi. — Pewno, że gdyby tego kapelana nie było, byłoby jeszcze gorzej, ale nieraz naprawdę serce się kraje, a w duszy wszystko się buntuje, wprost skowyczy z bólu.

Oficerowie, z wyjątkiem czterech czy pięciu na czterdziestu kilku, o religję prawie zupełnie się nie troszczą. Są uprzejmi, ale w kościele się nie pokazują. Przy stole jednak poruszają bardzo często kwestje religijne, — widocznie ich jednak coś na dnie duszy gniecie i niepokoi. Uspokajają się wobec sumienia jak mogą różnymi sofizmatami i frazesami.

Niedawno toczyła się przy stole generalskim bardzo ożywiona dyskusja, która — jak to zwykle bywa — zeszła na religję. Kiedy mi się zdawało, że moje argumenty musiały sprawę wyświecić i dyskusja dobiegła końca, odzywa się lekarz w randze pułkownika, notabene żyd węgierski: »Właściwie to mi żal tego kapelana, broni swej sprawy wspaniale, ale w duszy myśli sobie: moi panowie, wy macie rację!« To znaczy, że tu wszelki trud daremny, najświętsze przekonania uważa się za rzecz interesu. Sprawy religijne, to referat kapelana, więc ich musi bronić, choć sam według nich w to wszystko nie wie-

rzy. Ci ludzie tworzą sobie sami religję, jaka im dogadza, religję bez przykazań. Nic dziwnego, że nie mogą pojąć życia z wiary i że nie mają żadnych zasad religijnych. I pomyśleć, że poza kilkunastu żydami, to to wszystko moi »parafjanie«.

Dyskusje te mają tę dobrą stronę, że muszę pilnie powtarzać materiał z seminarjum, dogmatykę, apologetykę i historję kościelną, by mieć odpowiedź na zarzuty różnego kalibru i pochodzenia.

W takich warunkach kontakt z ludnością cywilną przez odprawianie osobnych nabożeństw poza wojskowemi jest dla mnie wytchnieniem i nic dziwnego, że tęsknię do tych nabożeństw.

Religijność tutejszego ludu jest odmienna od religijności na Śląsku. Jest tu we wszystkim dużo uczuciowości i powierzchowności. Brak też mocnych, świadomych przekonań religijnych, któreby wrosły w duszę korzeniem, tkwiły tam mocno i były regulatorem życia całego. Wiadomości podstawowych niewiele, jest jakby zewnętrzna tylko skorupa katolicka, a dusza sama jeszcze pierwotna, naturaliter christiana. Przy tem wszystkim jest jednak tradycyjne, silne przywiązanie do wiary. Ci ludzie całemi dniami nieraz czekają na spowiedź, idą mile całe do kościoła. Nietylko kobiety, ale i mężczyźni noszą stale różańce na szyi.

Zżyłem się tu już z nimi i kiedy ich mam przed sobą w kościele, to zapominam, że jestem w wojsku wśród ludzi obcych, zdaje mi się raczej, że to gdzieś na parafji wśród swoich, co zawsze i wszędzie, gdziekolwiek byłem, tyle mi serca okazywali.

I gdy z pracy nad wojskowymi nic nie zostanie, bo wszystko zdaje się spływać jak woda po skale, to może choć ta praca wyda jakiś owoc. Choćby tylko te pieśni, których uczę po każdym nabożeństwie. Wyniosłem je ze szkoły w Końskiej na Śląsku, a potem uczyłem wszędzie, w Dziedzicach, w Grabowcu, w Ustroniu, w Wiśle, w Boguminie, w Jabłonkowie, w Piosku, Gródku, później u inwalidów, wśród jeńców, a teraz w dawnej cerkwi w Dęblinie.

Dę b l i n, 7. marca 1916.

Z prowadzeniem metryk dęblińskiego okręgu wojskowego połączona jest ewidencja grobów poległych. W wolnych chwilach błąkam się więc w okolicy, po jednej lub drugiej stronie Wisły i spisuję mogiły poległych. Najwięcej grobów pochodzi z października 1914, wzdłuż kolei Bąkowiec-Kozienice, w Słowikach i w Bąkowcu. Tam jeden grób koło drugiego, są i wspólne mogiły, całe cmentarzysko. W roku zeszłym w sierpniu przy zdobywaniu Dębłina powtórzyła się walka na tem samym miejscu. Dwa pułki rumuńskie z Siedmiogrodu zostały wtedy formalnie wycięte. Są mogiły rosyjskie, niemieckie i austriackie.

Spisywanie grobów napotyka obecnie na poważne trudności. Nie wszystkie mogiły są oznaczone napisami. Nie było na to czasu podczas kilkudniowych walk. Gdzie niegdzie są krzyże lub kawałki drzewa jako znak, lub słupek jakiś, ale napisy przez deszcz i śnieg zatarte. Znaczono

je zwykle ołówkiem. O ile oówek był twardy, to pozostawił po sobie rysy i nieraz tylko przez badanie i odcyfrowanie tych rys, jako ostatnich śladów napisu, zestawia się z trudem nazwisko i pochodzenie pogrzebanego w mogile żołnierza. Tysiące imion i nazwisk pozostanie na zawsze nieznanym, tysiące mogił bezimiennych.

Sporo mogił znajduje się także w obrębie samej twierdzy. Ponieważ leżą często przy drogach lub też obok budynków mieszkalnych, przenosi się je na wspólny cmentarz.

Ekshumacja nie należy wcale do przyjemności. Zależnie od terenu i wilgoci ziemi, trupy są mniej lub więcej już rozłożone i trzeba je kawałkami zbierać do trumny. Celem rozpoznania poległego rewiduje się jego ubranie, kieszenie i spisuje protokół. W ten sposób dochodzi się do rozpoznania wielu zaginionych.

Jak każda najpoważniejsza rzecz ma zwykle swoją stronę komiczną, tak i tu odkopywanie grobów jest nieraz bardzo zabawne. Zabieramy się do starannie utrzymanej mogiły koło dawnych koszar rosyjskich w Zajezierzu, ozdobionej pięknym, brzozowym krzyżem z napisem: »Ein unbekannter Krieger« — nieznanym żołnierzem. Obok mogiły przygotowane prześcieradło do związania rozpadających się zwłok i czarna trumna dla nieboszczyka. Żołnierze kopią i kopią, nerwowe oczekiwanie, jak ten truposz będzie wyglądał i kto to może być, a tymczasem zamiast żołnierza, »poległego na polu chwały«, najzwyczajniejszy — ser szwajcarski w wielkich ilościach, zakopany przez jakiegoś

przezornego i przewidującego bohatera. W innym znowu »grobie« — same puszki z konserw mięsnych.

Dęblin, 28. marca 1916.

Wróciłem przed chwilą z pogrzebu jeńca rosyjskiego, katolika, Niemca z Odessy. Znałem go dobrze. Pomagał sanitariuszom w szpitalu. Zawsze był w ruchu, zawsze zajęty, zapracowany. Ile razy mnie spotykał, z pewną dumą uchylał czapki wojskowej rosyjskiej i pozdrowiał po katolicku. Uważał się tem samem za coś lepszego od reszty jeńców prawosławnych.

Przystanąłem czasem, by z nim porozmawiać. Był żonaty, miał dwoje dzieci, z zawodu stolarz. Dziś był jeńcem, ale nie czuł się źle. Nie było też u niego tego smutku głębokiego, jaki odbija się zwykle na obliczu jeńca.

Niedawno — patrzę — mój znajomy leży w szpitalu w sali dla »tyfuśników«. Trochę zmierzniał, ale zawsze jeszcze uśmiechnięty, pogodny. Śmiał się, kiedym mu żartem wymawiał, że wcale nie chory, tylko poszedł się wyleżeć.

A on naprawdę był chory, ciężko chory na tyfus brzuszny. Z dnia na dzień opadał z sił, zaczął żółknąć, gorączkować, majaczyć.

Po dziewięciu dniach umarł.

Dziś był pogrzeb. Skromny, jako pogrzeb jeńca. Żołnierz niesie prosty czarny krzyż. Za krzyżem kilku sanitariuszy, potem ksiądz, czterech jeńców z trumną na ramionach, za trumną w milczeniu i skupieniu oddział jeńców pod strażą.

Cmentarz niedaleko szpitala koło rozbitego fortu. Już tam sporo grobów, choć niedawno założony — mogiła przy mogile Wszędzie piasek, więc i mogiły jak piasek kruche, szare, jednostajne. Wszyscy razem na wspólnym wojennym cmentarzu. Prawosławny obok katolika, protestant obok islamity, żyda. Proste krzyże z napisami. Miejsce naprawdę cmentarne. Pochylony teren, a tuż parę kroków dalej — wieczne moczary, topieliska. Jak daleko okiem sięgnąć, nie — tylko większe lub mniejsze płaty wód, bagniska, w nich rzędy słupków, całe szrury, sploty kolczastego drutu, a dopiero tam, na samym widnokręgu, ciemne tło lasu, a przed nim wiatrak — młyn samotny, o ogromnych, leniwo poruszających się skrzydłach.

Spuścili jeńcy trumnę z jeńca ciałem w grób. I spoczął tu zdala od swoich, nie wróci do nich po wojnie. Nie wyciągnie dłoni z powitaniem do żony, nie przytuli dzieci do serca. Spoczął daleko na polskiej ziemi. Tylko wierzba smutna, wierzba polska będzie żałośnie nad mogiłą swe gałązki kołysała, tylko wicher i wiatr mroźny, co gwizdże w złomach zniszczonego fortu, będzie muskał kurhan, co jedynym zostanie grobu śladem. I więcej nikt nie odwiedzi, nikt nie zajdzie, nikt nie znajdzie, nie zapłacze. — Sam zostanie z tymi, co tu spoczęli.

Nikt z nich tu się nie rodził, wszyscy z daleka.

Za każdym z nich ktoś tam tęskni, płacze daleko. A oni tu doszli, tu śmierć ich zmogła — tu leżą. Nieznani sobie, ani drugim.

Polecilem jeńcom po modlitwach przy grzebaniu zmarłych zaśpiewać »Ojcie nasz«. — Kto te-

go nie słyszał, nie potrafi nawet w przybliżeniu wyobrazić sobie piękności i bezbrzeżnego smutku tego śpiewania. Jest coś tak smutnego w tym śpiewie, coś tak rzewnego, beznadziejnego, że doznaje się jakiegoś wstrząsu dziwnego. Odrazu na dwa głosy, bez wszelkiego przygotowania, a tak tęsknie, smutno, rzewnie!

Słuchałem tego śpiewu nieraz w barakach dla jeńców w Krakowie, a teraz w Dęblinie często idę posłuchać wieczorem.

Mieszkają tu jeńcy w okopach ziemnych na otwartem polu. Wieczorem koło okopów pełno ognisk. Czerwony blask płomienia oświetla za zasiekami z drutu kolczastego postacie skulone, siedzące koło ognia. O godzinie dziewiątej, kiedy trębacz zaczyna pobudkę, zrywają się te postacie tajemnicze, stają. Żegnają się po kilka razy i zaczynają wspólne, głośne śpiewanie, smętne żałosne, a niezrównane w melodji! Ojczy nasz... Zdrowaś... Wierzę...

Zaczynają przy jednym okopie, pieśń leci dalej. Z nią łączą się drudzy przy następnym. I w jednej chwili przy wszystkich okopach śpiew. Cały obóz jeńców śpiewa Bogu chwałę, za dzień cały miniony, modli się, odmawia, śpiewając swą prostą a potężną modlitwę wieczorną.

Wtedy chyba każdy, co słyszy te tony tęskne i żalosne, a tak niezwykle przejmujące, składa odruchowo ręce do modlitwy i łączy swój szept cichy ze śpiewaniem — modlitwą, pieśnią jeńców.

Tak śpiewali jeńcy i nad grobem zmarłego swego kolegi jeńca-brata. Śpiewali — tylko jeszcze jakoś smutniej, rzewniej, rozpaczliwiej, tęskniej.

I pewno tam Pan Bóg przyjął to wezwanie, tę pieśń, modlitwę ostatnią za duszę zmarłego biedaka.

A ja wtedy jeszcze jaśniej i wyraźniej zrozumiałem, jak to Pan Bóg jest nam wszystkim bez wyjątku Ojcem, i jeńcom i wolnym, po tej i po tamtej stronie frontu.

Dęb lin, 4. kwietnia 1916.

Prócz szpitala w samej twierdzy jest drugi szpital na dworcu dęblińskim, t. zw. Krankenhaltstation. Jest to szpital, gdzie pozostawia się chorych, o ile okaże się, że w czasie transportu kolejną stan ich zdrowia pogorszył się

Przychodzę kiedyś, rozglądam się po sali. Tam w kącie jakiś starszy człowiek ciągle rusza przed sobą rękami, jakby coś odpędzał uporczywego, co go wciąż niepokoi. Zbliżyłem się, zauważył, że ktoś obok niego stoi i uspokoił się. Dowiaduję się, że pochodzi z Moraw, że ma żonę w domu i pięcioro drobnych dzieci. Trudnił się krawiectwem. Wzięli go do wojska jako rezerwistę. Na froncie dostał postrzał w głowę — od tego czasu ciągle mu się w oczach émi, a od kilku dni nie może jakoś przejrzeć.

Przypuszczałem, że to chwilowe tylko przywidzenie, złudzenie chorego. Oczy ma przecież całe, skaleczenia nie widać żadnego. Oczy patrzą, — są wprawdzie przerażająco nieruchome, szkliste i jakby stężale, coś jest w nich niezwyčajnego, ale to pewno chwilowe. Biorę książkę, pokazuję i pytam, czy widzi, co mam w rękę, — powiada,

że nie. To samo robię z białą kartką. Pytam, czy mnie widzi — tak samo nie. Nawet jasności w pokoju nie spostrzega. Nie widzi nic, absolutnie nic. Noc zupełna!

Zrozumiałem wreszcie. Strzał uszkodził nerw wzrokowy w mózgu i choć oczy są całe, przestały wskutek tego widzieć, przestały reagować na wrażenia optyczne i udzielać ich mózgowi. I biedak oślepl zupełnie. To okropne!

Człowiek rozumie dopiero, co to jest prawdziwe nieszczęście, gdy się do tego rodzaju nieszczęśliwych zbliży. Wtedy czuje się strasznie małym, bezsilnym, słabym — niczem, zerem.

Chciał, abym za niego napisał do żony i do dzieci. Jak umiałem po czesku, tak napisałem, oznajmiając z jego polecenia, że tatuś ranny w głowę i jakoś niedobrze widzi, ale to pewno niedługo przejdzie. Łudził się biedny, że wzrok odzyska.

Odwiedzałem go często, opowiadałem różne rzeczy, za co był bardzo wdzięczny. Skarżył się, że ciągle to samo, ciągnęła ta ćma przed oczyma, — pozostają mu tylko myśli smutne, przecucie jakieś, lęk wielki, sny nieprzyjemne i wieczna, bezlitosna, czarna noc.

Doczekał się nawet odpowiedzi od swych dzieci. Dał mi ją do czytania — napisaliśmy znowu. Ale jakoś w trzecim tygodniu stan nieszczęśliwego pogorszył się, gorączka podniosła się do 40 stopni. I choć wołałem po imieniu, brałem za rękę — już nie słyszał, nie rozumiał, nie odpowiadał, ani się skarżył. Po kilku dniach bezświadości przyszła agonja, koniec się zbliżał.

I kiedy wczoraj przyszedłem, by odwiedzić biedaka, zastałem łóżko puste, bez pościeli, samotne. Powiedziano mi, że umarł, że już w trupiarni.

Śmierć wybawiła go od straszego życia w kalectwie.

Dęblin, 11. kwietnia 1916.

Ciekawą miałem dziś wizytę.

Przychodzi żołnierz, melduje, że dwaj żydzi stoją przed bramą i chcą się ze mną widzieć. Przy puszczałem, że to nieporozumienie, ale kazałem wprowadzić.

Starsi już obaj, w długich chałatach. Kłaniają się od samych drzwi.

Młodszy, zezowaty trochę, patrzy przez okulary, futro wspaniałe, nieco wytarte, na głowie jarmułka. To pan rabin z pobliskiego miasteczka Ireny.

Starszy, z siwą brodą, to kupiec z tego samego miasta.

Myślałem, że mają interes do kogo innego i powiedziałem odrazu, że jestem księdzem katolickim, ale wcale ich to nie przeraziło.

»My właśnie do pana księdza« — powiada starszy — »to pan rabin, a ja z kahału.«

»Wy do mnie obaj?«

»A tak, my dowiedzieli się, że tu nowy proboszcz w »Kreposti«, przyszliśmy złożyć uszanowanie. My z katolikami zawsze chcemy żyć dobrze, a z panami proboszczami też. Tylko nas katoliki nie lubią, naśmiewają się i nie chcą dać robić interes. Teraz tylko komitety ratunkowe w mo-

dzie. Przywożą mąkę, sprzedają, choć się na tem nie znają. A starozakonne nie mamy co robić, nie ma czem handel robić, nam nie będzie wolno żyć.«

»Przecie katolikom obecnie także ciężko, wszędzie i u wszystkich bieda. To zupełnie naturalne, że i żydom gorzej może niż zwykle« — odpowiadam.

»Ale gdyby starozakonne dostały ten handel, co ma komitet, to i katolikom i starozakonnym będzie lepiej..«

»W jaki sposób?«

»Katoliki głowy do handlu nie mają, one się tego nie uczyły, nie umieją robić interes. One nie mają i my nic nie mamy...«

»A jednak z tego, co tutaj w okolicy widzę, to wcale sobie dobrze radzą, wszystko idzie gładko, nędzy krzyczącej niema, mąka, cukier jest, a o ile wiem, komitet ma już z obrotu mąką, cukrem, naftą coś 1200 rubli zysku i ma je rozdzielić pomiędzy najbiedniejszych nietylko katolików, ale i żydów.«

»My, starozakonne, mielibyśmy jeszcze więcej zysku.«

»O, w to nie wątpię, wy zawsze umiecie robić na wszystkiem interes, ale my nie możemy pozwolić wzbogacać się jednostkom w chwili, gdy tysiące z głodu giną. Dochody muszą iść na dobro ogółu, a nie kilku ludzi.«

»Kiedy my, żydki, nie mamy teraz co robić, nie mamy co sprzedawać.«

»A chłop tam w dole, wrytym w ziemi, bo mu chałupę spalili, chłop, co mu zabrano konia, spalono pługi, brony, co nie ma na zasiew ziar-

na, — co ten ma? U kogo przeprowadza się rekwizycje, u was, czy u katolików? U was jeszcze nikt z głodu nie umarł i nikt wam z głodu umrzeć nie da. A najmniej my katolicy. Komitety są przecież i dla was, wszak wy sami jesteście ich członkami.«

Jednak trudno było ich przekonać. Uważają handel za swój przywilej i monopol. Zaproponowałem im, by sobie utworzyli własny komitet żydowski dla żydów. Stosownie do liczby izraelitów odstąpi im dotychczasowy komitet odpowiednią ilość mąki, cukru, nafty i mogą sobie potem z tem robić co chcą i jak chcą.

Nie osiągnęli tego, co chcieli, ale przystali na tę koncepcję, prosząc o poparcie jej w komendzie wojskowej.

Zażądałem pięciu ludzi do tego komitetu starozakonnego.

Wtedy pan rabin na pierwszym miejscu zaproponował, by »pan ksiądz« objął przewodnictwo w nowym komitecie starozakonnym.

Zapomniał, że jestem nowozakonny.

Wizyta ta daje obraz, jak ta rasa nie przebiera w środkach, by tylko dalej wyciskać z narodu naszego wszystko, co się da, bez względu na dzisiejsze rozpaczliwe położenie całego społeczeństwa i kraju.

Po wojnie czeka Polskę bardzo ważna i trudna kwestja do rozwiązania: kwestja żydowska. Nigdzie niema tylu żydów, tyle miast żydowskich, co w Polsce. Przeszło dwa miliony. Nie wolno im było dotychczas w Królestwie mieszkać po wsiach,

więc mieszkają po miasteczkach. Nie widziałem nigdy przedtem nic równie brudnego i tandetnego, jak te »miasta«. Dziury zapadłe, drewniane chałupy, mało gdzie jaki dom murowany, chylące się do upadku stare obszarpane rudery. Z każdej prawie sieni, z każdego okna wзира twarz o semickich rysach. Żydzi wnoszą ze sobą do Polski coś azjatyckiego, szachrajstwo, niechlujstwo, są pasorzytami na organiźmie naszym.

Praw pod rządem rosyjskim nie mieli żadnych. Dziś pewnie się to zmieni. Te masy ludu żydowskiego otrzymają równouprawnienie. I stanie obok nas żywioł liczny, ruchliwy, który zaważy w dziejach narodu, zwłaszcza, że jest sprytny, solidarny i obrotny.

Wolałbym oczywiście, by Polska inną miała kwestję, nie żydowską.

Jednak każdy naród, każde państwo musi mieć jakąś dominującą ponad wszystko kwestję, — wtedy rozwija energję, wykazuje prężność w pewnym kierunku i broni się przed stagnacją i upadkiem.

Dęb lin, 26. kwietnia 1916.

Minęły święta wielkanocne.

Nie mają one już tego dziwnego uroku, co Boże Narodzenie, jednak Wielki Tydzień i same święta przyniosły mi dużo radości.

Z początkiem Wielkiego Postu ogłosiłem spowiedź wielkanocną dla żołnierzy, wyznaczyłem, w jakim porządku różne oddziały miały kolejno w pewne dni przychodzić do spowiedzi.

W pierwszej połowie Postu szło tępo, bardzo tępo. Żołnierze ociągali się, zwlekali. Zamiast stu z oddziałów przychodziło ledwo trzydziestu lub czterdziestu, aż się przykro robiło. Jednak, im bliżej świąt, tem jakoś liczniej, lepiej, jakiś lepszy duch powiał, coraz ich więcej przychodziło. Nie mogłem czasem pracy podolać. Ale serce rosło, kiedy setki jednały się z Bogiem i po chwilowem może jakimś zapomnieniu lub zniechęceniu odnajdywali prawie wszysecy kontakt z Bogiem.

Pomocy nie miałem żadnej, spowiadałem stale sam, aż mnie czasem wszystkie kości bolały od siedzenia w konfesjonale. Zato wieczorem, kiedy po skończonej spowiedzi podchodziłem bliżej do ołtarza, by na kolanach podziękować Utajonemu tam Bogu za upał całego dnia i obfity połów, to trudno mi było oderwać się od tabernakulum, bo duszę moją rozpierało dziwne jakieś wesele i zadowolenie. A potem w czasie Komunji św., kiedy przyjmowało ją stu i więcej mężczyzn, żołnierzy to już ze wzruszenia łez powstrzymać nie mogłem.

W Wielki Czwartek przyszedł do spowiedzi sam generał, komendant twierdzy, a z nim kilku oficerów.

To był mój najmilszy podarunek na święta, to było moje Alleluja kapłańskie..

To też Wielki Piątek z Bożym Grobem, urządzonym nader skromnie z różnych rosyjskich szczytków cerkiewnych, nie był dla mnie w tym roku dniem smutku, ale jakiejś zalewającej mi

duszę radości i wdzięczności wobec dobrego Boga za tyle łask, których jestem niegodnym szafarzem.

Dęblin, 4. maja 1916.

W niedzielę, dnia 30. kwietnia odbyła się tu uroczystość poświęcenia i otwarcia nowego mostu kolejowego na Wiśle. O godz. 9. rano przyjechał specjalnym pociągiem minister wojny Krobotin. Powitany muzyką, przeszedł wzdłuż kompanji honorowej. Kiedy doszedł do ołtarza polowego, ustawionego tuż obok mostu na lewym brzegu Wisły, z widokiem na cały most i samą Wisłę, majestatycznie płynącą, zaczęła się Msza św. polowa. Po Mszy św. przemowa i poświęcenie.

Nastąpiło kilka mów: generała wojskowej kolei północnej, szefa sekcji w ministerjum wojny i samego ministra Krobotina. We wszystkich przemowach wskazywano na doniosłość dzieła. Wszak most ten łączy front z krajami, z których pochodzą żołnierze i da Bóg niedługo powrócą oni już wszyscy tędy po zapewnieniu zwycięstwa i pokoju.

Most nowy cały z żelaza ma 400 metrów długości. Po zburzeniu dawnego przez Moskali przy wycofaniu się z Dęblina, zbudowały wojska austriackie dwa prowizoryczne mosty, ale oba zabrała powódź. Obecny most zaczęto budować 18. lutego b. r., a skończono 22. kwietnia. Co do szybkości budowania osiągnięto niesłychany i nigdzie jeszcze niespotykany rekord.

Podczas całej wojny i przedtem nie wybudowano nigdzie żelaznego mostu w tak krótkim cza-

sie. I pod względem technicznym należy most ten do rzadkości. Zaczęto budować z lewego brzegu. Zanim osiągnięto pierwszy filar, most wisiał, oparty tylko jednym końcem, w przestrzeni 42 metrów zupełnie wolno w powietrzu.

Dęblin, 22. maja 1916.

Zaczynam przekonywać się do tutejszego krajobrazu polskiego, równego, nadwiślańskiego. I tu dużo piękna — cudny jest przedewszystkiem zachód słońca, szczególnie obserwowany nad samym brzegiem szeroko rozlanej Wisły. Inaczej tu, niż na Śląsku, ale widać, wszędzie porozrzucał Stwórca ślady odwiecznego Piękną. Tylko tu piękno to nie rzuca się w oczy, trzeba go nieraz szukać. Dopiero na tle tutejszego krajobrazu rozumem lepiej opisy natury Reymonta w »Chłopach«. Tu staje się zrozumiałą jego epopeja chłopska, gdy się człowiek wpatrzy w te bezkresne, szare pola i łąki, gdy patrzy na wieś tutejszą, chaty słomą kryte, przypominające z oddali stada przytulonych do siebie owiec, gdy się wsłucha w mowę tutejszego ludu i zagłębi w jego duszę. Chłop Reymonta, to nie chłop śląski, to chłop tutejszy żywcem wzięty, wystudjowany przewspaniale.

Wiosna, ciepło, kwiaty, słońce.

Siedzę obecnie przykuty do nieciekawej pracy. Polecono mi cenzurę listów na tutejszej poczcie wojskowej, otwartej od niedawna i dla ludności cywilnej.

Trzeba przejrzeć codzien kilka tysięcy listów. Przychodzą z listami ludziska po kilka mil. To

jedyny przecież sposób porozumienia się ludności z okolicy całej z jeńcami, będącymi w niewoli austriackiej. A takich dużo. Przynoszą ludzie worki z chlebem, z sucharami, przesyłają pieniądze, poszukują swych zaginionych.

Widziałem wczoraj kobietę z pod Łukowa, która, nie mogąc trafić na pocztę, przyszła do księdza. Szła dwa dni, nogi miała pokrwawione, przyniosła worek z sucharami dla syna, przebywającego w niewoli na Węgrzech.

Chciałoby się uklęknąć przed taką matką.

Pisanie listów jest tu jeszcze jakimś niezwykłym, uroczystym aktem. Każdy list zaczyna się mniej więcej tak: W pierwszych słowach mojego listu odzywam się do ciebie słowem: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i spodziewam się, że mi odpowiesz: Na wieki wieków. Amen.

Są listy nieraz banalne, nic nie mówiące, niezdarne, ale są i inne, tchnące prawdziwie ludową poezją.

Czytałem taki list, pisany do jeńca w Austrii przez dziewczynę z Lubelskiego: »W pierwszych słowach mojego listu witam cię, kochany Józiczku, temi słowy: Niech będzie pochwalony, a spodziewam się, że mi odpowiesz: na wieki. Amen.

Przyleciał słowiczek do mego okienka i mi powiada, że kochany Józiek listu oczekuje. Tak ja raniusieńko z łóžeczka wstałam, do stołu zasiadam i papier rozkładam i zaczynam pisać, aż tu zaczyna stolik się kołysać, pióro w ręku skacze, aż samo serce od żalu płacze. Tak mi się śniło, w nocy śniło mi się jak świta, że Józek przy-

szedł do nas i ze mną się wita. Ale Józka niema, nie przyszedł.

Idź listeczku w drogę, bo ja iść nie mogę, przez bory i lasy, przypomnij nasze dawne czasy, a gdy przyjdiesz w podwórko, to zapukasz, a gdy przyjdiesz do proga, pochwal Pana Boga, a gdy przestąpisz próg, pokłoń się odemnie do samych nóg. A gdy przyjdiesz do mieszkania jego, to tam zapukaj do serduszka jego. Do serduszka jego, za rączkę przywitaj i najpierwsze słowa: o zdrowie się pytaj.

Witam ja cię witam, mój Józienku drogi, bo ja dzisiaj przyszłam z tak dalekiej drogi. Tak z dalekiej drogi, z kraju dalekiego, ażeby pocieszyć Józienka smutnego, bo on tam jest smutny, srodze zasmucony, ni ojca, ni matki, ni siostry, ni żony. Ze Józek wyjechał od domu swojego, od swojej rodziny, że tak oczekuje szczęśliwej godziny; szczęśliwej godziny, momentu dobrego, zachowaj cię, Boże, od wszystkiego złego.

Wiaterek powiewa, aż się trawka chwieje, jak se wspomnę o Józienku, aż mi serce mdleje.

A teraz ci donoszę: wesel nam się szykuje parę, bo Zośka u Nowszyka wychodzi za mąż a więcej, to ci ich nie mianuję, bo ich nie znasz. Jak my do roboty chodziły, tak chodzimy. U nas ciepło, kieby w maju.

A teraz donoszę o swoim bardzo ciężkim smutku, jakiegom się ja nieboga doczekała, bo moja mama mi umarła 2. marca i teraz mam ciężki smutek i pozdrawiam Józka bez wonny kwiat, żeby się weselił Józkowi cały świat, bez kwiatek

malinowy, ażeby Józiek był wesoły, zdrowy, bez listek kaliny, ażeby Józiek wrócił do swej rodziny, do domu swojego, zachowaj cię, Boże, od wszystkiego złego, bez gaik zielony, ażebyś jeszcze wrócił w swe strony. Amen.«

Żołnierskie listy, pisane w różnych językach, streszczają się w pisaniu o urlopie, o którym wiecznie marzą. Bardzo często opisują rzeczy zupełnie z palca wysane, n. p. o bitwach, toczących się koło Dębli, o ciągłym huku dział wtedy, gdy front znajduje się o kilkaset kilometrów, a więc o huku dział od kilku miesięcy mowy niema.

Dęblin, 9. czerwca 1916.

Przed tygodniem przyjechała do Dębli z polecenia władz wojskowych starsza już pani, nazwiskiem Józefina Lintrup. Ma polecenie wyszukania zakopanych w ziemi przez wojska rosyjskie armat i amunicji. Przedtem była na górze Łowczen w Czarnogórze celem wyszukania wody pod ziemią. Przy tej sposobności znalazła w kilku miejscach zakopaną przez Czarnogórców amunicję.

Przy szukaniu wody, armat nie kopie wcale, nie odgrzebuje ziemi, ale chodzi z niedużym prętem ze stali, zwróconym ku ziemi i uważa, czy pręt nie wykonuje jakich nachyleń i ruchów. Według kąta nachylenia pręta poznaje, gdzie w ziemi woda, a gdzie metal, żelazo lub miedź.

Żeby się o tem naocznie przekonać, poszliśmy we dwóch ze znajomym oficerem do tej dziwnej osoby.

Przyjęła nas bardzo mile — niska, szczupła, koło lat 50, na twarzy już zmarszczki, poważna, inteligentna.

Pochodzi z Kopenhagi, jest narodowości duńskiej, mówi po niemiecku.

Zaczął się formalny wywiad, interwiew.

»Skąd i jak wykryła pani w sobie te dziwne właściwości i siły?«

Mam w Kopenhadze willę z dużym ogrodem. W letnich miesiącach przechadzałam się w nim w różnych kierunkach. Kiedyś przechodziła jedną ścieżką, to stale w temże samem miejscu doznawałam jakiegoś oryginalnego zmęczenia i osłabienia, które mijało, kiedy się oddalała.

Przypadkowo czytałam wtedy, że są ludzie, którzy przy pomocy prętów odszukują pod ziemią wodę i w bliskości wody odczuwają zmęczenie i znużenie. Przypuszczając, że może i ja tę siłę posiadam, jednak może więcej dla żartu, niż na serio, ułamałam gałązkę i podeszłam do owego miejsca. Odrazu zauważyłam dziwne ruchy pręta i nachylanie się. Kazałam grzebać i okazało się, że w miejscu schodzą się pod ziemią dwie żyły wodne dość obfite.

Spostrzeżeniami memi podzieliłam się z doktorem, który wszystko dokładnie zbadał i stwierdził, że moje domysły są trafne. Dowiedział się o tem słynny lekarz chorób nerwowych w Wiedniu, dr. Benedikt, zaprosił mnie do siebie i zaczął badać. W ciemnym pokoju n. p. widzą ludzie koło mnie białawą mgłę, jako oznakę wydobywania się z ciała jakichś niezbadanych sił i objawów magnetycznych.«

»To Pani wygląda w takim razie na jakąś świętą?«

»Wcale nie. Zarozumiałą nie byłam nigdy i nie jestem. Posiadam jedynie czysto fizyczną i bardzo naturalną, choć rzadko spotykaną właściwość. Nieraz myślałam sama o tem, czy aureole, widziane u różnych świętych za życia, nie mogły mieć także takiego zupełnie czysto fizycznego pochodzenia. Co mnie Bóg dał, to mógł w wyższym znacznie stopniu dać i wybranym, którzy świętością swego życia na to sobie zasłużyli.«

»A jak się ma rzecz z owym czarodziejskim prętem?«

Nato wyjmuje pani Lintrup pręt stalowy, długości jakich 30 cm, zgięty w środku w pętlę.

»Proszę o pokazanie nam jakiego doświadczenia.«

Wtedy pani Lintrup wznosi pręt ponad głowę mego towarzysza. Pręt po małej chwilec obraca się w rękach trzymającej raz naokoło, czyli robi obrót 360 stopni. Myślałem, że to ona sama porusza pręt. Przytrzymałem jej mocno dłonie, ale pręt po staremu znowu się obrócił.

Potem wzięła pani Lintrup pieniądz srebrny i zwróciła doń swój pręt. Pręt zrobił ćwierć koła, czyli 90 stopni, nad pieniądzem niklowym 60 stopni.

»Co to znaczy? Czy to czary? To pewno sama Pani coś tam kręci.«

»Broń Boże! Wcale nie. Przyznaję, że to może wygląda na czary, ale to jest zupełnie naturalne. Magnetyzm, zawarty we mnie, oddziaływa w połączeniu z magnetyzmem tego pana, choć on

jest znowu innego rodzaju, niż mój, na pręt i pręt reaguje na to odpowiednim ruchem. Tak samo ma się rzecz z pieniądzem, z wodą, z żelazem.«

»A dlaczego nad głową pręt zrobił obrót 360 stopni, nad srebrem 90, a nad niklem 60?«

»Tego ja sama nie wiem, ale udało mi się z dr. Benediktem w Wiedniu ułożyć tabelę, w jaki sposób reaguje pręt na różne przedmioty. Nad wodą obraca się 320 stopni, nad zepsutą wodą mniej, tak, że przy pomocy pręta mogę po kącie nachylenia z góry powiedzieć, czy woda dobra, czy nie. U miedzi kąt ten wynosi 110, przy aluminjum 720 stopni. U człowieka, jak ksiądz widział, 360 stopni, u chorego jednak mniej, przy różnych chorobach różnie.«

»To Pani potrafi i choroby rozpoznać?«

»A tak i co najważniejsze, że ta diagnoza nigdy nie zawodzi.«

»W takim razie proszę postawić diagnozę u mnie!«

Siadam na krześle, a pani Lintrup podnosi pręt nad moją głowę. Pręt obraca się, ale przy ostatniej ćwierci koła ruch pręta znacznie słabnie i ledwo koło się zamyka.

»Ksiądz jest przemęczony« — powiada — »niezupełnie zdrow.«

»Może być.«

Potem nastawia pręt nad ramionami. Po prawej stronie pręt obraca się prawidłowo, po lewej znowu z trudem.

»Coś tu nie w porządku.«

Rzeczywiście dwa razy przechodziłem silny katar lewego szczytu i na tej stronie widocznie ślady pewne zostały.

Tak samo i z prawą ręką u mnie na podstawie pręta coś nie w porządku. Pewnie od ciągłego gryzmolenia — pomyślałem.

Doświadczenia i próby z oficerem mi towarzyszącym okazały, że zdrów, jak ryba.

»Wszystko to pięknie, ładnie, a może Pani prętem leczyć?«

»Niestety, poznać chorobę mogę, leczyć nie.«

»Od kiedy służy Pani w wojsku?«

»Z początkiem wojny prowadziłam szpital wojskowy w Icici koło Abbacji. Kiedy jednak Włosi zaczęli szpital ostrzeliwać, zwinięto go, a wtedy na podstawie rozpraw dra Benedikta powołano mnie do pracy z moim prętem.

Pracuję głównie w Alpach, gdzie wojsko musi walczyć na wysokości kilku tysięcy metrów, gdzie brak źródeł, brak wody. Tam żołnierze przebywają w najcięższych warunkach. Wodę nie raz znaleźć można dopiero o setki metrów poniżej i sprowadzać ją trzeba w beczkach niedostępnymi drogami. Niedawno byłam na Monte Magiore (góra, położona nad Abbacją, czyli Opatją) i wyszukałam tam kilka źródeł. Jak żołnierze byli za to wdzięczni! Nie chciało mi się opuszczać chorych, ale teraz widzę, że mogę z łaski Boga, który mi dał te dziwne zdolności, wybawiać ludzi z największej biedy, bo z pragnienia. Tak samo było w Czarnogórze na Łowczeniu.«

»Spotkała Pani ludzi, którzy mają podobne własności magnetyczne?«

»O tak, kilku nawet, w tem kilka kobiet. Słynny jest major Beigel, który tak samo wyszukuje wodę pod ziemią.«

»Czy działania i objawy są u nich jednokowe?«

»Nie. U jednych silniejsze, u drugich mniej. Przypuszczam, że i tabela wahań i nachylenia się pręta wobec różnych przedmiotów zmienia się u różnych osób i wobec tego trudno będzie postawić jakąś stałą normę, formułę matematyczną.«

»Jak Pani myśli, czy to jest objaw nerwowy u Pani, czy chorobliwy?«

»Nerwowy nie. Nerwy mam w porządku, panuję nad nimi zupełnie. Nawet przy najciężej chorych, przy umierających jestem zrównoważona i spokojna. Chorą także się nie czuję, choć mnie to męczy, kiedy robię poszukiwania lub doświadczenia.

Myślę jednak, że chyba u każdego człowieka jest trochę magnetyzmu. U jednego mniej, u drugiego więcej. U mnie może go być przez jakiś zbieg okoliczności dużo więcej, niż u innych i dlatego wyglądam na czarodziejkę z cudownym prętem.

Ale to jest rzecz zupełnie naturalna, pochodząca od Boga, który darami Swymi obdziela stworzenia i chce widocznie, bym użyła tych darów dla ulżenia ludzkości cierpiącej, dla dobra bliźnich w tej strasznej wojnie.

Dęblin, 17. października 1916.

Niedawno zaprosił mnie do Maciejowic oficer niemiecki, zajmujący się konserwacją grobów poległych. Pojechałem — tem więcej, że to niedaleko koleją pruską, dwie stacje od Dęblina w stronę Warszawy.

Na przystanku w Sobolewie czekał wóz. Do Maciejowic godzina dobrej jazdy. Przy stacji kilka domostw murowanych z czerwonej cegły, szereg sklepów, głównie żydowskich. Wszyscy przechodnie kłaniają się, pozdrawiają. W okupacji niemieckiej pozdrawianie oficerów i urzędników obowiązuje pod karą. Jedzie się dalej przez las, a za lasem wieś Sobolew. Chałupy jedna przy drugiej, szare wszystkie jednakie, słomą kryte, ciągną się podwójnym sznurem wzdłuż drogi. W środku wsi kościół drewniany z dwiema wieżami odbija się ładnie na tle pagórkowatej okolicy. A trochę dalej świeże zgliszcza kilku chałup, spalenisko, koło którego stoi szereg kobiet, patrzących smutnie i łzawo na dopalające się resztki belek i gratów. Kilku chłopaków grzebie patykami w tlejących kupkach.

»Dziś w nocy się zajęło, niewiadomo jak i spaliło się. Dzięki Bogu, że cała wieś nie spłonęła« — tak objaśniają.

Potem wieś Oronne, tak samo zabudowana jak Sobolew, — nie tak jak śląskie wioski, gdzie chaty są zwykle rozrzucone osobno wśród pól.

Za Oronnem Maciejowice, a właściwie ich część, zwana Podzamecze, cel jazdy. Pałac z ogro-

mnym parkiem i szeregiem zabudowań folwarcznych. Stoi na wzgórzu nad rzeką Okrzejką.

Zajeżdżamy przed pałac. Tam kancelarje urzędników i oficerów niemieckich. Oficer, do którego przyjechałem, objaśnia, że to pałac i majątek hr. Zamoyskiego, którego Rosjanie wywieźli za to, że sprzyjał Austrii. Dziś zawiaduje majątkiem brat hrabiego, a wojskowość zajęła budynki dla swych celów.

W pokojach pałacowych i salach widać że wojna. Szereg fotografii rodzinnych, gobeliny, obrazy, meble wspaniałe, a przy nich zwykle wojskowe łóżka, urządzenia polowe, mundury na kółkach. Pstrokacizna wszędzie a nieład największy w bibliotece, która robi wrażenie składu gratów i najrozmaitszych rupieci.

Po obiedzie w salonie na talerzach z herbami hrabiowskimi i książęcymi, bo hr. Zamoyska jest z domu księżniczką Burbon, pojechaliśmy do warsztatów, mieszczących się w zabudowaniach folwarcznych.

Przed pracownią stosi drzewa dębowego. W pracowni szereg stolarzy cywilnych i wojskowych. Wszystko pracuje tu wyłącznie tylko dla poległych i zmarłych w obrębie gubernji wojskowej łukowskiej. Nie widzi się nic, coby miało jakieś praktyczne zastosowanie dla życia i jego potrzeb. Wszystko, co się tu robi, to nie dla żyjących, ale dla umarłych. Możnaby nad tą pracownią umieścić napis: »vivi mortuis« — żywi umarłym. I wszystko razem nastraja zwiedzającego poważnie.

W jednej stronie pracowni same krzyże. Robi się specjalne dla niemieckich żołnierzy, inne dla austriackich, a inne jeszcze dla żołnierzy rosyjskich, — wszystkie dębowe, trwałe. Taki krzyż wytrzymuje kilkadziesiąt lat.

Osobny oddział robi płoty na groby, a inny znowu trumny. O ile bowiem ktoś pochowany wśród pola, w roli, to się go ekshumuje i przenosi na miejsce odpowiedniejsze, zwykle na najbliższy cmentarz.

Napisy na krzyżach są wszystkie wypalane, bo ten sposób jest najłatwiejszy i najtrwalszy. Wszelkie inne napisy, tabliczki bledną, zacierają się z biegiem czasu. Zazwyczaj już po roku nie znać napisów zrobionych ołówkiem, choćby chemicznym.

Pojechaliśmy potem do samych Maciejowic, gdzie urządzono wzorowy cmentarz wojskowy. Są tam groby żołnierzy poległych dawniejsze i późniejsze, powstałe przez przeniesienie zwłok z lasów, pól, z bruzd, gdzie w pośpiechu pogrzebane zostały.

Jedzie się jaki kwadrans z Podzamecza. Po drodze na prawo i na lewo szeregi grobów wspólnych i pojedynczych. Wszystkie wzorowo ogrodzone, oznaczone, pokryte darnią.

Okolice Maciejowic była widownią zaciętych walk. Tam Wisła najwęższa w całej okolicy, tam najłatwiej ją przejść. Widocznie dlatego w dziejach wojen Maciejowice zawsze odgrywać będą ważną rolę.

Tam przedostała się wśród zaciekłych walk armja generała Woyscha po zbudowaniu trzech mostów przez Wisłę na prawy brzeg, zagroziła linję kolejową z Dębłina do Warszawy i sam Dęblin od północy. A że od południa, od Lublina szli Austrjacy, więc Moskałom nie pozostało nic innego, jak opuścić Dęblin i uciec jedną jedyną jeszcze nie zagrożoną linją kolejową i drogą do Łukowa, Siedlec i Brześcia Litewskiego.

Maciejowice, to miasteczko niewielkie. Przy ulicy wjazdowej szereg domostw, głównie drewnianych. Zaraz potem rynek, w środku dom obszerny, prostokątny, murowany; jest to niby ratusz. Domy na rynku niskie, przeważnie parterowe, rzadko piętrowe. Jeden bok rynku zajmuje niewielki szpital piętrowy w ogrodzie. W ogrodzie, tuż za płotem, oddzielającym plac rynkowy od szpitala, trzy ogromne wspólne mogiły z krzyżami i napisami. Mój przewodnik oficer objaśnia, że w szpitalu były takie masy rannych, leżących wszędzie po korytarzach, na placu, w ogrodzie, że nie można sobie było dać z nimi rady, a umierało ich tak dużo, że choć cmentarz niedaleko, nie było czasu ani możności wywozić ich i dlatego pochowano wszystkich w ogrodzie szpitalnym.

Od szpitala widać już kościół maciejowski, duży, długi, dobrze utrzymany, pomimo, że nokoło wszędzie padały kule i granaty. Kościół nie posiada wcale wieży, ani jej dawniej nie miał. Wyszło mu to tylko na dobre, bo nikt nie kusił się na ostrzeliwanie wieży, jako domniemanego

zawsze stanowiska obserwacyjnego nieprzyjaciela.

Sam cmentarz robi bardzo miłe wrażenie. Znać odrazu opiekę, nie tylko władz wojskowych, ale i proboszcza. W środku kapliczka — prowadzi do niej droga obsadzona młodemi brzoźami. Na prawo i na lewo różne pomniki, groby stare stuletnie i świeże. Za kapliczką część nowa, urządzona przez mego przewodnika oficera, który z dumą pokazuje swe dzieło, jeszcze niezupełnie ukończone, ale zakreślone na szeroki plan i wykonywane z zamiłowaniem, pietyzmem, konsekwencją i podziwu godną wytrwałością.

Wstąpiłem na probostwo. Proboszcz maciejewicki, to w całej okolicy i diecezji szanowany bardzo i ceniony ks. kanonik Pleszczyński, autor kilku dzieł religijnych. Tego roku obchodził złoty jubileusz kapłański. Pięćdziesiąt lat kapłaństwa wśród niezwykle trudnych warunków. Długi czas pracował na Podlasiu po parafjach, gdzie katowano Unitów za wiarę, przemocą nakłaniano do prawosławia. Unicy pozbawieni swych kapłanów potrzebowali pomocy duchownej. Potajemnie więc przed Moskalami nauczał, w nocy posługi religijne wykonywał, podnosił na duchu, do wytrwania w wierze zachęcał. Za to prześladowany bez miłosierdzia, wieczne miał sprawy i musiał ciągle znosić przykrości od rządu rosyjskiego, przepędzany z jednej posady na drugą. Mimo to w rozmowie oświadczył mi, że czuje się dziś jeszcze młodym na duchu, zdolnym do pracy i do dalszej walki. Jakaś niespożyta moc i siła bije od tej

szlachetnej postaci czcigodnego, zasłużonego staruszka-kapłana, co życie całe sterał na pracy w możliwie najgorszych warunkach, pod batem i knutem rozwydrzonego prawosławia, co się napatrzył tylu męczarniom, prześladowaniom i co sam cierpiał za wiarę!

A dziś choć parafja jego jest zmarnowana przez wojnę, zniszczona, wyzyskiwana, ten pasterz-staruszek patrzy z wiarą w przyszłość i tę swoją wiarę i ufność stara się wpajać we wszystkich, co są małego ducha.

Godny pasterz Maciejowic, miejsca drogiego każdemu Polakowi, gdzie rozstrzygnęły się wojny i walki kościuszkowskie — ostatnie na schyłku naszego bytu państwowego. Tu skończyły się na długo nasze nadzieje, tu kres naszej świetności, chwały. Tu ziemia przesiąknięta krwią tylu szlachetnych bohaterów, krwią samego Kościuszki.

W Podzamczu rośnie przed pałacem lipa, pod którą ranny ciężko Kościuszko, otoczony zewsząd przez wroga, bez możności ujęcia, pobity, miał powiedzieć słynne, ale nieprawdziwe: »finis Poloniae — koniec Polski«.

W stronie północno-wschodniej Maciejowic, w Krępie Nowej, znajduje się kopiec usypany ku czci Kościuszki.

A kiedy porozmawiać z jakim chłopem z Maciejowic, to opowie co słyszał od starych ludzi — którzy sami od swych ojców słyszeli o tych beznadziejnych, a tak nam drogich i tylekroć w poezji i w powieściach opisywanych walkach. Zniknęły już wszelkie groby, świadki owych walk. Prócz kopca Kościuszki nie został ani jeden kur-

han, ani jedna mogiła na świadectwo. Ziemia, trawa i lasy zasłoniły i przykryły wszystko. Czas zaciera wszystkie rany.

Tylko czasami, kiedy ludzie doły lub rowy kopią, znajdują jeszcze gdzieśgdzie kości białe, jakieś krzyżyki, blaszki, pieniądze z owych czasów i szable rdzą zgryzione.

Dziś w Maciejowicach nowe groby, nowe mogiły, świadki wojny najstraszniejszej, jaką ziemia kiedykolwiek widziała. Ale i one kiedyś znikną, zarosną, zapadną się, krzyże dębowe zbutwieją, powalą się, zgniją. Wtedy ludzkość znowu tylko z powieści, z opowiadań znać będzie te straszne dzieje, pisane krwią ludzką po świecie całym. Opowiadać sobie będą wnuki, pokolenia przyszłe o wojnie strasznej, prowadzonej nakładem wszelkich sił i pomysłów, tak w ziemi, głęboko w skale gdzieś, jak i wśród lodowców na najwyższych górskich szczytach, lub w bagnach nieprzebytých, albo w powietrzu, lub w wodzie. Będą opowiadać, jak całymi dniami padał deszcz pocisków armatnich na tę samą przestrzeń, jak miliony stały przeciw milionom, jak granicami państw były na całej ich długości, po jednej i po drugiej stronie, setki tysięcy, miliony żołnierzy, żywych ludzi, co tygodniami, miesiącami. wśród chłodu i głodu stali tam, jak mur jaki śpiżowy.

Tak sobie przyszłe pokolenia opowiadać o nas będą, gdy na ziemi nic nie pozostanie z tego, co nas dziś tak boli — pozostanie tu tylko opowieść, poemat, a tam na niebie wysoko ten sam zawsze, żywy, wieczny Bóg.

Dęblin, 7. listopada 1916.

Wojna światowa wysunęła kwestję polską na pierwszy plan.

Dotychczas robiono przypuszczenia, kombinacje, gubiono się w najrozmaitszych domysłach i nadziejach. Jedni liczą przytem na koalicję, drudzy na państwa centralne. Raz wraz pojawiały się różne wiadomości, że między Wiedniem a Berlinem ciągle układy w sprawie Polski, to znowu, że układy zerwano, że z nich nie będzie, bo stosunki złożyły się niekorzystnie, bo samo społeczeństwo polskie przeszkadza w układach brakiem jednolitej myśli i jasnej wytycznej.

Tu w Dęblinie najmniej było wiadomo. Dzienniki nie donosiły nic, a sfery wojskowe nie zajmowały się tem — cóż ich to mogło obchodzić, co z Polską będzie?

Czwartego listopada byłem w Borowinie u Państwa Mierzejewskich. Założyli dla dzieci i służby folwarcznej szkołę, poświęciłem ją. Pan Mierzejewski, który jeździł do Puław, przyniósł stamtąd wiadomość, że w niedzielę, 5 listopada, ma być ogłoszona proklamacja w sprawie Polski. Nie bardzo w to wierzyłem, bo już przedtem krążyły podobne wieści, wyznaczono już nawet dzień 18. sierpnia, a minęło wszystko bez proklamacji.

Dnia 5. listopada, około godz. 7. rano, puka do mojego okna rotmistrz żandarmerji w Dęblinie, Węgier Lenert i woła, że Polska została ogłoszona Królestwem, że królem polskim będzie książę pruski Joachim.

Wobec takich wiadomości niezwykłych idę do kasyna oficerskiego, gdzie oficerowie siedzą przy śniadaniu, by się dowiedzieć czegoś więcej. »Ah, das ist einer vom polnischen Königreich« — wita generał. Powiadam, że owszem chciałbym dowiedzieć się czegoś konkretnego. Okazuje się, że niewiele wiedzą, że wiadomości pochodzą od komendanta dworca w Dęblinie oberleutn. dra Szurleja, Polaka i że koło dworca i w pobliskiej Irenie mają być rozlepione afisze z proklamacją. Posłałem po jedno takie ogłoszenie.

Tymczasem omawialiśmy sprawę. Opierając się na domysłach. Byłem w tem towarzystwie jedynym Polakiem. Widziałem skwaszone miny panów oficerów. Spodziewano się rychłego wyjazdu z Dębłina, pocichu dostawało się Prusakom, że chcą zająć całą Polskę, ale były też ironiczne uwagi, co do samego Królestwa i polskiej w niem gospodarki.

Po długiem oczekiwaniu przyniesiono afisz — byłem tłumaczem. Okazało się, że proklamacja nie zawiera nic konkretnego, że są to zapowiedzi, obietnice i nic więcej, a poręczone jedynie podpisem generała — gubernatora lubelskiego Kuka i warszawskiego Beselera.

Rozjaśniły się też w miarę czytania i tłómaczenia twarze moich słuchaczy. »Es ist nicht so arg« — zawyrokował generał — »to jeszcze nie tak źle«.

Niemcy uważają widocznie, że to na razie Polakom wystarczy.

Trzeba Niemcom armji, trzeba ludzi. Tu w Polsce tylu mężczyzn. Nieraz zauważyć można niezadowolenie oficerów, że w kraju, w tak zwanym hinterlandzie, kobiety obejmują obowiązki mężczyzn, kobiety orzą, sieją, kobiety pracują w fabrykach amunicji, w biurach, na kolei, tramwajach, a tu w Polsce mężczyźni siedzą w domu, o wojnie nic nie wiedzą.

Chyba jednak proklamacja nie pociągnie chłopca polskiego dobrowolnie na wojnę. Widział ją z bliska i ma jej dość. Jeżeli w Austrii, w Niemczech, pomimo wszczepiania wszelkimi sposobami patriotyzmu, dziś tyle śledztw o oszustwa wojskowe, o uchylenie się od służby wojskowej, to nie dziwnego, że lud po kilkunastu miesiącach okupacyjnych rządów, które przyniosły tylko rekwizycje i tysiączne krzywdy, ograniczenia, widmo głodu, nie będzie śpieszył do wojska.

Zresztą trudno teraz o jakie wielkie słowo, o ideę, któraby porywała wszystkich i była w stanie oddziaływać na bierne masy.

Obrona Polski? Gdzie jej granice, gdzie jej rząd?

Jeżeli Austriacy i Niemcy tacy silni, to sami wszystko utrzymają, — jeżeli nie mogą utrzymać, to dowód słabości. Chłop tutejszy czuje to i ze słabym nie pójdzie, on i tak Austriaków nazywa dziadami.

A przeciw Moskalom walczyć? Ci ludzie mają ogromny respekt przed siłą moskiewską, odczuwali ją z górą sto lat.

»Austriak ani Niemiec nie nas ociec« — powiadają — »Moskal tyz ta nie nas kum, ale poco iść z jednym na drugiego?«

W każdym razie niezwykły dzień, co przyniesie, nie wiadomo. Początek zrobiony. Jeszcze wojna ciągle trwa, a przy układach niejedno inaczej wypadnie, niż się spodziewać można.

Odprawiłem nabożeństwo o godz. 9. rano dla żołnierzy, potem, jak co niedzielę, poszedłem do konfesjonału, by spowiadać napływającą powoli na sumę ludność cywilną. Do spowiedzi tłumi i nieodłączne w tych stronach pchanie się i bezcelowe tłoczenie. Powiadają tu, że jak się porządnie nie wygniecie przy spowiedzi, to to nie jest żadna spowiedź, nieraz aż im się z czupryn kurzy, tak się wymęczą wzajemnie i spocą.

Koło godziny 11. podchodzą dwaj oficerowie Legjoniści z koszar z lewego brzegu Wisły, kapitan Eydziatowicz i Terlecki, wywołują z konfesjonału, proszą o chwilę rozmowy. Prowadzę ich do zakrystji, gdzie witają się ze mną i całują — widocznie podnieceni proklamacją — i pytają, czy ogłaszać ją będę ludowi. Powiedziałem, że to trochę za mało na proklamację i nikt mnie właściwie do odczytania tejże nie upoważnił.

Jednak jakoś nie wytrzymałem — co będzie, to będzie — i po kazaniu odezwałem się wśród ogólnego napięcia.

Dzień dzisiejszy, to ważny dzień dla Polski i dla nas Polaków. Cesarz niemiecki i austriacki postanowili dać nam po stu latach wolność, swo-

bodę i króla. Da Bóg, nie skończy się na obietnicy tylko, którą dziś ogłaszają po polskiej ziemi.

Da Bóg, skończą się czasy rzezi galicyjskich i poznańskiego bicia, katowania dzieci szkolnych, za to, że po polsku czują i po polsku się modlą, skończy się i tu knut, niewola, prześladowania za wiarę, skończy się ogłupianie ludu.

Po stu latach obcych rządów będą rządy nasze, rządy polskie, swoje!

Słyszycie ludzie? Będzie wam lepiej, swobodniej, inaczej!

To Bóg dobry widać lituje się nad biedną Polską, nieszczęśliwą, spojrzal na jej rany, spustoszenie, pożary i zgliszcza, na kraj przeorany wzdłuż i wszerz rowami strzeleckimi, na całą mękę wiekową.

Toś nam wyprosiła, Ty Panienko Jasnogórska, Królowo Korony Polskiej!

To Ty roztaczasz nad Polską płaszcz Swej opieki, bo już dość cierpień, dość krzyżów, Golgoty! Użycz spełnienia tego wszystkiego, weź nas w opiekę, weź nas na nowo — Polska Królowo!

Nie miałem wcale zamiaru oddziaływania na lud, chciałem powiedzieć o fakcie spokojnie, — tymczasem po kilku słowach moich powstał taki szloch i ogólny płacz, że wzruszenie i mnie się udzieliło.

Łzy napłynęły do oczu i nie widziałem już tłumu przed sobą, tylko falę jakąś żywą z ludzkich serc polskich, biednych, bardzo biednych, którym zwiastowałem rzecz dziwną, niezwykłą, o jakiej im jeszcze dotąd nigdy nikt nie mówił.

Coś mnie w gardle dławilo — nie mogłem wypowiedzieć słowa przez kilka chwil — stałem tak przed ołtarzem w byłej cerkwi prawosławnej, łkając razem z płaczącym, łkającym ze wzruszenia ludem.

Widać ciężko nam bardzo wszystkim, widać dusze nasze bardzo coś boli, jeżeli odrobina nadziei w lepszą przyszłość była w stanie wszystkich tak poruszyć.

Odśpiewaniem »Pod Twoją obronę« skończyło się wszystko.

Dęblin, 14. listopada 1916.

W zeszłym tygodniu byłem w Krakowie i na Śląsku. W Krakowie trafiłem na uroczystości z powodu proklamacji. Znać było u wszystkich przytem pewne zakłopotanie, bo obok wolnego Królestwa polskiego, którego granic nawet w przybliżeniu nie ustalono, proklamowano tego samego dnia autonomję dla Galicji. A więc Królestwo dla siebie i Galicja dla siebie. Wygląda to trochę zabawnie. Słyszałem na ten temat powiedzenie: »Ni z tego, ni z owego, mamy Polskę na piątego.«

Realnego znaczenia proklamacja mieć nie może, jednak nie jest bez znaczenia moralnego na przyszłość, gdyż stawia sprawę polską na forum międzynarodowym.

Charakterystyczne wezwanie do wzięcia udziału w nabożeństwie na Wawelu na środę, 8-go listopada z racji owej proklamacji napisał książkę Biskup Sapieha. Wzywa wiernych — do modlitw

na grobach świętych królów i patronów polskich — »o rozum i oświecenie«.

We wtorek wieczorem przygrywały na Rynku krakowskim trzy orkiestry. Z wieży kościoła Marjackiego strażnicy grali na dwa głosy pieśni narodowe i religijne. Przed Mickiewiczem przemawiał poseł Marek. Koło godziny 7-mej ruszył tłum ul. Sławkowską do hotelu Saskiego, gdzie mieszkał Piłsudski. Nie czekałem jednak końca, bo i tak wśród wrzawy i różnych okrzyków nic nie można było zrozumieć.

W środę rano zalały Wawel i Katedrę tysięczne tłumy, w myśl odezwy księcia biskupa. Msza pontyfikalna bez kazania, śpiew łaciński. Po Mszy św. zaśpiewano »Boże coś Polskę« — śpiewał cały kościół. Przypomniało mi się takie samo nabożeństwo w tej samej katedrze po wzięciu Warszawy.

Wieczorem poszedłem do teatru, gdzie miało się odbyć uroczyste przedstawienie. O godz. 7. przyjechał do teatru Piłsudski z Sosnkowskim. Kiedy zjawił się w loży prezydenta miasta, gdzie już siedział Leo z rodziną, podniosła się burza oklasków. Raz wraz różne panie znosiły Piłsudskiemu bukiety, same chryzantemy. Na początek odśpiewano »Boże coś Polskę« i po prologu zagrano Fredry »Śluby panieńskie«.

Kiedym następnie szedł z teatru koło Bramy Florjańskiej, zaległy na plantach znowu tłumy, środkiem biegli legjoniści w dwa rzędy, trzymając się za ręce, odprzęgli koło teatru konie i ciągnęli

powóz z Piłsudskim i Sosnkowskim, odwożąc ich do hotelu.

Następnego dnia byłem w Cieszynie, a po południu pojechałem do domu do ojca. Po drodze wstąpiłem na cmentarz na grób matki i siostry.

Dęblin, 20. listopada 1916.

Obecnie wyjaśniło się, dlaczego państwa okupacyjne zdecydowały się na proklamację. Chcą stworzyć dla swoich celów armję polską. Od wczoraj funkcjonuje w całej Polsce, z wyjątkiem ziemi Siedleckiej i Chełmskiej, cały aparat werbunkowy, organizowany przez komendanta grupy Legionów pułk. Zielińskiego z Dębina na lewym brzegu Wisły, gdzie obecnie przebywają różne formacje legionowe. Zdaje się, że niewiele nawerbuja.

W niedzielę dowiedziałem się o śmierci Henryka Sienkiewicza. Wiadomość ta zrobiła na mnie ogromne wrażenie. Zgon największych nawet ludzi nie robi takiego wrażenia, co śmierć Sienkiewicza, którą odczuł boleśnie cały naród. Śliczna była dziś w dzienniku mowa Tetmajera — przyrównuje Sienkiewicza do Mojżesza, który wiódł Izraela do ziemi obiecanej, a u jej progu umarł, zaś Paderewski mówi o nim, że »był jako ten słup ognisty, co w ciemnościach niewoli wskazywał prostą i prawą narodowi drogę«.

Nie doczekał zmartwychwstania Ojczyzny, której miłość tak skutecznie rozbudzał i szerzył.

Dęblin, 22. listopada 1916.

Dziś rano przyszła wiadomość, że cesarz Franciszek Józef zmarł wczoraj wieczorem o 9-tej.

Wiadomość jakby nieprawdopodobna — od 68 lat nie zmarł żaden cesarz austriacki. Zdawało się, że ten człowiek ma coś z wieczności. Ciągłe żył i żył. Najstarsi ludzie nie pamiętali innego cesarza. Zdarzyło mi się tu w Królestwie nieraz, że mnie ludzie pytali, czy to aby prawda, że cesarz Franciszek Józef jeszcze żyje.

Przeżył dużo, stracił brata, żonę, syna w tragiczny sposób.

Co będzie teraz, niewiadomo, — w każdym razie nastąpi pewne odświeżenie i odmłodzenie. Wszystko miało dotąd charakter staroświecki, uparcie konserwatywny.

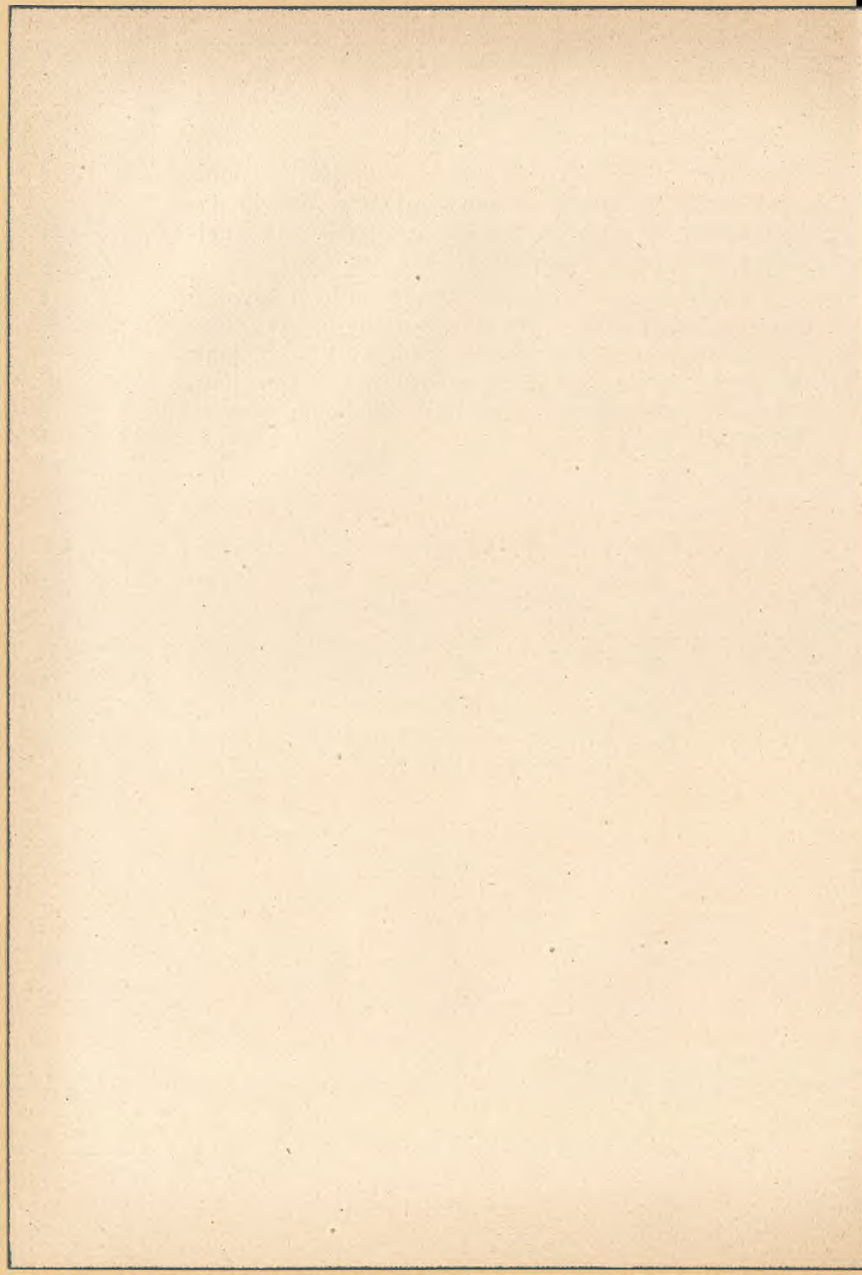
Był u mnie dziś protestancki kapelan wojskowy z Lublina Kesselring, pastor zboru lwowskiego, Niemiec. Dziwił się, że duchowieństwo katolickie w Królestwie odnosi się z taką rezerwą do władz okupacyjnych i do świeżej proklamacji. Tłómaczy sobie to tem, że Kościół katolicki jest wogóle bardzo ostrożny i przezorny, a mając zawsze dokładne wiadomości, nie wierzy w zwycięstwo państw centralnych i w utrzymanie się na długo ich zarządzeń.

Dęblin, 3. grudnia 1916.

Mamy nowego cesarza. Z racji wstąpienia na tron odbyło się uroczyste nabożeństwo wojskowe.

Wzięli w niem udział także Legjoniści z pułk. Zielińskim na czele. Przemawiałem w czasie nabożeństwa w czterech językach: niemieckim, polskim, czeskim i węgierskim.

Gdybym był Węgrem, nie chciałbym słyszeć tego przemówienia. Wyobrażam sobie, jak kaleczyłem swą wymową język madziarski. Jednak Węgrzy, obecni na nabożeństwie, byli zadowoleni, wprost rozentuzjasmowani miłą dla nich niespodzianką.



1917

1913

Dęblin, 12. lutego 1917.

Zaziębilem się wczoraj w kościele i dziś zapędzono mnie do łóżka. Leżę więc i piszę po dwumiesięcznej przerwie, by utrwalić w części ostatnie przeżycia, nastroje.

Dęblin obecnie cichy, spokojny. Tam na różnych frontach walki bezustanne, a u nas właściwie praca pokojowa. O postępach wojny wiemy tylko z gazet. Czasem przyjdzie ktoś, co sam brał w tych walkach udział, więc opowiada. Każdy przedstawia rzecz z własnego punktu widzenia. Nie podobna ogarnąć ogromu zdarzeń, wypadków i najrozmaitszych prądów całej zakulisowej dyplomacji. To co wiemy, to tylko pół prawdy, co cenzura wojskowa pozwala wiedzieć — wielu rzeczy trzeba się domyśleć. A i te domysły, przepowiednie, kombinacje tracą swe znaczenie wobec siły faktów, które idą żywiołowo jak lawina, jak nieubłagana ananke, wywracając wszystko.

Świat jest obecnie pod wrażeniem zaostrożonej walki łodziami podwodnymi. Wszyscy czekają, co z tego będzie, czy Niemcy zmuszą Anglję do ustępstw czy nie, czy też Niemcy, zwyciężając ciągle na wszystkich frontach, będą dalej upomi-

nać się o pokój i jak niedawno ktoś powiedział: »zwyciężą się na śmierć« — »werden sich tot-siegen«.

W społeczeństwie polskim niepewność, roz-dwojenie. Jest Rada Stanu w Warszawie, ale roz-porzządzenia wydają w dalszym ciągu okupanci. Do armji polskiej nikt się nie zgłasza, bo każdy wie, że w praktyce byłaby to armja niemiecka.

W zeszłym tygodniu spotkałem w Stężycy »chodzika« Polskiej Organizacji Wojskowej. Zre-sztą dotarli już i do mnie w Dęblinie w tych dniach. Werbują młodzież do tajnej organizacji Piłsudskiego, obiecując, że ta organizacja stanie się wojskiem polskim i że potem Legjony będą musiały z nią się połączyć. Wyobrażają sobie, że przejmą od Niemiec obronę Polski i będą się w imieniu Polski układać z Rosją. Na razie wszystko to nie wychodzi poza ramy roboty tajnej.

W sobotę byłem z rewizytą u kapelana 6 pułku Legjonów w Dęblinie, ks. Konopki T. J. W bu-fecie oficerskim był podpułkownik Norwid-Neuge-bauer i szereg oficerów. Komunikowali sobie róż-ne wersje i wiadomości, domysły, n. p. że cesarz Karol austriacki chce koronować się na króla polskiego, że gotów porobić nawet koncesje na rzecz Włochów, byleby przyłączyć Polskę. Niemcy wzię-liby wtedy część Tyrolu i Salcburga.

Na razie Legjoniści, rozmieszczeni po róż-nych miejscowościach w Królestwie, odbywają t. zw. »kursy przeszkolenia« na modłę niemiecką.

W Dęblinie jest obecnie aż siedm szkół wojskowych polskich.

Dęblin, 20. marca 1917.

W powietrzu czuć wiosnę. Od kilku dni ciepły wiatr topi śniegi, słońce budzi wszystko do życia.

Tylko na wschodzie i na południu, we Francji i w Belgji, jakby wiosny nie było. Po chwilowym zastoju na froncie akcja ożywia się, wzmaga, rośnie.

Czasami zdaje się, że innego życia poza wojskowem nigdzie niema, że to już tak na zawsze zostanie, że ten stan anormalny potrwa, aż skończy się chyba jaką ogólną katastrofą, wskutek przemęczenia, nędzy i głodu.

I chyba już zaczyna się wszędzie nędza i głód, nietylko w Polsce, skoro z kraju krewni żołnierzy i oficerów proszą ciągle o przywożenie żywności, mąki, cukru, słoniny. I idą tego całe paczki, całe pociągi. Żołnierze wykupują co mogą, kradną, rekwirują, byleby wysłać swoim do kraju, do »hinterlandu«.

Od miesiąca już karmią nas tu obrzydliwemi, cuchnącemi rybami morskimi. Nikt tego nie chce jeść, pomimo zżymania się pana generała.

Mamy wspólną kuchnię, wspólne kasyno wojskowe. Płaciliśmy za wikt dziennie dwie i pół korony. Ale na tem, cośmy jedli, była ludzka krzywda, ludzkie łzy. Kuchnię prowadził przez dłuż-

szy czas urzędnik wojskowy Klein, przed wojną urzędnik kolei południowej — Suedbahn. Człowiek zarozumiały bardzo, traktował tutejszą ludność jak bydło. Kiedy spotkał chłopą na drodze, a ten nie uklonił się, to go bez skrupulów uderzył szpicrutą. Nieraz się tem przechwalał. Wyjeżdżał na okoliczne targi i jarmarki zwykle samochodem z kilku żołnierzami. Przyjechawszy na targowisko, zabierał co się dało, całe kosze z nabiałem, rzucając zrozpaczonym właścicielom byle co, parę koron. Nie gardził też prosiakami, gęśmi i kurami. W ten sposób Austriaki żywiły się polską krzywdą.

Ale wszystko na świecie się kończy, każda krzywda prędzej czy później bokiem wylezie. I tanie jaja, masło i prosięta także się skończyły.

Pewnego razu spodobał się Kleinowi na jarmarku w Miechowie młody, zgrabny koń. Postanawia go kupić, naturalnie za śmiesznie niską cenę 250 K, podczas gdy koń był wart przeszło tysiąc. Chłop nie chce dać. Wtedy Klein wyjmując rewolwer i strzela chłopu dwa razy nad głowę dla postrachu. Steroryzowany chłop konia puścił.

Klein przyjeżdża do Dęblińska i robi z taniego konia prezent generałowi. Ten sprzedaje z kolei konia za 1000 K, nie bierze jednak nadwyżki dla siebie, lecz kupuje za krzywdę polskiego chłopą, wołającą o pomstę do nieba, biust cesarza Franciszka Józefa do pomnika w parku dęblińskim.

Niedawno jednak wszystko wyszło na jaw i sąd wojskowy w Puławach, po zebraniu wszystkich danych o postępach i metodach Kleina, skazał go na rok więzienia i degradację.

Dęblin, 27. marca 1917.

Dziś rano zostałem wezwany do raportu.

Co się stało? — Nie mogłem dojść przyczyny.

O godz. 11. idę w przepisany mundurze, melduję się w kancelarji i staję na baczość przed srogim obliczem generała.

Generał bierze do ręki uroczyście gazetę niemiecką i czyta: »Die Karte liegt vor mir. Sie zeigt die ausgeschriebenen, aber etwas zitternden Schriftzüge eines betagten, von Arbeit im Dienste Gottes und des Vaterlandes aufgeriebenen Mannes. Dies ist das Bild, das ich mir vom Ściskała gemacht habe; und ich kann mir nicht anders denken, als daß es der Wahrheit entspricht.

Die Karte lautete:

Ks. Dom. Ściskała
Krakau, Feld-Spital 6.

Hochgeborene Baronin!

Von der Frau v. Adamovich aus Drenovac erfuhr ich vom rückgratkranken Ulan in Linz. Sende für ihn diese Erinnerung an seine Heimat. Vergelts Gott für alle Beweise Ihrer Liebe zu den Kranken und den Polen insbesondere!*)

*) Kartka ta leży przedemną. Wykazuje wyrobiony ale trochę drżący charakter pisma człowieka już w podeszłym wieku i zużytego w pracy dla Boga i Ojczyzny. To jest obraz, jaki sobie o ks. Ściscale wyrobiłam i nie mogę sobie wyobrazić, by nie odpowiadał prawdzie.

Kartka była następującej treści:

Wielce Szanowna Pani Baronowo!

Od Pani v. Adamovich z Drenowacza dowiedziałem się o ułanie w Linczu, rannym w stos pacierzowy. Przesyłam dla niego tę pamiątkę z jego Ojczyzny. Boże zapłać za wszystkie dowody dobroci Pani Baronowej dla chorych a specjalnie dla Polaków.

Kennen Sie Herr Feldkurat diesen Mann? — pyta generał zawsze jeszcze w tonie urzędowym — zna ksiądz kapelan tego człowieka?

Jawohl Herr General — tak jest, Panie Generale — odpowiadam.

To ma być ksiądz? — śmieje się generał. Człowiek w podeszłym wieku i zużyty? Nie! Ja muszę wystąpić w obronie księdza! Proszę mi dać swoją fotografię, napiszemy do p. Handel-Mazzetti sprostowanie.

Do sprostowania nie doszło naturalnie, zato przez kilka dni mieli oficerowie przynajmniej temat do dowcipów i żartów, gdyż gazeta »Reichspost« wiedeńska z powyższym fejletonem znanej powieściopisarki niemieckiej baronowej Handel-Mazzetti kursowała z ręk do rąk.

W czasie pobytu w Krakowie napisałem w wiedeńskiej »Reichspost« prośbę o przysłanie chorem starych książek do nabożeństwa. Przesłano mi wtedy kilka tysięcy najrozmaitszych książek w różnych językach. Z paczkami przysyłano listy, trzeba było na nie odpowiedzieć i podziękować. Z tej racji wywiązała się w wielu wypadkach korespondencja, która trwała czas dłuższy. Przesyłano w następstwie papierosy, dewocjonalja i t. d.

Poza tem do każdej książki wkładałem kartkę korespondencyjną z adresem ofiarodawcy i polecałem chorem żołnierzom, by sami napisali i podziękowali. Obie strony miały w ten sposób dużo przyjemności i radości w tych smutnych czasach.

Między innemi przedłużyła się korespondencja z nieznaną mi dotąd panią Adamovich, Kroatką ze Slawonji, mającą ogromne nabożeństwo do Matki Boskiej Częstochowskiej. Utrzymując stosunki z baronową Handel-Mazzetti, dowiedziała się od niej o ciężko chorym ułanie, nazwiskiem Smutniak, w szpitalu w Lincu, w Górnej Austrii.

Ponieważ pisała, że chory tęskni bardzo za domem i za polskim słowem, nie namyślając się wiele, wstąpiłem do składu obrazów i dewocjonaljów Kutrzeby w Krakowie, kupiłem obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej w pięknej ramce, kilkanaście obrazków z polskimi napisami, parę książeczek ze śpiewami ludowymi, napisałem w pośpiechu ową kartkę i kazałem wysłać do nieznannej mi tak samo p. Handel-Mazzetti.

O całej historii zapomniałem jako o drobiazgu, wobec tego, co się ciągle przeżywało. Dopiero powieść p. Handel-Mazzetti, osnuta na tle historii rannego ułana Smutniaka, przypomniała mi ów szczegół.

Dęb lin, 2. kwietnia 1917.

Choruję na gardło, przeziębilem się w kościele z racji spowiedzi wielkanocnej, więc, nie mając nic lepszego do roboty, piszę.

Nadszedł dalszy ciąg powieści o Smutniaku. Jest bardzo miła, przypomina mi różne przeżycia szpitalne. Korzystam z czasu i przetłómaczę choć kilka ustępów.

Smutniak marzył już dawno o obrazku M. B. Częstochowskiej i p. Mazzetti obiecała mu go.

»Kiedym robiła poszukiwania w różnych składach z dewocjonaljami w Lincu za jakim obrazkiem Matki Boskiej Częstochowskiej, by choremu sprawić niespodziankę, otrzymałam dnia 30 sierpnia paczkę, wysłaną ekspres z Krakowa. Nazwisko nadawcy — ks. Ściskała — było mi nieznane. Otworzyłam — pełno druków i obrazków, a na wierzchu obrazek zawinięty w bibułę. Odślaniam go ostrożnie i byłam zaskoczona: ta mała, ciemnymi kolorami namalowana Madonna, z dwiema bliznami na twarzy — to właśnie ta utęskniona i ukochana Częstochowska Matka Boska. Tak to ta! Najświętsza Panienska, która osłodzi śmiertelnie choremu Smutniakowi godzinę śmierci. Z największem wzruszeniem ucałowałam wizerunek Marji, która przyszła odwiedzić najbardziej z biednych, gdy obszedłszy już cały Linc, straciłam była nadzieję znalezienia Jej wizerunku.

Zapakowałam z powrotem drogi obraz, mający na odwrotnej stronie dłuższy napis, skreślony przez ofiarodawcę w języku polskim. Do postawienia obrazka załączona była gustowna ramka z napisem: Kraków. Poza tem obrazki Serca Jezusowego i świętych dla kolegów Smutniaka, a na każdym obrazku pozdrowienie od przysyłającego. Kilka powiastek z pieśniami polskimi »Wiązanka pieśni polskich«.

Otworzyłam jedną z napisem: »Ułan« —

»Rzy koniczek mój buławy, puście, czas już, czas, Matko, ojcze mój kochany, żegnam, żegnam was.«

Nie umiem po polsku, alem tyle zrozumiała, że to pożegnanie ułana. Biedny Smutniak i jego godzina pożegnania się zbliża...

O Pani Częstochowska, weź go w opiekę, Ty pełna miłości i dobroci dla wszystkich! —

Poszłam do szpitala. Gdy zobaczyłam Smutniaka, przeraziłam się. Był blady jak kreda, zmieniony, oczy zapadnięte, usta na poły otwarte, wargi sine.

»Smutniak — przyniosłam wam coś pięknego — nie jesteście ciekawi?«

Spojrzał na obrazek, zakryty papierem, uśmiechnął się.

Wtedy usunąłem papier i pokazałem mu Matkę Boską. Pełna litości i dobroci Marja Częstochowska, Sama dwiema bliznami naznaczona, spojrzała pewnie na biedaka, mówiąc: cierpiałam więcej jeszcze niż ty synu, przychodzę do ciebie, by być obecną przy końcu twych cierpień.

Smutniak wziął, a właściwie wyrwał mi wizerunek z ręki i począł go namiętnie całować. W oczach miał łzy i łkając, witał Matkę Najświętszą. O Matko Boska, Panienko święta, zawołał, dodając wiele dziwnych i słodkich imion, których nie rozumiałam — on, przez którego usta przechodziły dotychczas same przekleństwa.

Byliśmy wszyscy wzruszeni. A ja zrozumiałam w owej chwili, że ten, kto tak bardzo miłuje Marję, zginąć nie może. Marja poda mu rękę, jak w owej legendzie o śpiewaku »Stabat Mater« i wprowadzi go do królestwa Swego Syna. Bo czyż ta miłość wrodzona do Matki Najświętszej, nawet w takiej biednej duszy, pozbawionej wszel-

kich szlachetnych porywów, czyż nie jest oznaką wybrania?...

Na odwrotnej stronie obrazka był napis, który sobie przepisałam:

»Pozdrowienia najserdeczniejsze z Krakowa z życzeniem rychłego powrotu do zdrowia za przyczyną Najśw. Panienki z Jasnej Góry!«

Kraków 1915.

Ks. Dominik Ścisłała, kapelan wojskowy.

Życzy mu wyzdrowienia. Wszystko w ręku Boga.

Potem rozdałam resztę obrazków i książeczek pomiędzy Polaków i Rusinów w innych salach. Gdy rznosiłam wino, papierosy i ciastka, stawał zwykle każdy chory na baczność koło swego łóżka, a dziś pchali się jak małe dzieci koło matki, rozdzielającej chleb. Następnie biegł każdy z nich do stołu i czytał lub sylabizował półgłosem, jak uczeń przygotowujący lekcję.

Przypatrzyłam się jeszcze raz Madonnie. Taką kochają oni wszyscy tam w Polsce. Może dla nas Niemców jest ona początkowo trochę odrażająca z czarną swą twarzą, ale im dłużej jej się przypatrywać, tem staje się piękniejszą. — Kiedyś czytałam, że to oznacza tajemnicę Jej panieństwa i macierzyństwa równocześnie.

Kiedym miała opuścić salę, zbliżyła się do mnie siostra Julja, mówiąc:

»Proszę Pani — Smutniak prosi, bym Pani powiedziała, że odkąd jest w szpitalu, nigdy jeszcze nie był tak szczęśliwy.«

— »O, zauważyłam to, poznałam po jego oczach, ale proszę mi powiedzieć, dlaczego Smutniak, całując mnie dziś w rękę, obrócił ją i pocałunek złożył na dłoni? —«

»On od dnia dzisiejszego stale tak będzie robił, ale nikomu więcej tylko Pani i księdzu. Pani przyniosła mu dziś Matkę Najświętszą, ręka Pani jest dla niego świętą, chce więc Pani specjalnie okazać temu uszanowanie i czcić ją jak kapłankę.«

Następnego dnia prosił Smutniak o księdza.

W kilka dni potem, koło godziny jedenastej w nocy, kiedy było znać, że niedługo skończą się jego cierpienia na zawsze, poklękali koledzy koło Smutniaka, a siostra Julja, zdjawszy z okna wizerunek Matki Boskiej z Jasnej Góry, trzymała go przed umierającym. Jeszcze jedno tchnienie, drugie i skończyło się wszystko. Oczy jego przestały patrzeć na obraz, za to dusza ułana Smutniaka stanęła tam, gdzie już nie w obrazie, ale twarzą w twarz oglądać może Marję w Królestwie Jej Syna...

Dęblin, 22 kwietnia 1917.

Jesteśmy pod wrażeniem rewolucji rosyjskiej i ofensywy francuskiej na zachodnim froncie.

Rewolucja rosyjska przyszła nagle i dziś mamy republikę rosyjską. Brzmi to jak paradoks jaki. A to jednak prawda. Powstała nagle wśród wojny, niewiadomo czy się długo utrzyma. Na razie istnieje jednak, a radykalne stronnictwa biorą w niej górę: Rodzianko, Miłjukow, Kierenski, Czeitidze, Lenin.

Z przewrotem tym łączy się wiele nadziei — przede wszystkim pokojowe. Wszyscy są zdania, że naród rosyjski zażąda stanowczo zakończenia wojny. Na tej podstawie Austria i Niemcy ogłosiły na nowo gotowość zawarcia pokoju z Rosją. Równocześnie socjaliści wszystkich krajów urządzają konferencję pokojową w Stockholmie.

Dla sprawy polskiej okazuje się przeciąganie się wojny, przynajmniej na razie, korzystne. Obecnie godzi się na Polskę niepodległą i Rosja i Anglja i Francja. Obie strony wojujące zasadniczo zgodne. Mają tylko odmienne poglądy co do obszarów Polski — Niemcy marzą n. p. o zabraniu Polsce Zagłębia dąbrowskiego i części Kaliskiego.

Okupacja utrzymana nadal z dawnymi ograniczeniami. Jedynie w szkolnictwie widać rozwój i postęp. O Radzie Stanu wiadomo tylko z gazet, ale nie z życia. W sprawie wojska polskiego niepewność. Legjony zostały oddane gen. gub. warszawskiemu Beselerowi. Stało się to nagle i zaskoczyło całą opinię. Byłem wtedy w Warszawie. Nie oddano Legjonów Radzie Stanu, lecz Beselerowi, który tem samem staje się jakby regentem Królestwa polskiego. Beseler zapowiada też rychłe tworzenie armji polskiej. Społeczeństwo czeka, co z tego wyniknie.

Po większych miastach rozruchy głodowe. Mamy teraz przednowek, wobec zeszłorocznego nieurodzaju ciężko będzie go przetrwać. Ogólnie zmniejsza się w wojsku porcje i ogranicza się wszystkim utrzymanie. To samo i dla ludności cywilnej, wprowadzono urzędy aprowizacyjne, które

wydają artykuły pierwszej potrzeby tylko na kartki. Z kim się spotkać, każdy mówi teraz o jedzeniu.

Jakoś tak czuć w powietrzu, jakby w społeczeństwach zaczynał się ferment, jak wtedy w 1848 roku, zwiastujący idącą ku nam wiosną narodów.

Rewolucja rosyjska oddziaływa na umysły. Musi chyba dojść do poważnych zmian w wewnętrznym ustroju państwowym prawie wszędzie. Wyczuł to cesarz Wilhelm i w t. zw. »liście wielkanocnym« zapowiedział rewizję i zdemokratyzowanie ustroju państwowego. Obecnie centralne państwa są najbardziej absolutystycznymi i stają do walki z republikami o silnych podstawach wewnętrznych.

Dęblin, 16 maja 1917.

Byłem wczoraj w Kazimierzu nad Wisłą. Jest tam oddział wojska przy robotach fortyfikacyjnych, prowadzonych z Dębłina, trzeba było dać żołnierzom sposobność do spowiedzi wielkanocnej i odprawić nabożeństwo dla nich.

Pojechałem samochodem — droga pierwszorzędna, z Puław przeszło 3 mile. Nie przypuszczałem, że nad Wisłą znajdę takie śliczne krajobrazy i zakątki. Zupełnie co innego niż okolice Dębłina. Pagórki, wąwozy, wzgórze, jary.

Przed miastem mija się kilka starych, potężnych śpichlerzy zbożowych, na górze z boku widać ruiny dużego kiedyś zamku, a opodal wieża okrągła z białego kamienia miejscowego.

Sam Kazimierz, dziś zupełnie podupadłe miasteczko, prawie zapomniane, był kiedyś bogatym miastem portowym nad Wisłą, w czasach, kiedy z braku kolei cały ruch transportowy koncentrował się na Wiśle. Do Kazimierza zwożono z całego kraju żyto, pszenicę, by je spławiać dalej galarami do Gdańska, a stamtąd nawet do Anglii. Wszędzie też widać zabytki i świadectwa dawnego dobrobytu i świetności.

Zwracają uwagę przedewszystkiem duże kamienice na rynku, jakby przeniesione żywcem z Norymbergi lub Gdańska, o starej architekturze renesansowej z 16. wieku. To kamienice patrycjuszów kazimierzowskich — Przybyłów. Fasada posiada ładne ornamenty, reszta domów z podsieniami przypomina stare domy jabłonkowskie.

Kościół parafjalny duży, ma bardzo ładny ołtarz główny z marmuru z srebrnymi ozdobami. Jest jeszcze i kościół franciszkański, dziś bez zakonników oczywiście. Cała jedna dzielnica miasta leży w gruzach spalona w czasie wojny.

Po nabożeństwie i po wypowiedaniu żołnierzy zwiedziłem rzeczy godne widzenia w towarzystwie ks. Żółtowskiego, a potem zabrałem go wraz z ks. proboszczem Boratyńskim na samochód i pojechaliśmy w trójkę na odpust św. Zofji w Włostowicach koło Puław, gdzie miałem kazanie odpustowe.

Dęblin, 4 czerwca 1917.

Wróciłem z objazdu oddziałów wojskowych, zajętych fortyfikowaniem linii Wisły po jej le-

wym brzegu, od Dębłina przez Górę Puławską, Solec do Ciszycy i Zawichosta.

Chodziło o urządzenie im w kilku punktach nabożeństwa, szczególnie tam, gdzie niema kościołów i o umożliwienie im przystąpienia do spowiedzi wielkanocnej.

Najprostszą rzeczą byłoby zamówić sobie łódź motorową, których w Dęblinie sporo i pojechać Wisłą. Jednak stan wody w tym roku jest tak niski, że możnaby utknąć gdzie na mieliźnie i pozostać tam cały dzień, lub też dłużej.

Trzeba było wobec tego sięść na wózek, zabrać aparaty kościelne i rozpocząć formalną podróż misyjną. Dróg bitych na lewym brzegu niema, jeździ się więc piaskami lub drogami polnymi.

Pierwsze nabożeństwo wyznaczyłem w Górze Puławskiej, dla kilku z okolicy świątniętych oddziałów. Z Dębłina jedzie się wzdłuż Wisły do Puław 23 km., potem przez most na Wiśle, mający 680 m. długości, zbudowany przez okupantów i dojeżdża do Góry Puławskiej, leżącej naprzeciw Puław. Kościół niewielki, stoi na górze, widoczny zdaleka, nadwyrężony w czasie wojny wskutek ostrzeliwania go granatami.

Żołnierze już czekają w kościele. Najrozmaitsze wśród nich narodowości: Polacy, Niemcy, Czesi, Słoweńcy, Kroaci i przymusowi robotnicy cywilni z różnych powiatów Królestwa polskiego.

Wyspowiadali się prawie wszyscy. Przemówiłem do nich, starając się podnieść ich na duchu — powiedziałem im, że wszystko wskazuje na to, że wojna osiągnęła już punkt kulminacyjny i te-

raz musi dojść do jakiegoś rozwikłania i może da Bóg że całe te fortyfikacje będą już niepotrzebne.

Zato budujemy wytrwale fortyfikacje duchowe! Bo istnieje nieprzyjaciel, wróg, który walczy i naciera na nas, nie przez trzy lata, ale przez całe życie, od kolebki aż do grobu. A walczy z nami o najcenniejszą rzecz — o duszę naszą. Wszędzie nas niepokoi i w domu i na wojnie. Dlatego też, budując rowy, zasieki, ganki podziemne ku obronie Ojczyzny, pamiętajmy o zabezpieczeniu duszy naszej, pamiętajmy o zbawieniu. Nie wierzymy tym, co powiadają, że na wojnie wszystko wolno, że przykazań niema. Stary Bóg nie umarł, jeszcze żyje i żyć będzie, bo wieczny, i każdy z nas przed Nim stanie kiedyś. Masz jedną tylko duszę, nie dwie, nie trzy, nie dopuszczaj do niej grzechu, broń się przed grzechem modlitwą, Sakramentami św. i kiedy dziś pogodziłeś się z Panem Bogiem w spowiedzi świętej, kiedy Go masz teraz w sercu swoim, to żyj z Nim w zgodzie, nie wypędzaj Go stamtąd! Bądź porządnym żołnierzem, ale i porządnym człowiekiem!

Po skończonem nabożeństwie zauważyłem, wychodząc z kościoła, na cmentarzu kościelnym kilka grup dzieci w wieku szkolnym. Uczyły się czegoś. Objasniono mnie, że to nauka przed pierwszą spowiedzią i Komunią św. W każdej grupce jedno ze starszych dzieci czyta z katechizmu zdanie po zdaniu, jedną definicję czy odpowiedź za drugą i dzieci tak długo ją powtarzają, aż im utkwi w pamięci. Dopiero potem następuje egzamin.

O jakimś metodycznym nauczaniu niema mowy. Na tem tle rozumie się dopiero, dlaczego wiadomości religijne mas ludowych są takie bardzo nikłe i skąpe. Taka nauka nie podnosi ani rozumu ani woli, nie wpływa na życie i stąd w katolickim kraju brak katolickiego życia wśród szerokich mas.

Po herbacie pojechałem dalej wzdłuż Wisły do miejscowości Wojszyn. Droga przeważnie piaszczysta, konie idą powoli noga za nogą, wśród gorąca i południowego skwaru. Po czterogodzinnej jeździe dojeżdżamy do Wojszyna. Wjeżdżamy przed niewielki dworek, otoczony ogromnym murem. Zabudowania całe, nieuszkodzone, ale splądrowane przez różne oddziały wojskowe. Widok z okien od strony Wisły prześliczny na duży, kwitnący ogród, rozłożony na pochyłości dochodzącej do Wisły. Na drugiej stronie, w dole Kazimierz.

W poszukiwaniu odpowiedniego miejsca na jutrzejszą Mszę św. polową, wszedłem po schodach z ogrodu na taras. Wydał mi się odpowiedni, ludzie, stojąc na dole, będą mogli stamtąd widzieć ołtarz.

Rozglądając się, zauważyłem za szklanymi drzwiami jakąś starszą panią, obserwującą mnie dość nieżyczliwie, siedziała na krześle plecieniem — widocznie schorowana, słaba. Na mój ukłon ledwo skinęła głową. Zrozumiałem, że jestem w tym domu niepożądanym gościem.

Dopiero kiedy wyjaśniło się, że jestem księdzem katolickim i gdy poprosiłem o pozwolenie odprawienia nazajutrz Mszy św. na tarasie, w je-

dney chwili zaszła zupełna zmiana. Staruszka, jak się okazało, sparaliżowana, ucieszyła się ogromnie, że w jej domu będzie Msza św. Może ta Msza św., może Pan Jezus przyniesie nareszcie pokój do jej domu, który tak dużo w czasie wojny ucierpiał. W mieszkaniu jej zastałem przerażające pustki, łóżko zbite z desek, dwie czy trzy ławki, jakaś półka i więcej nic. Byłem szczerze wzruszony, gdy mi wieczorem przysłała poduszkę i kołdrę, bym miał na czem spać — nie mogłem jednak przyjąć, wiedząc, że musiałyby sama się ograniczać. Mnie zawsze łatwiej, niż chorej staruszce, przespać się na gołej ławie.

Rano wyszedłem do ogrodu. Widok prześliczny, wprost wymarzony. Zdaje się, że mało kto w Polsce wie, jak tu jest ładnie.

Patrząc na to wszystko, odtwarzałem sobie w wyobraźni czasy, kiedy tu życie tętniło, kiedy tam na dole Wisłą mknęły liczne galary, przewożące złotą pszenicę. Dziś to wszystko ustało, zmieniło się. Wtedy Polska była wielka, potężna, sięgała od morza, uzyskawszy za Kazimierza Jagiellończyka Pomorze i Prusy, a głównie Gdańsk, po zwycięskich wojnach z Krzyżakami.

Cała Wisła była wtedy w polskich rękach, wolna. Dzisiaj inaczej!

Na tarasie tymczasem urządził Andrzej ołtarz polowy, żołnierze znosili zieleń i upiększali miejsce, obrane na nabożeństwo wojskowe. Wysłowiadałem wszystkich żołnierzy, stacjonowanych w okolicy Wojszyna, a o godz. 8 rozpocząłem Mszę św. przy licznym udziale ludności ze wsi i dziatwy szkolnej. Pogoda była prześliczna, słoń-

ce ranne oświecało ołtarz, zebranych koło niego żołnierzy i lud.

Po Mszy św. zwiedziłem jeszcze szkołę, prowadzoną wzorowo przez nauczycielkę z Galicji, wyegzaminowałem trochę z religji i żegnany bardzo serdecznie przez wszystkich, pojechałem dalej

Następny etap był: wieś Lucima i Białobrzegi nad Wisłą.

W Lucimie zamieszkałem w chałupie chłopskiej, gdzie masy much znęcały się nademną w czasie całego pobytu. Mszę św. z nauką odprawiłem przed chatą, w której mieszkałem, do spowiedzi przystąpili nietylko żołnierze, ale i miejscowa ludność.

W Białobrzegach nad Wisłą zakończyłem na razie marszrutę, żeby na niedzielę wrócić do Dębli. Tam tak samo ustawiono ołtarz na skraju wsi koło drogi. Cała wieś świętowała i wzięła udział w nabożeństwie.

Po drodze zwiedziłem ruiny wspaniałego ongiś zamku w Janowcu, przedstawiające się jeszcze okazale od strony południowej, zniszczone jednak kompletnie od północnej.

W tym tygodniu byłem na odcinkach fortyfikacyjnych w Ciszycy, w Woli Pawłowskiej, w Raju i w Solcu nad Wisłą. Pomimo znużenia, połączonego z taką tygodniową wyprawą, jestem z niej bardzo zadowolony. Wszędzie było dużo pracy nad duszami, które już dawno nie słyszały słowa Bożego i pozbawione kontaktu z księdzem i kościołem, może nawet zdziczały trochę. Ale wy-

starczy trochę serca, parę serdecznych, ciepłych słów do tych biedaków, wymęczonych przez wojnę, a znowu korzą się przed Bogiem, znajdują drogę do swego Pana i Boga. Ogromna jest siła, tkwiąca w prawdach religijnych. Wystarcza je wskazać, przypomnieć, a wraca nowe życie.

Kto ma sposobność zajrzeć nieraz w serca ludzkie, tego musi przejąć podziw nad tajemniczym działaniem łaski Bożej, która umie dostosować się do każdego człowieka, do każdej sytuacji, wykorzystać wszystko, by człowieka, choćby nie wiem jakie miał przewinienia, podnieść i pojednać z Bogiem.

Kto umie patrzeć w serca ludzkie, ten widzi cudny świat tajemniczy, niezgłębiony, ozłocony promieniami Bożej dobroci i Bożego miłosierdzia. I człowiek wtedy nie wychodzi z podziwu, chciałby tylko klęczeć w zachwycie, uwielbiać i dziękować i wołać wśród łez radości: Wielbij duszo moja Pana — Magnificat — Alleluja! Quia fecit magna, qui potens est.

Są radości w sferze duchowej, rozpierające duszę — radości, których nie można z niczem porównać, które nie dadzą się wcale opisać. To zadatek tego, co nas czeka potem w wiecznym oglądaniu i radowaniu się Bogiem.

Tak i mnie po powrocie z tej pracy uciążliwej, wśród skwaru, kurzu i niewygód, wszystko w duszy gra dziwny a rzewny hymn radości i wdzięczności dla Boga za wszystko, co mnie i żołnierzom kochanym uczynił, a głównie za to, że Ty jesteś Boże, że istniejesz i że udzielasz się tym, co Ci swe serca otwierają.

Dęblin, 8. sierpnia 1917.

Byłem w lipcu na trzytygodniowym urlopie. Najpierw odwiedziłem ojca, a potem byłem kilka dni w Wiedniu u znajomych, następnie wstąpiłem do Maria-Zell w Styrii do cudownej Matki Boskiej wysoko wśród Alp, a w drugim tygodniu pojechałem przez Salcburg, który znam jeszcze z lat dawniejszych, przez Berchtesgaden do Monachjum i Norymbergi.

Monachium zwiedziłem dość pobieżnie, głównie kościoły, pinakotekę. Natomiast zrobiła na mnie wrażenie Norymberga. Ulice, domy jak obrazki z 16. w. Prześliczne fasady, koło centrum miasta mury dawne, dobrze utrzymane, fosa, baszty, bramy. Taki musiał być kiedyś Kraków dawny. Tu zachowane wszystko z całym pietyzmem. Dom Dürera zachowany dotąd w pierwotnym stanie, wygląda jak z bajki — mieści się w nim muzeum sztychów i innych prac Dürera. Kościoły to prawdziwe muzea. Koło głównych ołtarzy w ścianie starodawne, u nas już niespotykane »domki Najśw. Sakramentu«, »Sakramentshäuschen« z czasów, kiedy Najśw. Sakrament przechowywano nie w ołtarzach, ale w specjalnych szafkach, urządzonych w ścianach obok ołtarza. Ogromnie dużo szczegółów przypomina krakowski kościół Marjacki. Bo też tu i tam pracował ten sam mistrz nad ozdabianiem kościołów — Wit Stwosz. Gdzie się ruszyć, widać jego charakter, jego rękę, jego szkołę. Kilka kościołów po reformacji zabrali protestanci. Przykre wrażenie robi taki dawny kościół katolicki z szeregiem ołtarzy, obrazów, figur zu-

pełnie katolickich, których nie ruszano — są n. p. wymalowane wszystkie tajemnice Różańca św. — a koło głównych drzwi stoi duży posąg marmurowy — Marcina Lutra.

Duże wrażenie robi muzeum miejskie w dawnym zamku, z osobnym działem narzędzi katowskich z dawnych czasów, t. zw. »Folterkammer«. Najohydniejsze narzędzia do męczenia i katowania, do wrywania zębów, wykluwania oczu, łamania żeber i kości, do ścinania głów, naciągania całego człowieka na walec drewniany, rozszerzania jamy ustnej.

Przykre wrażenie robi t. zw. »żelazna panna — Eiserne Jungfrau«. Postać kobiety ogromnej, zrobionej z grubej blachy pustej. Postać składa się z dwóch części, przedniej na zawiasach, tak, że można otwierać i zamykać ją jak drzwi, a tylna nieruchoma. Na obu częściach wewnątrz są długie, ostre sztylety. Do wnętrza tego wstawiało się skazańca i potem gwałtownie go tam zamykano, a zamykając, przebijano wszystkimi sztyletami, które jednocześnie wchodziły w ciało z przodu i z tyłu, począwszy od głowy, oczu, szyji, piersi, na nogach skończywszy.

Człowiek patrzy i oczom własnym nie wierzy, by ludzie mogli tak się nad bliźnim pastwić i znęcać.

Są tam także beczki wewnątrz pełne ostrych gwoździ. Skazańca umieszczono w beczce i toczono ją po ziemi.

My jednak w Polsce, o ile wiem, nie mamy takiego strasznego »muzeum«. Myśmy do podobnych praktyk ohydnych nie byli zdolni. Zarzu-

cają nam różne nadużycia, ucisk chłopstwa, niewolę pańszczyźnianą, ale podobnych zabytków i pamiątek nikt w Polsce nie odnalazł. Obok kultury wysokiej, obok piękna w dawnej Norymberdze, wyrafinowane barbarzyństwo i okrucieństwo.

W atakach na Polskę, jakich tu ciągle w Dęblinie muszę się nasłuchać od różnych pułkowników, majorów i oficerów, mam obecnie znakomitą broń. Przywiozłem sobie szereg fotografii z owej »Folterkammer« i demonstruję im jako dowody »postępu i kultury«.

Jako uzupełnienie służy fotografia z masowej egzekucji w Piotrkowie, gdzie powieszono obok siebie jedenastu ludzi i bezpośrednio po egzekucji wyfotografowano. Obok tych barbarzyństw stoi godnie tak modne dziś zatapianie, torpedowanie okrętów z setkami bezbronnych podróżnych.

Nastroje wszędzie, gdzie byłem, nieszczególne; w Monachium słyszałem kilka razy słowa ostrej krytyki państw centralnych i ich polityki. Na frontach zwycięstwa, a w kraju coraz większa bieda. Brak chleba, mięsa, pomimo wprowadzenia przymusowych dni bezmięсных w Austrii i w Niemczech — brak cukru, powszechnie w użyciu sacharyna, kto nie posiada dawnych zapasów, temu bardzo ciężko. Wszyscy są znużeni wojną, zaczynają ją odczuwać nietylko ci, co na frontach walczą, ale w coraz dotkliwszy sposób także ci, co w domu zostali.

Niechęć do wojny, niezadowolenie zatacza, widać, coraz szersze kręgi.

W tych dniach wystąpił Ojciec św. Benedykt XV. z energicznym i pełnym powagi upomnieniem ojcowskiem pod adresem panujących i kierowników państw wojujących, by nierozumną wojnę stanowczo skończyli i tak uregulowali granice państw i kwestje sporne, by raz na zawsze znikła wszelka krzywda i niesprawiedliwość, wynikająca z pychy i podeptania przykazań Bożych.

Dęblin, 27 sierpnia 1917.

Czas upływa, mijają dni, miesiące, lata — wojna trwa ciągle, jakby trwać musiała, jakby miała równie silne uzasadnienie jak pokój. Mamy już czwarty rok wojny, wbrew wszelkim przepowiedniom i obliczeniom. Czas upływa, a z nim i życie, historia narodów, ludzkości. Wszystko toczy się swoim trybem, ale odczuwa się we wszystkim jakiś pośpiech i przyśpieszenie tętna dziejowego. Tygodnie przynoszą obecnie to, co zwykle przeżywa się w ciągu całych długich lat. Rewolucja rosyjska wywraca wszystko, przekształca całe ogromne państwo, oddziaływa na Europę, wymuszając demokratyzację wszelkich innych ustrojów państwowych.

Niebezpieczeństwo, grożące Austrii, że Niemcy w państwie wezmą górę, że odżyje stary system centralistyczny, minęło z przywróceniem parlamentaryzmu. Takich mocnych objawów żywotności poszczególnych narodów i krzyku za sprawiedliwością, prawem do życia i do rozwoju narodowego, nie słyszano jeszcze w Austrii nigdy.

W Niemczech bierze górę kierunek wszechniemiecki, antypolski i aneksyjny, nie zgadzający się na odstąpienie »zdobytej« Polski.

Legjony mają przejść do armji austriackiej, według rozkazu Komendy Legjonów z soboty 25. sierpnia. Tem samem okupanci zrezygnowali z tworzenia armji polskiej. Jesteśmy zatem tam, gdzieśmy byli na początku — tylko już bez iluzji, bez marzeń i złudzeń.

Dęblin, 28. sierpnia 1917.

W Legjonach w Dęblinie od kilku dni silny rozłam i ferment od czasu, kiedy Komenda Legjonów, w porozumieniu z Radą Stanu, zażądała od Legjonistów obywateli Królestwa złożenia przysięgi.

Kilka pułków przysięgę złożyło, w innych nastąpił rozłam: część wykonała przysięgę, część odmówiła, zasłaniając się tem, że ich tekst przysięgi nie zadawalnia, a właściwie powodując się tajnymi instrukcjami Piłsudskiego. Opornych zwolniono z obowiązków i internowano — oficerów w Zegrzu, żołnierzy w Szczypiornie.

Wywołało to rozgoryczenie i zaczęła się niebezpieczna w każdym wojsku agitacja. Potworzono na wzór rosyjski rady oficerskie i żołnierskie. Tam uchwała się, czy dany rozkaz przyjąć, czy nie. Tem samem Legjony znalazły się na bardzo pochylej drodze.

Komendant szóstego pułku w Dęblinie ppułk. Norwid-Neugebauer nie złożył przysięgi, został za

to zwolniony z komendy. Na jego miejsce przysłano z Warszawy ppułk. Ścibor-Rylskiego, który nie był zwolennikiem Piłsudskiego i był w pułku niepopularnym.

W poniedziałek 20. sierpnia przybył do pułku na inspekcję brygadjer Haller. Wtedy pułk przez delegatów z rady żołnierskiej oświadczył Hallerowi i Rylskiemu, że im wypowiada posłuszeństwo. Na razie dało się jednak rewoltę uspokoić dzięki wpływom kapitanów Terleckiego i Popowicza. Na drugi dzień, we wtorek, odbył się przegląd wojskowy bez wszelkich trudności.

W środę wyruszył pułk na tygodniowe ćwiczenia do Krasnoglin i Moszczanki koło Dębina. Tymczasem w czwartek koło południa pułk uchwalili wrócić do koszar. Tak samo orkiestra pułkowa bez rozkazu komendy wyszła naprzeciw wracających.

Po przejściu przez most na Wiśle rozłożył się pułk na łące między koszarami a fortem Górczakowa i wysłał deputację do komendanta z żądaniem, by komendant razem z szesnastu oficerami, niesprzyjającymi ich zapatrywaniom (t. zn. nie piszącymi się na politykę Piłsudskiego) opuścili pułk i wyjechali do Warszawy.

Pułkownik zdał raport z tych zajęć u komendanta Dębina ekscelencji Haama i wyjechał. Z proskrybowanych oficerów pozostał tylko por. Ocetkiewicz, a rada pułku wybrała komendantem kapitana Gigla.

Następnego dnia doszło do zatargu z opornym por. Ocetkiewiczem, który oświadczył, że nie

uznaje rozkazów komendantów rewolucyjnych i zostanie na miejscu, póki go Komenda Legionów z zajmowanego stanowiska nie zwolni. A że działo się to pod bokiemi Niemców, którzy mieszkali w tym samym budynku jako instruktorzy, zawadzali Niemcy w obawie ekscesów bataljon wojska niemieckiego z Warszawy. Bataljon ten, zaopatrzony w cztery karabiny maszynowe, rozlokował się koło fortu Gorczakowa w barakach, przeznaczonych dla mającej powstać polskiej armji.

Sobota zesła na gorączkowem oczekiwaniu, co będzie dalej.

W niedzielę rano nadszedł rozkaz Komendy Legionów, że pułk szósty zostaje przeniesiony do Przemyśla, a później na front austriacki.

W sytuacji, w jakiej się znalazł pułk szósty w Dęblinie, żołnierze powitali wiadomość tę z pełną ulgą i zadowoleniem.

Jakim torem potoczą się wypadki obecnie, trudno przewidzieć.

Dęb l i n, 28. sierpnia 1917.

Dziś wyjeżdżają Legjoniści z Dęblina. W tej chwili ładują swe bagaże, wozy, tren do wagonów kolejowych, mają wyjechać koło godziny 2. po południu.

Wróciłem z dworca, byłem tam, by pożegnać znajomych, z którymi zżyłem się przez czas ich pobytu w Dęblinie. Po drodze spotkałem gromadę żandarmów austriackich, rozstawionych wzdłuż

toru kolejowego, dworca i lasku, przyległego do kolei.

Zupełnie niepotrzebne obawy. Wypadki z zeszłego tygodnia należą bowiem już do przeszłości.

Chciałbym wiedzieć, jak osądzi je kiedyś historia, bo dziś trudno się zorientować w chaosie przeżyć i nastrojów.

Zwolennicy Piłsudskiego nazywają to jedyną drogą do wywalczenia czegoś i sam wyjazd z Królestwa Polskiego uważają za sukces. »Legjony pokazały, co potrafią.«

Złożyła się naturalnie na to wszystko całoroczna bezczynność pułku w Dęblinie i sytuacja, w jakiej się sprawa polska dzięki nieszczeroci okupantów znalazła. Osobiście jednak wolałbym, żeby doszło do skonsolidowania Legjonów, a nie do ich rozbicia.

Tworzyło się Legjony z takim trudem, z tylu nadziejami, a dziś ich spoistość i siła załamuje się nie na froncie, lecz we wzajemnej walce. A przecież mogłyby się Polsce przydać, bo wojna jeszcze nieskończona, nierozegrana ostatecznie.

Dęblin, 19. października 1917.

W niedzielę przeżywałem w swoim kościele dużo radości z okazji poświęcenia nowego ołtarza i obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej.

Od samego początku odczuwałem brak odpowiedniego obrazu Matki Boskiej. Ale jakoś ciężko szło, nie było środków na urządzenie ołtarza. To samo odczuwała i ludność, biorąca w niedzielę

udział w nabożeństwach i zaczęły się od dłuższego już czasu na ten cel samorzutne składki, najprzód wśród młodzieży, potem wśród starszych. To umożliwiło zamówienie obrazu Matki Boskiej w Warszawie u Łopieńskich.

W niedzielę odbyło się uroczyste poświęcenie. Przybyło kilku księży z okolicy, by uświęcić ten piękny akt, i ogromne rzesze ludu, z dalekich nawet stron. Jedni piechotą, drudzy furmankami, inni koleją od Łukowa, od Puław, Garwolina i Kozienic. Wszystkich zgromadziło tradycyjne w Polsce przywiązanie do Matki Najświętszej. Chyba pierwszy raz oglądała dawna cytadela rosyjska takie masy ludu polskiego, co przyszły na uroczyste wprowadzenie Królowej Korony polskiej w mury dawnej świątyni rosyjskiej.

Temat do kazania na tę śliczną uroczystość sam mi się nasunął: Magnificat — Wielbij, duszo moja Pana, za te wszystkie dziwy i cuda, jakich jesteśmy świadkami na tem miejscu.

Pismo św. przekazało nam niewiele słów, wypowiedzianych przez Matkę Boską. Między innymi precudny hymn radości i uwielbienia Boga przez Matkę Najśw., kiedy wstąpiła w progi św. Elżbiety z nowiną, że została wybraną na Matkę Syna Bożego.

»Wielbij duszo moja Pana... iż wejrzał na pokorę służebnicy Swojej... Który uczynił mi wielkie rzeczy... złożył mocarzy ze stolicy a podwyższył pokorne... łaknących napełnił dobrami, a bogaczy próżno odprawił.«

Magnificat, to zasadniczy ton przeczystej duszy Marji i Jej stosunku do Boga.

Marja śpiewa Magnificat przy powitaniu się ze św. Elżbietą, śpiewa go potem wśród najrozmaitszych sytuacji w życiu. Czy dobrze, czy źle — »Wielbij duszo moja Pana!«

Idzie znużona do Betleem, do miasta rodzinnego, nie może znaleźć schronienia, — z głębi duszy woła: »Wielbij duszo moja Pana!« Potem rodzi Syna Swego w ńedzy, w stajni, jakby wydziedziczona z pośród »swoich« i wtedy nie narzeka, ale szepce: »Magnificat«. Następnie przebywa na ucieczce w obcym kraju, w Egipcie, nie skarży się. W duszy Jej dźwięczy zawsze — »Wielbij duszo moja Pana!« A gdy przeżywa całą mękę Swego Najświętszego Syna, wśród straszego cierpienia, woła z poddaniem woli Bożej — »Magnificat«.

Tak wygląda modlitwa Matki Najświętszej we wszystkich przejściach, we wszystkich chwilach Jej życia.

A czy nasze życie obecne, nasza dola nie przypomina nam życia i niedoli Matki Najśw.?

I z pomiędzy was iluż to tułało się całemi miesiącami na obczyźnie w czasie wojny i z was niejeden, gdy wrócił do »swego«, nie zastał nic i dotąd mieszka w stajni z bydłętami. — A ilu to z was nie doczeka się synów, braci, ani ojców rodzin, bo jedni zabici, a drudzy zginęli bez wieści!

A ile to biedy w tej Polsce i ten brak chleba, bo go zabierają obcy, — czy to nie podobne do życia i krzyżów Najświętszej Paniienki!

Ona miała na wszystko jedną odpowiedź:
»Magnificat!«

Widzisz, — naucz się i ty od Niej tej cudownej pieśni marjańskiej: Wielbij duszo moja Pana!

Przyrzeczmy Jej dziś wszyscy, w dzień intronizacji Jej obrazu w tym kościele, że przez życie całe nie odsuniemy się od Boga i Jego Najśw. Matki, ale zawsze za przykładem Marji wołać będziemy: Magnificat! Wielbij duszo moja Pana!

Wiesz, ludu kochany, co ci za to obiecuje? Oto jak Najśw. Paniątka przewyciężyła wszystko, dziś wywyższona, króluje w niebie, tak przy Jej pomocy przewyciężysz i ty te czasy obecne, dożyjesz lepszych dni w wolności i swobodzie, minie głód, minie nędza, ucisk i zaśpiewamy może nie długo wszyscy — Magnificat:

»Złożył mocarzy ze stolicy a podwyższył pokorne... łaknących napełnił dobrami, a bogaczy próżno odprawił...«

I jakby Matka Najświętsza chciała udowodnić, że króluje, że panuje w tym kościele, dała mi dziś dowód Swej dobroci.

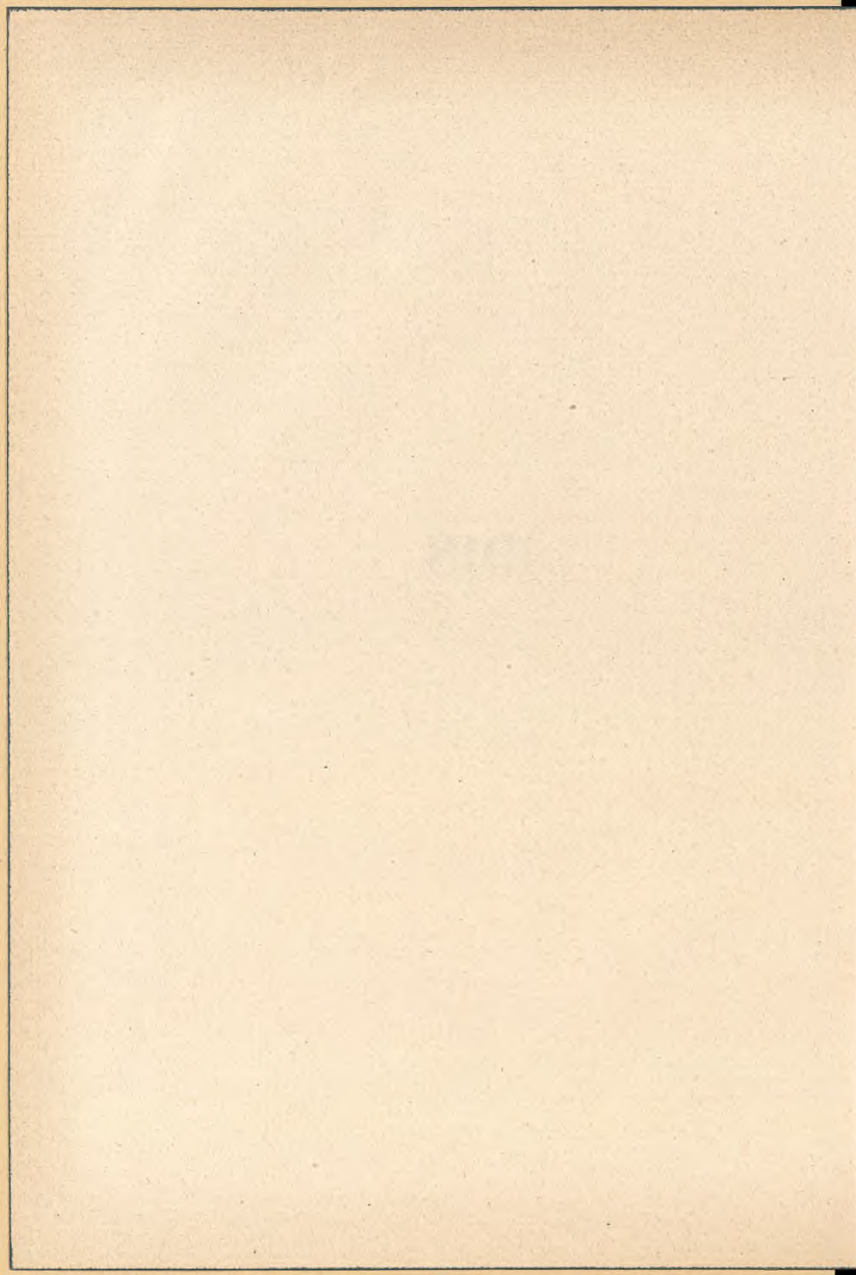
Kiedyś, przed kilku tygodniami, spotkałem żołnierza, dawnego oficera zdegradowanego. — W kościele nie widywałem go nigdy. Słyszałem, że pisze ładne wiersze, że poeta. Twarz jego myśłaca, ale znać, że ten człowiek przeszedł dużo, przecierpiał wiele i że ma coś, co go gniecie i boli, że jest nieszczęśliwy. Zaproponowałem mu, by napisał wiersz do Matki Boskiej na poświęcenie naszego obrazu.

I napisał hymn do Matki Bożej, w którym złożył wszystkie swe męki duchowe, swój żal do Boga i ludzi. Przyniósł mi go przed tygodniem. Odbija się w całym utworze skolatana, biedna, bardzo nieszczęśliwa dusza.

Widziałem potem autora w kościele w czasie poświęcenia obrazu, a dziś, po wielu, wielu latach przystąpił do spowiedzi i Komunii św.

Tak wspaniałomyślnie wynagradza Marja tych nawet, co po latach zapomnienia do Niej się zwróca.

1918



Dęblin, 25. lutego 1918.

Nie pisałem dawno. Przeżywamy takie rzeczy, że boli ich czytanie, cóż dopiero opisywanie.

Przedewszystkiem traktat pokojowy państw centralnych z Ukrainą, zawarty 9. lutego w Brześciu Litewskim. Jest to czwarty rozbiór Polski. Chełmszczyzna i część Podlasia zostały przez Niemcy i Austrię oddane »Ukraińskiej Republice ludowej«. Niema polskiego serca, któreby nie krwawiło boleśnie w poczuciu krzywdy, narodowi wyrządzonej. To, na co się w Brześciu zdecydowali v. Kühlmann i hr. Czernin, stanowi jedną z najciemniejszych kart w politycznej historii świata. Ogłoszono niepodległość narodu, rozpisywano się długo i szeroko o własnej wspaniałości, nakazywano być sobie wdzięcznym za uzyskaną wolność, deklamowano dużo o przyjaźni, a w końcu sprzedano nas bez naszej wiedzy i woli, nie dopuszczając Polski do udziału w układach.

Przez całą Polskę przeszedł jeden krzyk oburzenia.

I przez to oburzenie zjednoczyło się w Polsce wszystko. Dziś pozostała wszystkim jedna tyl-

ko orientacja. Wszyscy wiedzą już, czego chcieć i co robić.

W Warszawie rozpoczęły się 12. lutego demonstracje, na 14. lutego ogłoszono strajk powszechny, który stał się ogólnym strajkiem narodowym, wszystkie instytucje i sklepy zamknięto, ruch na ulicach był olbrzymi.

W Lublinie podali się do dymisji gen. gubernator Szeptycki, szef rządu cywilnego Madeyski i gen. Pruszyński, spalono oblane naftą potrety cesarza Karola i Wilhelma wśród burzliwych okrzyków i manifestacji, trwających do późnego wieczora. Równocześnie uchwalono rezolucję, domagającą się zerwania stosunków z władzami okupacyjnymi i wzywającą Radę Regencyjną w Warszawie do złożenia władzy w ręce narodu, który wyłoni prawowity rząd dla podjęcia walki o nasze prawa.

W Krakowie odbyła się w poniedziałek, 18-go lutego wielka demonstracja narodowa, połączona ze strajkiem narodowym w całej Galicji. Stały koleje, wszystkie urzędy i fabryki. Na Rynku krakowskim urządzono olbrzymi wiec wspólny i złożono wspólną przysięgę bronięcia Ojczyzny.

Byli ministrowie i posłowie zwracają cesarzowi Karolowi order i odznaczenia, całe przedstawicielstwo polskie w parlamencie wiedeńskim i w Izbie panów zwraca się zwartym frontem przeciw rządowi wiedeńskiemu.

I Galicja dziś w swej świadomości nie jest już prowincją austriacką, lecz częścią niepodległej Polski.

Legjoniści z Hallerem przeszli przez front austriacki na terytorjum Ukrainy, wydając tem samem wojnę Austrii i Niemcom w imieniu Polski pokrzywdzonej. Część legionistów, która nie zdołała podążyć za Hallerem, rozbrojono i umieszczono w obozie jeńców w Huszt na Węgrzech.

Taki koniec Legjonów polskich, walczących po stronie państw centralnych do chwili upadku caratu w Rosji.

Zato w Rosji tworzy się regularna armja polska z Polaków, występujących z armji rosyjskiej po wybuchu rewolucji.

Dęblin, 17. marca 1918.

Władze okupacyjne obawiają się powstania polskiego. Wszędzie zarządzane ostre pogotowie, zdwojono posterunki, każdy cywil uchodzi za rewolucjonistę lub szpiega. Komenda wojskowa zamknęła zupełnie dostęp do cytadeli, a więc i do kościoła dla ludności z okolicy. Od lutego niema więc nabożeństw dla ludności cywilnej. Kto się zbliży do budynków komendy lub do cytadeli bez legitymacji, zaopatrzonej fotografią, kto przejeżdża po godzinie 8-mej wieczorem przez most, tego żandarmerja bez miłosierdzia aresztuje. Wobec tego ustał wszelki mój kontakt z ludnością tutejszą. Nie wolno jej przychodzić do mnie, — jestem odcięty od wszystkiego, co nie chodzi w mundurze.

Dziś rano miałem przejście z komendantem o aresztowanie nieznanym mi zresztą ludzi, których wczoraj przetrzymano w areszcie za to, że zbliżyli się do cytadeli. Powiedziałem komendantowi, co o

tem myślę. Skończyło się wypuszczeniem Bogu ducha winnych ludzi, ale za to znalazłem się pod nadzorem policyjnym. Ludność tłómaczy sobie to wszystko tem, że »dziady mają stracha«.

Dęblin, 23. marca 1918.

Dał mi Pan Bóg teraz inną pracę.

Przed kilku tygodniami przeniesiono do Dęblina lubelski szpital dla chorych, upadłych kobiet. Protestowałem przeciwko temu wszędzie, gdzie się dało, w Lublinie, w Krakowie, w Wiedniu, gdyż uważam Dęblin za najmniej odpowiedni punkt dla tego rodzaju szpitali. Co w większem mieście znika i nie zwraca na siebie uwagi, to w takim Dęblinie musi rzucać się w oczy i działać ujemnie.

Protesty nie skutkowały i szpital założono w Dęblinie, a że jest pod zarządem wojskowym, więc siłą rzeczy jestem tego szpitala kapelanem. Liczba chorych dochodzi do 300, w tem połowa żydówek i prawosławnych.

Myślałem zawsze, że nie będę się mógł przezwyciężyć, że jedynem uczuciem przy pracy duszpasterskiej nad temi osobami będzie wstręt i obrzydzenie. Tymczasem teraz opanowuje mnie ogromna, bezbrzeżna litość, która pogłębia się jeszcze, gdy spojrzysz się w te dusze aż do dna, w tę całą otchłań nędzy moralnej.

W jednym z baraków urządzono kaplicę, jest ołtarz, który sobie same ubierają, są ławki. Co sobotę odprawiam im Mszę św., połączoną z nauką.

Najgorzej, że nie mają żadnego zajęcia. Całe dni, tygodnie siedzą beczynnie — i to demoralizuje może najwięcej. Nie dziwnego, że często powstają kłótnie, sprzeczki, wpływają na siebie nieraz bardzo ujemnie, a nierzadko usiłują pozbawić się życia. Pełno też mają zawsze skarg i żalów.

W zeszłym tygodniu urządziłem tam rekolekcje, jako przygotowanie do spowiedzi wielkonocej.

Przygotowując te rekolekcje, byłem zaskoczony wprost bogactwem materiału i tematów w Ewangelji, odnoszących się do tego rodzaju rekolektantek.

Jak one wsłuchiwały się całą duszą w opowiadania o nawróconej jawnogrzeszniczcy Marji Magdalenie! Jako Pan Jezus, zaproszony przez Szymona, poszedł do niego na ucztę, a kiedy wszyscy zebrani byli przy stole, otwierają się drzwi i do sali wchodzi niewiasta młoda i piękna. Znają ją wszyscy, wiedzą, co za jedna. Dziś dziwnie zmieniona, onieśmielona. Przystaje na moment we drzwiach, szuka Jezusa, dostrzega Go, poznaje, przypada Mu do nóg ze szlochem i płacze, bardzo płacze. Nic nie mówi, tylko skulona u stóp Jezusowych zalewa się łzami serdecznego żalu za swe grzechy wielkie, za zmarnowaną młodość, spędzoną w rozpuście.

Kiedyś szła ulicą, tam ktoś, otoczony wielkim tłumem, przemawiał na rynku. Zatrzymała się i wtedy wpadło jej do duszy kilka słów takich dziwnie dobrych, kojących, że od tego czasu coś się z nią dzieje, czego sama określić nie umie.

We dnie i w nocy słyszy głos nieznanego Nauczyciela. I czuje obrzydzenie do siebie, zrzuca ze siebie wszystkie klejnoty, stroje i skruszona szuka od tygodni owego Mistrza. Tylko On jeden będzie mógł wyciągnąć ją z błota, w jakie zabrnęła, tylko On potrafi wskazać nową drogę.

I znalazła Go. I oto klęczy u Jego stóp, obmywa te nogi łzami, a na znak wielkiego szacunku namaszcza wonnemi olejkami, które z sobą przyniosła.

Ci, co byli z Jezusem, potępiają Magdalenę, brzydzą się nią.

Inaczej Boski Mistrz. Rozgrzesza, nie krzyczy, nie łaje, przebacza. Podnosi rękę nad żalującą grzesznicą, odpuszcza wszystko, co było, bo widzi w jej sercu szczery żal. Jemu to wystarcza, bo dobry, bo miłosierny bez granic.

Dziś i wami ludzie wzgardzili. Odepchnięto was od ludzi, zamknięto tu i otoczono strażą nakoło i drutem koleczastym, jak trędowate.

Jest jednak ktoś lepszy od ludzi, najlepszy, — jest ktoś, co i tu w tem wygnaniu mimo wszystko wyciąga do was Swe ręce i woła: »Pójdźcie do mnie wszyscy, pójdźcie i wy, biedne, bardzo biedne, nieszczęśliwe, wzgardzone!«

I tylko trzeba krok jeden zrobić do Niego, trzeba się zbliżyć z żalem za to, co przedtem było, a kiedy klęknieś jak Magdalena i w spowiedzi szczerzej przyrzeknieś rzucić wszystko, rozpocząć nowe życie, to Ten sam, co Magdalenę rozgrzeszył, rozgrzeszy, przebaczy i tobie, odpuści ci wiele.

Łzy perlily się często w ich oczach i spływały po bladych, wyniszczonych twarzach. W niejednej duszy zaczynał się przewrót na wieść, że Pan Jezus tak dobry, tysiąc razy lepszy od ludzi, że nie potępia nikogo.

Wielkie wrażenie zrobiła także przypowieść o synu marnotrawnym, co to odszedł od ojca, roztrwonił wszystko, a potem pasał wieprze i karmił się tem, co wieprze dostawały. Niejedna przypomniała sobie lata dziecięce, u boku matki spędzone, swą niewinność, — jak potem zmieniło się wszystko, zasady, wyniesione z domu, poszły w ką i zatraciło się niewinność, dobre imię, w końcu zdrowie, a dziś upadło się nawet niżej od owego pastucha wieprzów, bo on ma przynajmniej swobodę, a tu jest się otoczonym zasiękami z drutu na całe miesiące. Ale syn marnotrawny wstał, poszedł do ojca, przeprosił, naprawił wszystko. I ty możesz zawsze jeszcze wstać, wrócić do tych zasad, jakie wyniosłaś z domu, pogodzić się z Panem Bogiem, zacząć nowe życie. Ale trzeba sobie raz na zawsze stanowczo powiedzieć: »wiem, co zrobię, wstanę i pójdę do Ojca mego«. Wstań — Pan Jezus i Kościół woła — wstań i idź pogodzić się z Ojcem, a przyjmie cię i przebaczy, jeszcze zanim zaczniesz się oskarżać, bo nieskończenie dobry i miłosierny, bo to On sam tę przypowieść na pociechę ludziom opowiedział.

W ubiegły czwartek odbyła się Komunja św. generalna. W środę spowiadałem przez cały dzień do godz. 11½ w nocy. Wyspowiadały się z niewielu wyjątkami wszystkie katoliczki.

Wrażenia nadzwyczajnego z Komunii św. wspólnej nie zapomnę nigdy.

Były między niemi takie, co spowiadały się wogóle pierwszy raz w życiu, co były pierwszy raz u Komunii św. Były takie, co w czasie spowiedzi przychodziły do kaplicy i uciekały, bojąc się spowiedzi, nie mogąc się na spowiedź zdecydować. Łamały się same z sobą, ale ostatecznie przelamały wszystko i odbyły spowiedź, uszczęśliwione potem, że się na ten krok zdecydowały.

Widziałem wtedy cuda łaski Bożej na tle bezdenne go nieszczęścia i nauczyłem się rozumieć wiele rzeczy. Byłem oszołomiony wprost naocznymi dowodami bezgranicznego miłosierdzia Bożego. Zdawało mi się wtedy, że nie jestem na ziemi, ale gdzieś bliżej nieba, gdzie mi Pan Bóg pozwala przypatrywać się z bliska Jego przedziwnym rządóm w duszach ludzkich.

Dęb lin, 27. kwietnia 1918.

Od połowy kwietnia przejeżdżają przez Dęb lin transporty z jeńcami, wracającymi z niewoli w Rosji. Dęb lin jest pierwszą stacją austriacką od Brześcia i Dynaburga, skąd powracający przyjeżdżają, dlatego przyjmuje się te pociągi uroczyste, z muzyką wojskową, z deputacjami oficerów i żołnierzy. Każdy transport zatrzymuje się tu conajmniej przez dwie godziny.

Z powracających jedni są zupełnie zdrowi, drudzy chorzy, czasem nawet obłożnie. Ci pozostają w Dęblinie w szpitalu, póki nie nabiorą sił

do dalszej jazdy. A niejeden już skończył swą drogę powrotną na cmentarzu dęblińskim.

Kto jednak może, wychodzi z pociągu, następuje rozmowa, witanie, opowiadanie. Ciekawe są te dorywcze opisy niewoli w najrozmaitszych miejscowościach i warunkach.

O ile mogę, wychodzę na dworzec i rozmawiam z żołnierzami i oficerami. Jak to inaczej teraz wygląda wszystko, niż owe pierwsze transporty wojskowe, jadące w sierpniu 1914 w stronę Galicji! Ile tam było zapału, krzyków, pewności siebie! Dziś wracają po czterech latach ci sami ludzie do domu, ale jacyż inni, zupełnie inni!

Wczoraj przygotowałem na śmierć chorą ze szpitala dla kobiet. Straszne to było. Nie ma jeszcze 20 lat. Kończyła pensję, pochodzi z większego miasta w Królestwie. Zmarnowane życie. Gnije za życia. Z ust gnijących rozchodzi się straszna woń, od której człowiekowi mdło się robi. A spowiedź trwa długo, bo nieszczęśliwa chce powiedzieć szczerze wszystko, a co kilka słów płynie cuchnąca flegma.

Kończy młode życie w męczarniach. W pogoni za złudnem szczęściem, za użyciem, stoczyła się na same dno nędzy.

Oby przynajmniej dusza została uratowana! Dla duszy, póki życia stać, nigdy za późno. To całe szczęście nasze i całe szczęście takich biednych, jak ona. Z radością zgodziła się ofiarować swą mękę i konanie Sercu Jezusowemu za nawrócenie innych, podobnych do siebie zbłąkanych istot.

Dęblin, 2. maja 1918.

Wezwano mnie dziś do szpitala na dworcu, bym zaopatrzył ciężko rannych.

Przyjechał transport inwalidów, żołnierzy austriackich, prosto z Petersburga.

Ten, do którego zostałem wezwany, to tylko cień człowieka. Na pierwszy rzut oka widać, że suchoty toczą jego organizm. Błady, chudy, wycieńczony, skóra na nim wprost przezroczysta, oddycha z trudem. Ma nadto w boku wielką ranę od szrapnela, ciekącą ciągle i otwartą. Jest to Bośniak, katolik, od roku 1915 w niewoli. Teraz po trzech latach nareszcie między swoimi, już na wolności, a jednak kto wie, czy wróci do matki. Zdaje się, że tu u wrót swej ziemi rodzinnej zakończy życie.

Obok niego młody człowiek, nieźle wygląda, powiadają że ślepy. Zbliżam się do jego łóżka — istotnie na obu oczach chorego bielmo. Pochodzi z Galicji, z Sanoka, ma 23 lata. W domu pozostali rodzice i siostry. Jako jeńiec pracował w cukrowni rosyjskiej. W fabryce był często upały, a baraki zimne, nieopalone. Nabawił się szalonych bólów głowy, potem róży, a że nikt się nim w chorobie nie zajął, stracił wzrok zupełnie.

Drugi również ślepy, to Wiedeńczyk. Kula przeszła z boku przez obydwa oczy i nos. Pokazał mi ranę pod opatrunkiem. Twarz zeszepecona strasznie, a zamiast oczu okropne, krwawe oczodoły. Opowiadał mi, jak z początku zawsze płakał, kiedy sobie uprzytomnił, że ślepy — obecnie już pogodził się z wolą Bożą.

Dalej leży Czech, lat może 40, sparaliżowane ma obie nogi. Dostał się do niewoli koło Równego w 1916 roku. Jako ranny przebył cały czas w szpitalach, zjeździł w ten sposób całą Rosję i Syberję. Z jednego szpitala posyłano go do drugiego. W Omsku, jak opowiadał, zmarło w szpitalach w czasie zimy na tyfus i cholere do pięciu tysięcy jeńców. Warunki sanitarne były fatalne, obchodzenie się z jeńcami nieludzkie. Z początku dawano nawet nieźle jeść, ale od wybuchu rewolucji coraz gorzej. W końcu dawano w Petersburgu tylko ćwierć funta chleba dziennie i zupę z ryb. Wiadomości z domu otrzymał dwa razy, choć sam wysłał do domu, jak mówił, przeszło dwieście kartek i listów. W domu jest siedmioro drobnych dzieci, a o żonie napisała siostra, że odeszła z domu i poszła niewiadomo dokąd.

Największe wrażenie zrobił na mnie inwalida Niemiec z zachodnich Węgier. Żonaty, ma troje dzieci. Kompletnie sparaliżowany, formalnie powykręcany, pokrzywiony w okropny sposób. Usta, oczy, nos, ręce, tułów wykrzywione. Mówi, a raczej szepleni z wielką trudnością. Pracował na Woldze na różnych statkach, ciągle nad wodą i w wodzie. Nie mając porządnego ubrania, zaziębił się kilka razy i doszedł do takiej okropnej ruiny całego organizmu.

Dęblin, 3. maja 1918.

Z żołnierzami wraca także sporo oficerów. Tygodniowo przyjeżdża trzy, cztery pociągi. Z dawnego munduru wojskowego niewiele zostało.

Większość ubrana po cywilnemu, w rosyjskich czapkach i baranicach kozackich.

Opowiadania oficerów i żołnierzy odmienne naturalnie w szczegółach, pozwalają naogół wytworzyć sobie obraz stosunków obecnych w Rosji.

Z początku nie było jeńcom źle, ani oficerom, ani żołnierzom. Zależało to przeważnie od komendanta obozu — różni różnie traktowali jeńców. W każdym razie można było wytrzymać, bo najważniejsza dla każdego jeńca rzecz — wikt — nie był zły, a swobody było także względnie dość dużo. Nawet za rządów Kiereńskiego było jeszcze co jeść. Obecnie od czasu, kiedy bolszewicy objęli rządy, jest w Rosji bieda i wielka nędza. Dużo jeńców, zresztą zdrowych, umiera z głodu, o ile nie chcą rozbijać i kraść. Wielu jeńców, nie mając innego wyjścia, wstępuje do czerwonej gwardji bolszewickiej i bierze udział w walkach i napaściach, oraz okrucieństwach bolszewickich. Miesięcznie dostaje się za to trzysta rubli, mundur, wikt, karabin i ładunków ile trzeba.

Pokazywano mi chleb, przywieziony z Moskwy. Jest czarny, ma tę zaletę, że nie ma żadnych domieszek. Ale też bochenek trzykilogramowy kosztuje 40 rubli, czyli 120 koron. Tylko w Syberji jest jeszcze względnie tanio.

W szpitalach rosyjskich żywią chorych jeńców głównie kapustą, kaszą jaglaną i zupą z kapusty lub ryb. Bolszewicy dali żołnierzom-jeńcom swobodę. Przez jakiś czas wolno im było jeździć

kolejami, tramwajami zupełnie bezpłatnie, dokąd kto chciał. Od miesiąca trzeba kupować bilet jazdy, ale kontroli niema żadnej. Tem tłumaczy się masowe przechodzenie jeńców przez front rosyjski od stycznia 1918 roku.

Po stronie austriackiej i niemieckiej spotyka ich jednak przykre, nieoczekiwane rozczarowanie. Nie wolno im bowiem wracać wprost do domu. Są rejestrowani i trzymani w obozach we Lwowie, w Kowlu i w Białej. Zaś Polaków z wojska rosyjskiego, wracających do Królestwa, przetrzymują Austriacy w barakach we Lwowie, a Niemcy w Skalmierzycach w Poznańskim, tworzą z nich oddziały robotnicze i wysyłają w głąb Austrii, względnie Niemiec.

Narazie rządzi w Rosji czerwona gwardja bolszewicka, a właściwie motłoch z kilkunastu sprytnymi żydami »jewrejami« na czele, i jeńcy, którzy do tej gwardji wstąpili. Lud wiejski ma na rządy »żołniersko-włściańskie i robotnicze« mały wpływ, ale i on rozagitowany i podniecony nadzieją podziału ziemi, niszczy, morduje i grabi w jakimś obłądzie i masowym szale bezrozumnym. Wygląda to wszystko jakby jakaś straszna kara Boża dotknęła ten kraj. Niedość im było wojny, niszczą i zabijają siebie samych.

Najwięcej wraca z Rosji obecnie Węgrów i Niemców austriackich. Widocznie zaopiekowano się nimi najbardziej i im przedewszystkiem władze bolszewickie, w zamian za pokój brzeski, ułatwiają powrót. Naogół wszyscy zadowoleni, że jadą do kraju — wszyscy jednak pytają: co będzie dalej?

Dęblin, 9. maja 1918.

Jak różnie traktowano jeńców w różnych okolicach i obozach w Rosji, tego dowodem fakt, że mieszkali często w marnych domach poza miastem, okna były zakratowane i zaopatrzone drutem kolczastym i nie wolno było stamtąd ani na krok się ruszyć bez »karaulnego« żołnierza z karabinem. Tak było n. p. w Stawropolu.

Czasem trzymano oficerów, a nawet kapelanów wojskowych, osobno i traktowano jako jeńców. Ks. Stan. Gawęł, kapelan wojskowy, wzięty do niewoli rosyjskiej w 1914 r., został zesłany do Atbazar w Syberji. Stale przed jego mieszkaniem stał żołnierz z najeżonym karabinem, nie wolno było z nikim rozmawiać ani wychodzić. Na przechadzkę pozwolono ks. Gawłowi wychodzić tylko na godzinę dziennie i to jedynie w towarzystwie żołnierza rosyjskiego. Przez pięć miesięcy nie miał możliwości odprawienia Mszy św., jak pisze w sprawozdaniu do biskupa polowego. W Kokczetawie wtrącono ks. Gawła do więzienia, gdzie przesiedział trzy miesiące w jednej celi z cywilnymi bandytami i zbrodniarzami kryminalnymi. Wszelkie protesty nic nie pomagały, dopiero rewolucja przyniosła ulgę i odesłano go jako inwalidę przez Petersburg i Szwecję do domu.

W przeciwieństwie do tego ohydneho obchodzenia się z jeńcami, opowiadają wracający rzeczy, wyglądające raczej na twór fantazji lub bajkę, przypominające owe osady Potemkina.

Świeżo słyszałem opowiadanie oficera, który dostał się do jednego z miast koło Uralu. — Piszę

tak jak mi opowiadano. — Pułkownik komendant obozu jeńców i baraków, których wcale nie było, przywitał jeńców bardzo sympatycznie i zażądał od nich, aby wybrali co wola, czy zamieszkać w barakach, któreby trzeba dopiero wybudować, a któreby drogo kosztowały, czy też osobno w mieście, w swobodnie wynajętych mieszkaniach. W takim razie otrzymaliby co miesiąc po 8 rubli na mieszkanie, prócz 50 rubli gaży, która im się jako jeńcom należy. Naturalnie wszyscy oświadczyli się za mieszkaniem w mieście. Tak było przez trzy miesiące. Po trzech miesiącach oświadczył pułkownik, że już nie będzie wypłacał po osiem rubli na mieszkanie, a komu się to nie podoba, ten pójdzie do baraków. Cóż mieli jeńcy robić? Płacili mieszkanie z własnych funduszków, bo to, co im się należało, zabierał pan pułkownik.

Zdarzyło się, że zapowiedział inspekcję obozu jeńców i baraków sam pan generał. I na to znalazła się rada. Wyewakuowano spory dom podmiejski, ubrano w zieleń i festony i pan generał był zadowolony. Uważał jednak, że dom, w każdym razie, za mały na kilkudziesięciu jeńców. Na pytanie, czy jest jeszcze drugie pomieszczenie, odpowiada pułkownik, że jest, ale daleko poza miastem. Obwozi następnie generała różnymi ulicami miasta i zajeżdża ostatecznie z drugiej strony do tego samego domu, z którego tymczasem usunięto wszelkie dekoracje. Pułkownik zwraca nawet uwagę generała na jednakowe rozmieszczenie pokoi i rozmiary domu. Oczywiście wszystko podobało się nadzwyczajnie, pułkownik otrzymał

pochwałę i zatrzymał sobie pieniądze za niewybudowane baraki.

Podobnych historii można nasłuchać się bezliku od powracających z Rosji. Nam wydaje się to nieprawdopodobne, a jednak w Rosji kradł każdy na prawo i na lewo. Pensje były stosunkowo niskie, szukano więc dochodów ubocznych. Zresztą wojna i idąca z nią ręka w rękę demoralizacja sprzyja tego rodzaju objawom, nie tylko w Rosji, ale i u nas, co ze zgrozą nieraz już mogłem skonstatować.

Nic też dziwnego, że ostatecznie doszło w Rosji do takich strasznych przewrotów, jakich jesteśmy dziś świadkami. Bo wszędzie tam, gdzie wszystko jest sprzedajne, nieuczciwe, gdzie cały porządek gnije i pleśnieje, tam zaszczerpiona rewolucja musi przyjąć się szybko i łatwo i prowadzić do ogólnej katastrofy.

To stało się powodem klęsk militarnych Rosji, pomimo pierwszorzędnego materiału ludzkiego, pomimo stanowczej przewagi liczebnej nad nieprzyjacielem, to powoduje w rezultacie dzisiejszy rozkład Rosji.

Tak dzieje się wszędzie, gdzie każdemu ojczyzną jest kieszeń i własny żołądek, gdzie myśli się tylko o sobie.

Tak dzieje się tam, gdzie nikt nie nauczył się cierpieć, gdzie nikt nie chce ponosić ofiar dla Ojczyzny.

Obyśmy to jako naród zrozumieli i zawsze o tem pamiętali!

Materjalizm, egoizm był, jest i będzie zawsze i wszędzie wrogiem Ojczyzny.

Dęblin, 11. maja 1918.

Nareszcie udało mi się spotkać kilku powracających z niewoli rosyjskiej oficerów-Polaków.

To, co ci wracający jeńcy opowiadają, przypomina mocno rewolucję francuską z przed 120 lat.

Lenin zniósł w Rosji wszelkie prawo. Tam dziś wszystko wolno. Wolno grabić, zabijać, mordować.

Idzie ktoś ulicą, ma lepszy płaszcz; podchodzi do niego dwóch gwardzistów, często samozwańczych, zatrzymują przechodnia i pytają, ile dał za płaszcz. Ten odpowiada n. p. 300 rubli. Wtedy gwardziści oceniają sami płaszcz — teraz kosztuje on 900 rubli, dawaj 600 rubli! I albo właściciel daje żądane pieniądze, albo płaszcz jego ulega konfiskacie.

Spotykają drugiego, zmuszają do kupienia rewolweru. Ten kupuje, bo gdyby się bronił, oskarżą go, że jest kontrrewolucjonistą, burżujem i wrogiem ludu. Wtedy ci, co sprzedali, znikają, a w chwili później podchodzą inni, przeprowadzają rewizję, a znalazłszy rewolwer, aresztują, lub zmuszają do wykupienia się łapówką od aresztowania.

Pewnego dnia prowadziło dwóch żołnierzy na śledztwo byłego szefa sztabu generalnego Januskiewicza. Nazajutrz pojawił się w gazecie komunikat, że go musiano w drodze zastrzelić, bo Januskiewicz chciał uciec. Dochodzeń nie było żadnych.

Pułkownika Mościckiego męczyli bolszewicy w zwierzęcy sposób. Powoli, z wyrafinowaniem, przebijano go i przybijano bagnetami do ziemi, póki nie umarł w strasznej męce.

Darcie z oficerów skóry pasami zdarza się dość często. Złapano jakiegoś generała, osądzono w jednej chwili na śmierć. Musiał zdjąć zupełnie ubranie, potem natłuczono szkła i kamieni i kazano boso chodzić po tem szkle, do tego uderzać mocno stopami, jak w czasie defilady.

Jeden z powracających opowiadał, że widział kiedy wyższego oficera tłum rozdierał żywcem, wśród nieludzkiego, straszego ryku męczonego, ryku, który trudno zapomnieć, taki był przerażający, tak wpił się w mózg i słuch.

A marynarze przywiązywali oficerom do nóg granaty i rzucali w morze.

Najwięcej prześladowaną kastą w Rosji są oficerowie, urząda się na nich formalne polowania.

Daje się to we znaki i oficerom jeńcom. Muszą kryć się z tem, że są oficerami, a ponieważ nie mają co jeść, sprzedają po ulicach gazety, zapalki i z tego się utrzymują. Często się zdarza, że żołnierze-jeńcy, spotkawszy na ulicy swego dawnego oficera, z którym mają dawne porachunki, denuncjują go w miejscowych komitetach rewolucyjnych. Komisarzem jest żołnierz zwykły lub bandyta, nożownik, kryminalista. Trudno u niego szukać sprawiedliwości i poczucia ludzkości. I taki oficer oczywiście stracony.

Żołnierzy nie napastuje nikt. To uprzywilejowana kasta, a o ile przyniesie poświadczenie ja-

kieś, że jest »internacjonal«, to ma dostęp do wszystkich godności bolszewickich.

Rosja stacza się w straszną przepaść. Przed nią widmo głodu, zapasów niema, a lud, czekając na podział ziemi, nie chce uprawiać roli.

Dziwna rzecz, taki wielki naród, a taki bierny! Nie wykazał ani odrobiny energji, ani woli w przełomowej chwili i pozwolił ujarzmić się grupce fanatyków, doktrynerów. Naród niewolników, za który myślał i działał car, a kiedy cara zabrakło, nie umie zjednoczyć się ku obronie własnej godności.

Wszyscy pytają, jak długo to jeszcze potrwa? Dużo nadziei pokładano w Korniłowie i Aleksiejewie, ale obaj obecnie rozbici doszczętnie. Narazie niema nadziei wyrwania Rosji ze strasznego kataklizmu. Zrzućnować, zburzyć łatwo, odbudować ciężko. Wszyscy lepiej myślący w Rosji uginają się pod terorem motłochu rewolucyjnego i powiadają, że im wszystko jedno, kto przyjdzie robić porządek. Niemcy, Francuzi czy Anglicy, byleby skończyła się ta wieczna obawa o własne życie.

My Polacy przecierpieliśmy dużo, przeszliśmy całą Golgotę za sprawę Rosji, w ciągu 150 lat ostatnich. Nie było u nas nigdy ani miłości, ani nawet szacunku wobec tego państwa, co brutalnie deptało nasze uczucia katolickie i polskie, a jednak dziś mimowoli budzi się pewnego rodzaju litość nad narodem, na którym tak dotkliwie i bezprzykładnie mszczą się błędy i krzywdy dziejowe.

Jeżeli kiedy, to dziś, patrząc na Rosję, musiemy uznać, że jest mimo wszystko Sprawiedliwość

dziejowa, mająca swe źródło w Sprawiedliwości Bożej.

I dziękujemy Bogu za to! To nasza siła w bezsilności obecnej i otucha.

Dęblin, 12. maja 1918.

Dziś zaraz po obiedzie telefonują ze szpitala dla kobiet, bym natychmiast przyszedł, bo jakaś prawosławna popełniła samobójstwo, żyje jeszcze, ale niewiadomo, co z nią dalej będzie. Nie moja »parafjanka«, ale idę.

Na sali zbiegowisko. Wszyscy tłoczą się koło łóżka, na którym leży blada i pokrwawiona, ale żyjąca jeszcze niedoszła samobójczyni.

Pytam się, co się stało, jak to było.

Wtedy opowiadają mi historję, która świadczy najlepiej o pobudkach, jakimi te osoby nieraz w życiu się kierują.

Zaczęło się od gry w karty; grają często dla zabicia czasu. Niedoszła samobójczyni nie miała dziś szczęścia i przegrała kilka razy. Podrażniona tem, powiada: »To coś znaczy, pewno mnie spotka jakieś nieszczęście.«

»Wiesz co — odpowiada druga na to — ja ci poradzę — idź powieś się, albo poderznij sobie gardło!«

I może w jakie pół godziny później znajdują ją koło studni zemdloną, zbroszoną krwią. Okazało się, że istotnie pod wpływem tych słów, powiedzianych zresztą żartem, wzięła w desperacji zwykły kozik i poderznęła sobie gardło, jednak niezbyt głęboko, bo nóż był tępy, a ona z po-

wodu bólu nie dokończywszy operacji, zemdląa. Przecięte miejsce lekarze zeszyli odrazu, obandażowali i pewno na tem cała historia się skończy.

Ten fakt ilustruje najlepiej psychologję tych nieszczęśliwych istot i zupełny u nich zanik woli.

Jeżeli nie chcemy, by nam społeczeństwo nasze, naród nasz zjadła i zgangrenowała rozpusta i różne choroby straszne, trzeba wyrabiać i kształcić w Polsce u wszystkich silną wolą i oprzeć to wychowanie woli na silnych, wymownych, przekonywujących podbudkach i podstawach, jakie daje jedynie religijność i wiara. Tylko wtedy wyda Polska wielkich ludzi i silne charaktery.

Dęb lin, 13. maja 1918.

Przyniesiono mi ze szpitala niewielką kartkę z napisem: »Todesfalleingabe — zawiadomienie o śmierci«.

Prosta kartka, a jak wymowna, ile zawiera w sobie tragizmu! Umarł powracający z Rosji inwalida. Na kartce napisane, że nazywa się Jan Husak, pochodzi z Niska, urodzony w 1876, żonaty, rolnik i że umarł na gruźlicę, której nabił się w niewoli rosyjskiej. Krótkie daty, a jak wymowne!

Dziś odbył się pogrzeb przed południem.

Tam z góry słońce cudnie przyświeca i grzeje, śle jasne skry promienne na budzącą się do życia ziemię. Droga sucha, równa, a wokół, gdzie okiem rzucić, życie na nowo się budzi. Na łąkach przydrożnych i polach zieleń przecudna zdobywa sobie prawo do życia, otula sobą drzewa, listki z

pączków rozwijając. Wszędzie w powietrzu czuć odradzające się życie. Jednostajna zresztą i nieciekawa płaszczyna, równina polska, dotychczas rozpaczliwie szara, nabiera życia w blasku wiosennego słońca, zdaje się wprost uśmiechać do każdego, kto umie i chce patrzeć i widzieć.

Wiosna! wiosna w całej swej pełni, ze swemi kwiatami i świeżością barw. Czuć już ciepło, które zdaje się podnosić z ziemi i wibrować nad nią.

A tam drogą z dworca na cmentarz wojskowy — pogrzeb powoli zdąża.

Na przedzie żołnierz niesie prosty krzyż czarny. Za nim oddział wojska, potem orkiestra wojskowa z Lublina, ksiądz, tuż przed wozem z czarną trumną. Za trumną niema z rodziny nikogo. Oni pewno o niczem jeszcze nie wiedzą, a choćby wiedzieli, to przyjechać tak trudno! Tylko kilku oficerów z Dęblińska i lekarze. To cały orszak pogrzebowy powracającego z niewoli rosyjskiej jeńca.

Pogrzeb opromieniony ciepłem radosnem ранego słońca w maju.

A ten w trumnie już nic nie widzi, o niczem nie wie. Skończyły się jego cierpienia, niewygody, bóle, skończyła się niewola. Wszystko, wszystko już poza nim. Minęło na zawsze — przeszło i więcej nie wróci.

Był na froncie, pełnił twardą służbę żołnierską, dostał się do niewoli. Gnany z jednego miejsca w drugie, ciągle strzeżony, pędzony z jednej pracy do drugiej, przetrzymał wszystko

wśród niewygód najstraszniejszych przez całe dwa lata, zdala od kraju, ojczyzny, od żony i dzieci.

Nareszcie wolny! Jakże mu serce biło na myśl, że ten pociąg, zdążający ku domowi, unosi go codzien, co godzinę bliżej i bliżej, że zawiezie go wnet do swoich! Wprawdzie w czasie jazdy dokuczał mu kaszel, duszność — wielkie osłabienie, ale to nic — on wraca po tylu miesiącach do ojczyzny, do wioski rodzinnej, pod rodzinną strzechę! Jeszcze dzień, dwa, a dojedzie. Potem pójdzie, pobiegnie raczej tą znajomą ścieżyną i miedzą do swej chaty, przytulonej do lipy, z bijącym sercem zapuka do drzwi, otworzy je i po tylu latach powie znowu: »Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!«

Boże, co to potem będzie! Zacznie się witać, ścisnąć, całować dzieci, żonę, rodzinę, za którą tyle się natęsknił i tyle namodlił! Chyba się popłaczą wszyscy z radości. Tak w myśli wszystko już naprzód przeżywa i widzi już teraz, jak będzie.

Tylko jeszcze dwa, trzy dni przetrwać. Trzy króciutkie dni. Troszkę więcej jak pięćdziesiąt godzin. Żeby tylko za Kraków dojechać.

Ale inaczej Bóg dopuścił. Zupełnie inaczej.

Śmierć bezlitosna, nieubłagana stanęła wpoprzek drogi. Dotąd — ani kroku dalej! I tu znalazł ojczyznę, tu znalazł przytułek i ostatnie mieszkanie. Tu w Dęblinie skończyły się marzenia wszystkie, wizje, nadzieje.

I mimowoli pyta się człowiek samego siebie: poco tyle nadziei, poco tyle wiary, czy tylko dlatego, by wszystko miało znaleźć swe zakończenie tragiczne w grobie, w dalekiej ziemi?

Odczuwa się rosnący głęboko w duszy bunt i współczucie głębokie, odczuwa się całą tragedję biedaka zmarłego u progu nowego szczęścia, lepszej doli.

I staje tu w całej pełni i grozie przed nami stary jak świat, jak ludzkość, problem zła i cierpienia. Poco człowiek tyle cierpi, jakże Bóg może na to pozwolić?

Ale na to pytanie nie znajdzie człowiek jasnej odpowiedzi tu na tym świecie, tylko tam w świetle i jasności pozagrobowego świata, tam, dokąd odszedł ten, co leży dziś na wozie, w tej czarnej, prostej trumnie.

Tam zrozumie każdy, poco i naco go los bi-czował tyle i tak boleśnie smagał, poco i naco przeniósł, przecierpiał tyle tęsknoty niezaspokojonej nigdy, tyle obaw, krzywd, ciosów, kalectwa, niedostatku i głodu w czasie tej strasznej wojny obecnej.

Światło tego świata za słabe, za nikłe, by mogło wyświetlić wszystko zupełnie jasno. Trzeba na to światłości wiekuistej, tej, do której przeszedł nasz biedny jeniec.

On tam już poszedł po nagrodę za wszystko, co tu przeżył, przeboleł, przecierpiał, za wszystkie niespełnione tutaj nadzieje, za mękę całego życia. On zrozumiał już słowa Ducha św.*): »bo

*) Izajasz 55, 8.

moje myśli nie są myślami waszemi, a moje drogi nie są drogami waszemi; o ile niebo wyższe jest od ziemi, o tyle myśli moje są ponad myślami waszemi.«

I my też już powoli zaczynamy wszyscy rozumieć te głębokie słowa. Inaczej przedstawialiśmy sobie przed czterema laty całą wojnę; inaczej — zupełnie inaczej ona dziś wygląda, innemi drogami poszła. Nie mieliśmy pojęcia, co nam przynieść może, nie spodziewaliśmy się, że potrwa tak długo, że ogarnie cały świat, że będzie taka straszna. Inaczej roilo się nam wszystko, a inaczej się teraz układa. Jakże inaczej szli na wojnę ci, co dziś z niewoli wracają! Wszystko inaczej, inaczej, »bo moje myśli nie są myślami waszemi, a moje drogi nie są drogami waszemi«.

I ten biedny zmarły jeniec czego innego się spodziewał do ostatniej chwili. Zato tam — za grobem, nic się już nie zmienia, tam wszystko na wieki niezmiennie, zawsze pewne, zawsze stałe.

W tem nasza pociecha i otucha, gdy nam źle i ciężko, gdy przychodzą zawody, osobiste lub narodowe i ogólne, gdy widzimy, że wszystko idzie woprzek nadziejom, myślom i planom.

I tym, co nas dziś krzywdzą i nam samym, zawsze i wszędzie przypomina Bóg: »o ile niebo wyższe jest od ziemi, o tyle myśli moje są ponad myślami waszemi«.

Szczęście, dobrodziejstwa Boże idą do nas zwykle inną drogą — nie tą, którą im wyznacza krótkowidzący człowiek.

Dęblin, 25. maja 1918.

Kończy się maj — był nadzwyczaj gorący. Od świąt wielkanocnych, czyli od pierwszych dni kwietnia, nie było deszczu. Posucha, brak wody, trawa spalona, zasiewy nieszczęśliwie wyglądają. Wszędzie modlono się o deszcz.

Obecnie umysły zajęte »pogłębianiem przy-
mierza austriacko-niemieckiego«. Reakcja coraz
większa. Niemcy podnoszą daleko idące żądania.
Urządza się liczne zgromadzenia, domagające się
ukrócenia swawoli słowiańskiej, praw wyjątko-
wych i przyłączenia Austrii do Niemiec.

Zwycięstwa niemieckie na zachodzie, posu-
wanie się Niemców ku Amiens, zdobywanie rów-
nocześnie ogromnych obszarów w Rosji, owład-
nięcie Jekaterynosławia, Rostowa i Krymu, pokój
świeżo podpisany z Rumunją, to wszystko dodaje
Niemcom niebywałego tupetu i pewności siebie,
sądzą, że zawładną połową Europy. O Polsce już
nie myślą — zresztą dla Polski niema już miejsca,
bo na mapie, gdzie okiem rzucić, będzie tylko
wszędzie Deutschland, Deutschland über alles.
Na Ukrainie rozbrojono drugi korpus polski gen.
Osińskiego, a chodzą słuchy w Warszawie, że
Niemcy chcą rozbroić także korpus Dombora Mu-
śnickiego. Zaprzeczają tym pogłoskom, ale łatwo
zrozumieć, że Niemcom ten korpus bardzo nie na
rękę. Narazie załatwiają się z grupami mniej-
szymi.

Przed kilku dniami rozmawiałem w Dęblinie
na stacji z oficerem z korpusu Muśnickiego. Prze-
jeżdżają dość często przez Dęblin. Krój munduru

rosyjski, płaszcz długi brązowy, na lewym ramieniu skośny pasek srebrny, czapki płaskie okolone amarantową przepaską, na czapce orzeł polski, szable długie rosyjskie, spodnie z czerwonymi lampasami.

Opowiadał ów oficer, że dyscyplina u nich wzorowa. Muśnicki trzyma wszystko swoim osobistym autorytetem, jest popularny i lubiany. Bolszewizmu w korpusie niema. Korpus zajmuje i zarządza obszarem, równającym się jednej trzeciej Królestwa. Nazywają to Dowborją i są przekonani, że ten obszar, wbrew układom w Brześciu, będzie należał do Polski.

Dęblin, 30. maja 1918.

Dziś Boże Ciało. W Dęblinie nabożeństwo jak w zwykłe niedziele i święta, bez procesji, bo brak potrzebnych urządzeń. Drugą Mszę św. odprawilem w szpitalu dla kobiet. Obecnie strajk drukarski w Krakowie i w Warszawie, polskich gazet widzi się mało, przychodzą w niewielkiej liczbie cieszyńskie i lubelskie.

Zdaje się, że zaczęła się nowa ofenzywa niemiecka, zdobyto na froncie zachodnim Chemin des Dames, wzięto coś 13.000 żołnierzy do niewoli. Przeważa zdanie, że to najpotężniejszy wysiłek ze strony Niemców, by jeszcze przed nadejściem poważniejszych sił amerykańskich rozbić armję angielską i francuską. Tak samo zaczyna się większy ruch na froncie włoskim nad Piawą.

W niedzielę zostałem wezwany do Łukowa, w okupacji niemieckiej, by pogrzebać żołnierza

z armji austriackiej, zmarłego w drodze powrotnej z Rosji. W Łukowie jest siedziba gubernatora, generała niemieckiego. Przesadzano się w grzeczności dla mnie, aż mi się nieprzyjemnie robiło, bo zresztą wiedziałem, że to nieszczere, znają mnie z Dębina, wiedzą żem Polak.

W poniedziałek rano po odprawieniu Mszy św. w kościele parafjalnym zwiedziłem miasto z adjutantem gubernatora. Miasto jak wszystkie polskie prowincjonalne, kamienic niewiele, większość domów drewnianych. Jest sporo ogrodów, co nadaje miastu miły wygląd. Bruki nieszczerólnie, sklepy żydowskie, jeden obok drugiego. Dwa kościoły, parafjalny i po-bernardyński, a w stronie dworca niewielka cerkiew prawosławna.

Po pogrzebie, w którym wzięło udział dużo oficerów i kilka oddziałów wojska pruskiego z orkiestrą, pokazał mi gubernator oryginalny pomnik zbiorowy dla poległych na terytorjum gubernji, mianowicie sporą kaplicę, której ściany wyłożono od góry do dołu tabliczkami z nazwiskami poległych.

Dęblin, 8. czerwca 1918.

W sobotę zapowiedziano transport inwalidów z Petersburga, na kwadrans przed pierwszą po południu.

Wychodzimy gremjalnie na dworzec. Budynki udekorowane chorągwiami i zielenią. Oddział wojska z karabinami jako deputacja honorowa.

Dalej muzyka wojskowa, umyślnie sprowadzona z Radomia.

Za drutami, otaczającymi dworzec, pełno żydów. Jest szabas, świętują i pchają się tłumnie na dworzec na wiadomość, że przyjeżdża pociąg prosto z Rosji.

Dość silny wiatr trzepocze wywieszonemi sztandarami, podrzuca zielen i podnosi pył czarny z placu poprzecinanego szynami, zmiata śmiecie i brud niesłychany na prymitywnie urządzonym dworcu dęblińskim. Z boku dolatuje krzykliwy szwargot żydowski i wzajemne nawoływanie się różnych Rifke, Mojsze i Szmulów.

Punktualnie w oznaczonym czasie zajeżdża od granicy okupacji niemieckiej pociąg osobowy, ozdobiony chorągiewkami austriackimi i węgierskimi. Słychać komendę: »Habt acht! Links schaut!« Równocześnie kapelmistrz daje znak i orkiestra gra hymn państwowy austriacki.

Wszyscy salutują nadjeżdżający pociąg, póki nie umilkną dźwięki hymnu.

Potem wychodzi z pociągu najstarszy rangą oficer, wracający z niewoli, generał lub jakiś sztabowiec, za nim inni, — następuje wzajemne przedstawienie się, witanie i rozmowa. Tymczasem muzyka gra różne pieśni, a równocześnie wynoszą z pociągu bardziej słabych i chorych do szpitala na dworcu, t. zw. »Krankenhaltsstation«. Kto może, pisze do domu, lub depeszuje, że wraca, a potem wypytuje się o wiadomości z »Hinterlandu«, oraz opowiada, co przeszedł i przecierpiał w Rosji.

W sobotę przybyło koło stu oficerów, prze-
ważnie Węgrów, a do tysiąca żołnierzy. Poubie-
rani rozmaicie, najdziwaczniejsze kombinacje
mundurów rosyjskich i austriackich. Zwracają u-
wagę zielone ubrania sportowe z bardzo porzą-
dnego sukna. Jak mnie objaśniono, jest to sukno,
przemycane z Chin przez jeńców, którzy prze-
bywali w Syberji, na granicy chińskiej.

Z transportem sobotnim przyjechał młody je-
szcze lekarz wojskowy z okolic Lincu. Był w nie-
woli przeszło dwa lata. Suchoty w ostatnim sta-
djum — uosobiona śmierć. Dziwna rzecz, że prze-
trzymał taką podróż. Jechał z nim bardzo sympa-
tyczny lekarz z Budapesztu, także inwalida, oraz
pielęgniarka Rosjanka. O doktorze opowiada-
no, że dzięki swej niezwyklej energii wy-
dobył schorowanego swego kolegę z Irkucka i
od tego czasu, przez sześć miesięcy, nie odstępuje
go na krok. A pielęgniarka, która ma sama syna
20-letniego, postanowiła za wszelką cenę dowieźć
chorego do domu, do rodziców, by potem wrócić
znowu do Rosji.

Byłem u chorego — leżał jeszcze na noszach
w pokoju, który mu przeznaczono. Wymęczony do
ostatnich granic, mówił tylko szeptem. Podszedłem
do niego z pewną troską i obawą, czy uda mi się
go wypowiedać i przygotować na wszelkie ewen-
tualności. Z doktorami zawsze ciężko idzie w ta-
kich razach, bo albo bagatelizują swą chorobę,
albo popadają w rozpacz i zupełną depresję.

Poszło jednak wszystko nadspodziewanie.
Ten człowiek nie ludził się wcale co do swego
stanu.

W pierwszej chwili wziął mnie za doktora. Powiedziałem, że moja specjalność, to dusze, bo jestem księdzem. Wtedy bez jakiegokolwiek zache-ty z mej strony polecił obecnym wyjść z pokoju i zaczął się spowiadać.

Po spowiedzi rozmawiałem z towarzyszącym mu doktorem i pielęgniarką. Oboje twierdzili, że nie pojmują, skąd w tym człowieku tyle siły i odporności. Przypisywali to zgodnie tej gorączkowej, silnej woli zobaczenia choćby raz jeszcze swej ojczyzny, swego domu rodzicielskiego, ojca i matki. Tylko to jedno go podtrzymuje i ożywia.

Duch opanowuje schorowane ciało i każe mu czekać, przetrwać i żyć.

Kiedym wracał do domu, rozmyślałem nad tem codziennem a tak dziwnem zjawiskiem, czemu jednym tak łatwo pojednać się z Bogiem, a innych niepodobna wprost nakłonić do Sakramentów św.

Pewno, że to w pierwszym rzędzie tajemnica współdziałania łaski Bożej z wolną wolą. »Duch tchnie, gdzie chce.« Ile razy jednak zdarzyło mi się napotkać człowieka, u którego widoczne było niezwykle działanie Bożej łaski, to zawsze mogłem stwierdzić, że to był człowiek, co bliźnich kochał, co im dobrze czynił i wytrwale codzien- sobie jakąś, choćby króciutką tylko modlitwę do Boskiego Serca i Matki Najświętszej odmawiał.

Dęblin, 20. czerwca 1918.

Przed trzema dniami przywieziono do szpita- ta jeńca-legjonistę z drugiego pułku ułanów. Był przeszło dwa lata w niewoli na Uralu. Słuchacz

praw Uniwersytetu krakowskiego. Dziś tylko ruina — leży apatyczny, bez ruchu, patrzy wciąż przed siebie jakby nieprzytomny. Nie obchodzi go nic, co się dzieje naokoło niego i kto do niego przychodzi. Każde pytanie trzeba mu powtarzać po kilka razy nim zrozumie, nim coś szeptem odpowie.

Wychudzony, wynędzniały — znać suchoty i skorbut, podobny zupełnie do trądu. U obu rąk palce pokrzywione, poodpadały częściowo, tak, że wyzieraają z nich tylko kości.

Tak wygląda dziś legionista polski, wracający z niewoli.!

Ostatecznie z czasem przyzwyczajają się człowiek do widoku różnych chorób i rozmaitego kalectwa i ran, a jednak na widok takiego nieszczęścia, przygniatającego stałem długo cały wzruszony, stałem bez słów, przybity grozą nędzy i okropnego kalectwa.

Młody, inteligentny człowiek, lat 24, rokujący najlepsze nadzieje dla rodziców i Ojczyzny.

Poszedł za wspólnym porywem i zapalem, jaki ogarnął wówczas na początku wojny całe społeczeństwo, w owe pamiętne dni ogólnego zapalu, co wstrząsnął nami wszystkimi, przeleciał przez cały naród, odbił się tysięcznym echem po wsiach i miastach, ujął w swą moc czarodziejską wszystko, co żyło i czuło, jak donośny, czarowny głos złotego rogu, co do czynu wzywał i budził.

Poszedł pod sztandar Orła Białego, by wywalczyć Ojczyźnie wolność i prawo do życia, do bytu.

Poszedł z tysiącami innych, zniósł tyle biedy i niewygód, głodu i nędzy!

Myślał, że za swój czyn ofiarny doczeka się zapłaty, nagrody dla Polski. Chciał widzieć Polskę wolną, niepodległą, zmartwychwstałą, wiedział, że trzeba tu ofiar, trzeba czynu, bo bez nich nie będzie nic, nie będzie cudu.

A dziś — dziś dogorywa, umiera o parę kroków od nowej granicy, jaką zwycięskie mocarstwa przedzieliły całą Polskę, stwarzając w obu częściach własny swój porządek. A ci, co z nim byli, z nim walczyli lata całe, ci, których nie pożarła niewola, ani głód, ani mróz, ci daleko poza Polską — w Huszt i w Marmarosz Sziget, sążeni jako buntownicy, zbrodniarze, trzymani od miesięcy za drutami i po więzieniach, lub internowani na równi z jeńcami w Łomży, Szczypiornie. Inni jeszcze rozpierzchli się po stepach i dzikich polach Ukrainy, wylapywani i mordowani przez rozbestwione chłopstwo.

Miałyby to być likwidacja »czynu«, związanego z tylu ofiarami i z tak mocną wiarą?

Nie, to niemożliwe!

Każdy kamyczek maleńki, rzucony na płaszczyzną wód, wytwarza koła i fale.

Każda modlitwa wywołuje w Sercu Bożem oddźwięk i skutek.

Każda ofiara, do tego ofiara z życia, młodości, zdrowia musi przynieść prędzej czy później wynik, odpowiadający wielkości złożonej ofiary.

Czyż Ten na niebie, co rządzi światem, Ten, »który nas uczynił, i jest Panem i Bogiem na-

szym«, czyż miałyby nie widzieć, nie wysłuchać naszych próśb i »jęku krwi bratniej«?

Miałoby tyle cierpienie i bólu przebrzmieć bez echa w dziejach, utopić się w jakiejś nirwanie? Miałyby te wszystkie porywy szlachetne duszy ludzkiej być bez celu i sensu?

Nie, to niemożliwe! Tylko chyba jeszcze »nie nadszedł czas«.

I zdawało mi się, że jestem w jakiejś przegromnej świątyni cierpienia.

I ukląknęłam koło jeńca-legjonisty i modliłam się z głębi duszy, ofiarując go Bogu jako ofiarę za Polskę — jeńca-legjonistę, co umierał z głodu, w młodości, co wysechł z niedostatku, co mu ciało z palców podpadało, obnażając straszne kości.

Jeżeli już, Panie, nie chcesz patrzeć na nasze do Ciebie wzniesione grzeszne dłonie, to patrz, spojrzuj przynajmniej na te męczeńskie ręce, wołające o Twoją dobroć, Panie, i sprawiedliwość dla Ojczyzny naszej; popatrz na te do Ciebie zwrócone straszne kości rąk umierającego jeńca-legjonisty!

Dęblin, 27. czerwca 1918.

Odwiedzając dziś chorych w pociągu, wracającym z Rosji, znalazłem w dwóch wagonach żołnierzy warjatów. Zwarjowali w Rosji.

Stałem u wejścia do wagonu. Jedni chichotali, śmiali się, inni krzyczeli, darli się na głos lub bili pięścią o ściany. Kilku miało związane ręce i nogi, leżeli bezsilni, widocznie po ataku furji. Oczy nieprzytomne, lśniące jakimś dziwnym

blaskiem. Twarze mizerne, u niektórych zupełnie żółte.

Kiedy mnie zauważyli, jedni zaczęli się śmiać, inni płakać, ktoś zerwał się, krzycząc: nie bić, nie bić! Jeden zaś rzucił się przedemną na ziemię, ujął za nogi i zaczął z furją gryźć moje buty.

Wyszedłem z uczuciem wielkiego smutku i przygnębienia. Dla tych, jako ksiądz, prócz modlitwy i błogosławieństwa, nic nie mam. Tym biedakom nie pomóc, w niczem ulżyć nie mogę.

To chyba najbiedniejsi z biednych. Wegetują tylko — nie żyją.

Dęb lin, 10. lipca 1918.

Wczoraj przeżyliśmy na dworcu wzruszającą scenę. Przy jednym z oddziałów wojskowych w Dęblinie był stary już żołnierz, Węgier, zajęty tam jako szewc. Był kilka dni temu u mnie i skarżył się, że wszyscy wracają, wszyscy jada, a jego syn, zabrany jeszcze przed czterema laty do niewoli, ciągle tam gdzieś daleko i niewiadomo, czy wogóle żyje. Pocięszalem biedaka jak mogłem, poleciłem mu odprawić Nowenną do Matki Najśw.

Byłem wzruszony wytrwałością, z jaką ten biedny żołnierz codzien wychodził na dworzec szukać syna między powracającymi. Nie przypuszczałem, że nadzieje ojca tak prędko się ziszczą.

Dziś stoimy na placu kolejowym, muzyka gra, zajeżdża długi pociąg. Naraz słyszymy w węgierskim języku głośne: atya, atya! ojcze, ojcze! —

Tam z wagonu wyskakuje młody jeszcze, ale bardzo wymizerowany żołnierz i rzuca się na szyję swemu ojcu, memu znajomemu Węgrowi.

Plakali obaj z radości. To patrzyli na siebie, to rzucali się wzajemnie w objęcia i ściskali się po długiej tułaczce, rozłące. Pożegnali się tam gdzieś na Węgrzech przed kilku laty, a spotykają się w Dęblinie, obaj oszołomieni wprost nagłym szczęściem i radością.

Po wielu jeńcach, szczególnie oficerach, znać z rozmowy, że cierpią na rozstrój nerwowy, że z nimi źle. Brak zajęcia, mieszkanie gromadne, jednostajność i niepewność co będzie jutro, kiedy się to skończy, denerwuje szalenie i wyprowadza z równowagi. Są chwile, kiedy każdy ruch sprawia przykrość i boli.

Bo człowiek, choć może znieść dużo, znosi wszystko, tylko w miarę: i pracę i wysiłek i życie ogromnie czynne, albo zupełny brak zajęcia, spokój, bezczynność. Ale nadmiar jednego lub drugiego zawsze szkodzić musi — szarpie nerwy i w końcu zabija.

O przewrocie rewolucyjnym w Rosji te same hiobowe wieści. Coraz więcej dokucza wszystkim głód. Ukraina, skąd Rosja czerpała dawniej zapasy, jest obecnie z woli Austrii i Niemiec osobnym państwem i nie dostarcza Rosji niczego. Ziemia ukraińska żyzna, urodzajna, ale dziś zniszczona; zresztą Niemcy zabierają co tylko mogą. Dwory, folwarki poniszczone, zapasy, inwentarz zmarnowane, rozkradzione — niema czem pola obrobić, ani co zasiać. A chłopci uprawiają tyle tylko, ile im samym potrzeba, byle z głodu nie

umrzeć i byle starczyło na wódkę. Pijaństwo grasuje na Ukrainie w zastraszający sposób. Piją wszyscy — młodzi i starzy, godni potomkowie dawnej czerni hajdamackiej.

Smutne warunki życiowe w Rosji i na Ukrainie odbijają się przedewszystkiem na jeńcach, którzy nie mogli sami ani pracować, ani postarać się o żywność, tylko skazani byli na leżenie w szpitalach. Błogosławia też wszyscy wspaniałomyślną inicjatywę Ojca św. Benedykta XV, prawdziwego ojca krwawiącej dziś ludzkości, który nie mogąc nic wskórać w kierunku wzajemnych ustępstw i zakończenia wojny, stara się ocierać łzy najniezwyklejszym ofiarom wojny. Akcja wymienna inwalidów wojennych, to dzieło Ojca św. Wiedzą o tem jeńcy i są za to dzieło samarytańskie Ojcu św. bardzo wdzięczni.

Doniosłość akcji chrześcijańskiej Benedykta XV można najlepiej ocenić, przyglądając się tym licznym pociągom, zawierającym tylu cierpiących — tym cierpieniom ulżyć tylko może miłość i opieka w ojczyźnie, serca najbliższych, kochana ręka matki, żony lub dziecka.

Wszystkich trawi gruźlica i skorbut. Czasem ciało pokryte wrzodami od stóp do głów. Dziaśła nabrzmiałe, ciemnoczerwone; dotknąć się zębów, to wypadają.

Dziś pogrzebaliśmy aż siedmiu naraz, siedmiu biedaków, co przecierpieli tam w niewoli wszystko, co umarli tutaj u progu wolności, na drodze do domu. Siedem trumien czarnych, ubranych polnem kwieciami.

Każda z nich to osobna, zamknięta już historia życia tragicznego, smutnego nad wyraz. Jak to przykro, kiedy oni, umierając, marzą jeszcze o swym domu i pytają, czy prędko dojadą, czy to jeszcze daleko. Tam w domu tęsknią, a oni tu sami umierają, obcy między obcymi.

Spoczęli wszyscy w jednej mogile. Jak cierpieli razem, tak i razem legli. Jak złączyła ich śmierć do jednego wspólnego pogrzebu, tak wzniosła się nad nimi jedna mogiła wspólna, jeden wielki krzyż, symbol ich i naszego życia.

Ile to już takich trumien, ile mogił posiadała ta wojna!

Gdzie okiem rzucić, gdzie pojechać, pełno grobów, pełno cmentarzy wojennych.

A każda taka mogiła, to wielka krzywda, wyrządzona matce, dzieciom. O każdą polało się tyle łez, tam gdzieś w domu, o każdą tyle bólu bezsilnego i rozpaczny!

Jeszcze nigdy nie wił się świat w takich mękach, nigdy nie pławił się tak we łzach i krwi. Jakby ktoś dobijał ten świat cały i ludzkość, jakby ktoś miał tylko ten cel, by ją zniszczyć doszczętnie. A końca mimo wszystko nie widać. Owszem, rany coraz głębsze, coraz krwawsze, sposób uśmiercania coraz bardziej wyrafinowany.

Chwała Bogu, że wśród tego morza łez i krwi możemy my z krainy mogił i krzyżów klęknąć i dziękować Panu Bogu, żeśmy do tych krzywd i rzezi nie przyczynili się, nie sfabrykowali ani jednej kuli, żadnego pocisku, żeśmy nie umorzyli głodem ani jednego jeńca, nie zabrali nikomu ani jednej kromki chleba, ani jednej mor-

gi ziemi, żeśmy prześladowanymi a nie prześladowcami.

Nie mówimy tego Panie, by się wynosić nad drugich, lecz by przyśpieszyć Twoje nad nami zmiłowanie!

Dęb lin, 21. lipca 1918

Na zachodnim froncie ruszyli Niemcy, po kilkutygodniowej przerwie, do ataku i to w trzech kierunkach. Obliczone były te gwałtowne ataki przy pomocy gazów trujących i płomieni ognistych na skruszenie frontu francuskiego i posunięcie się na całej długości frontu, nietylko w kierunku Paryża, ale i Reims, Chalons i Verdun.

Tymczasem Francuzi rozpoczęli między Aisną i Marną kontratak. Przy pomocy tanków wdarli się do linii niemieckich, wobec czego wojsko niemieckie, które już po raz drugi w tej wojnie przekroczyło rzekę Marnę, wycofano na wschód od Marny i od Chateau-Thierry.

Komunikat francuski donosi, że oddziały francuskie, wspólnie z wojskami amerykańskimi, zaatakowały front niemiecki na przestrzeni 45 km, odzyskały więcej niż 20 wsi, wzięły 20.000 jeńców i znaczną zdobycz, między innymi ponad czterysta dział.

Dęb lin, 27. lipca 1918.

Praca w Dęblinie skończona. Otrzymałem z Lublina zawiadomienie o przeniesieniu mnie z dniem 1. sierpnia do Radomia, na stanowisko

kapelana komendy powiatowej — Kreiskommando.

Nie lubię zmian, przywiązuję się do miejsca, do ludzi, do pracy, przywykłem do Dębina, znam tu każdą drogę, każdą ścieżkę, nieledwie każdy kamień, przeżyłem tu dużo chwil miłych i najboleśniejszą — śmierć matki — mam tu dużo serc życzliwych, szczególnie w Borowinie u pp. Mierzejewskich, ale wobec ciągłych dysonansów między mną a komendą tutejszą, wobec utrudnień, jakie mam od pewnego czasu w pracy duszpasterkiej, wobec ciągle roztaczanej nademną kontroli, pożegnaj Dęblin z zadowoleniem. Zresztą Radom niedaleko.

R a d o m, 18. sierpnia 1918.

Sądziłem, że mi będzie ciężko wyjeżdżać z Dębina i opuszczać miejsce przeszło trzechletniej pracy. Jednak poszło wszystko nadspodziewanie łatwo i gładko. Na dworcu pożegnali mnie koledzy oficerowie. Przybyło też dużo dobrych, życzliwych ludzi z okolicy, żegnali bardzo serdecznie.

Z dużym bukietem kwiatów od Państwa Mierzejewskich z Borowiny opuściłem na zawsze Dęblin.

Do Radomia przyjechałem 8. sierpnia wieczorem.

Wszedłem w środowisko zupełnie mi obce, nieznane. Nie byłem nigdy przedtem w Radomiu, nie znam tu nikogo.

Wyznaczono mi kwatere tymczasową w Hotelu Rzymskim, w małym pokoiku od podwórza.

Tak mieszkać nie było można. Trzeba było pomyśleć o jakimś odpowiedniejszym mieszkaniu tem więcej, że w charakterze kapelana muszę tu prowadzić sprawy metrykalne wszystkich wojskowych powiatu radomskiego i ruch zapowiadał się duży.

Dotychczas też niewiele mogłem zrobić, bo całe dni schodziły mi na poszukiwaniu mieszkania. Nie łatwa to rzecz. Zraża wszystkich mój austriacki mundur, a serca im przecież pokazać nie mogę. Do tego dołącza się ogromny brak mieszkań, bo wszystko zarekwirowane oddawna przez władze wojskowe i przez powracających z Rosji »bieżeńców«.

Ostatecznie udało mi się wynająć mieszkanie przy ul. Lubelskiej 50 u Państwa Klimerów.

W czasie codziennych wędrówek po różnych ulicach Radomia szukałem śladów przeszłości, zapoznając się równocześnie z historją miasta, dawniej gubernjalnego, liczącego koło 70 tysięcy mieszkańców.

Niewiele dotąd o Radomiu słyszałem. Z czasów przedwojennych przypominam sobie kilkakrotne wzmianki w gazetach o zamachach przy pomocy bomb na różnych rosyjskich dygnitarzy, obecnie zaś widywałem Radom z pociągu na drodze do Dębłina.

Radom nie posiada prawie żadnych pamiątek z dawnych czasów. Jedynym zabytkiem, posiadającym patynę przeszłości, jest kościół i klasztor

po-bernardyński. Poza tem zatarto wszelkie ślady bądź co bądź niepośledniej historii miasta.

Radom znany jest już w XIII. w. Kazimierz Wielki bywał często w Radomiu, a Jagiełło gościł tu co roku w zamku królewskim, tak samo Kazimierz Jagiellończyk. W połowie XV. w. odbywają się tu sejmy, w r. 1481 i 1482 mieszkał tu św. Kazimierz, później Zygmunt I., Barbara Radziwiłłówna, Zygmunt August, później August II. Tu odbywały się trybunały, które trwały do 1764. Tu przebywał Pułaski, potem Kościuszko w 1894 roku. Od 1844 był Radom stolicą gubernji.

Kościółów ma Radom tylko trzy: Farny, po-bernardyński i nowy Marjacki. Jest i cerkiew prawosławna, wybudowana na pierwszorzędnym placu, dziś zamknięta. Jest jeszcze opuszczony kościół św. Trójcy, bliski zupełnej ruiny i są ślady kościoła na Starem Mieście, zamienionego dziś na szpital epidemiczny.

Pryncypalną ulicą jest ul. Lubelska, przecinająca miasto na dwie mniej więcej równe części.

Na pierwszy rzut oka brak miastu jakiegos wyrażnego zarysowanego charakteru. I domy i ulice mogłyby być częścią innego miasta, niekoniecznie Radomia — są szablonowe bez wszelkiej odrębności.

Zdaje się, że to samo można powiedzieć o mieszkańcach miasta Radomia. Niema typów specjalnie radomskich.

Stosunki służbowe możliwe. Komendantem powiatu jest Polak, generał Kwiatkowski, robi wrażenie człowieka rozumnego. Skład grona oficerskiego i urzędników wojskowych typowy au-

strjacki. Nie brak chyba żadnej narodowości. Mój stosunek do wojskowości naogół zresztą bardzo luźny.

Wczoraj mieliśmy tu uroczystości z racji urodzin cesarza Karola. Nabożeństwo w kościele Marjackim, potem obiad w gmachu gubernjalnym. Proszeni byli przedstawiciele ludności cywilnej. Nie przyszli jednak wszyscy. Zwraçała uwagę nieobecność prałata ks. Górskiego, proboszcza radomskiego. Zato był rabin tutejszy, co wszystkich niemile raziło.

Podczas obiadu szalała nad Radomiem burza z błyskawicami i piorunami, która spotęgowała się w czasie przemówienia gen. Kwiatkowskiego i toastu na cześć cesarza. Zrobiło się wtedy zupełnie ciemno, a ulewa wzmogła się do tego stopnia, że woda płynęła całą ulicą. Zły prognostyk.

Wogóle dzień wczorajszy był feralny, bo pod koniec obiadu doniesiono, że na podwórzu budynku gubernjalnego, w którym siedzieliśmy, utopił się, a raczej udusił gazami w studni jakiś chłopak. Rzeczywiście po jakimś czasie wydobyto kilkunastoletniego chłopca, który niewiadomo po co zeszedł po rurach wodociągowych w głęboko sklepioną studnię i tam się udusił.

Zepsuło to do reszty nastrój dnia. Nie pomogły nawet popołudniowe i wieczorne zabawy, urządzone przez żołnierzy w parku na Zamłynie.

R a d o m, 12. września 1918.

Obecnie przybył mi nowy dział duszpasterstwa — mianowicie duszpasterstwo więzienne.

W dawnym klasztorze SS. Benedyktynek, przy ul. Warszawskiej, istnieje więzienie, pozostające pod zarządem wojskowym. Tam w więzieniu przebywa kilkaset moich »parafjan«.

Poszedłem do nich z nabożeństwem. U bramy od ulicy posterunek. Klucze od drzwi, prowadzących do wnętrza, nosi przy sobie stale jeden ze straży wojskowej. Za temi drzwiami ciężka brama z grubych sztab żelaznych. Tu dopiero pojmuje się, co to jest swoboda, wolność, a co więzienie i pozbawienie wolności.

Wzdłuż długich korytarzy cele więzienne. Każda zaopatrzona w silne, mocne drzwi, w drzwiach małe okienko, zasuwane od strony korytarza. Przez to okienko bada dozorca więzienny, co więzień robi, co się w celi dzieje. Cele bez umeblowania, jedynym »meblem« to łóżko, a właściwie prycza, zbita z kilku desek.

Na końcu korytarza niewielka kaplica, w niej ołtarz, stół i szafa, konfesjonał — to wszystko. Więźniowie słuchają Mszy św. stojąc na korytarzu.

Niezmiernie przykre wrażenie czyni to wszystko, a w szczególności przykrem i przygnębiającem jest schodzenie się więźniów na nabożeństwo.

Ze wszystkich stron, z parteru, z piętra, z korytarzy, schodów słychać brzęk kajdan na nogach, wleczonych przez więźniów. Większość ich ma skute i ręce i nogi. Żeby w czasie chodzenia kajdany nie zdierały skóry z nóg i nie raniły ciała, podtrzymują je sobie więźniowie sznurkiem, trzymanym w ręku.

Za każdym krokiem więźnia, za każdym ruchem dzwoni to wszystko, tak przykro i złowrogo, nieludzko, że aż boli słuchać.

Są rzeczy, w które trudno się wsłuchać i przyzwyczaić. Do takich należy stuk i brzęk kajdan w czasie schodzenia się więźniów na nabożeństwo więzienne, na Mszę św.

Wielu z tych moich parafjan więziennych czeka wyrok śmierci, wielu z nich skazanych na dożywotnie więzienie.

Co do takich mówić, jak do nich przemawiać?

Chciałoby się wydobyć wszyściuteńko z duszy, wszystkie argumenty, całą gamę uczuć, by trafić do serca każdego.

Może są i ofiary przypadku, nieporozumienia jakiegoś, ludzie bez winy, ale stanowcza większość ma na sumieniu krzywdę, a często i życie ludzkie, ma ręce zbroczone krwią. U takich drzwi do duszy zatarasowane, wrzeciādze zardzewiały od lat wielu. A jeżeli tam przedostanie się promień łaski Bożej, to załamuje się i rozbija o chorą wolę, o oswojenie się z grzeszeniem i zbrodnią.

Ile to przyczyn na to się składa, że kogoś słusznie zakuwają w kajdany!

Nikt nie rodzi się z kajdanami na rękach, nikt nie rodzi się zbrodniarzem. Człowiek sam w sobie nie jest złym. Dopiero staje się nim często wskutek warunków, w jakich żyje, przez to, że pozwolił rozrósć się złemu w swej duszy, nie nauczył się nigdy jemu przeciwstawiać, stracił wolę i władzę nad sobą.

I ci moi parafjanie nowi nie byli odrazu zbrodniarzami. I oni byli kiedyś dziećmi, byli do-

brymi i mieli możność stać się ludźmi pożytecznymi dla społeczeństwa — dziś są wyrzutkami; dziś wzbudzają u wszystkich lęk i bojaźń, strach.

I oni mieli w swem życiu niejednen okres jasny, piękny. I do tych chwil chętnie teraz w swoich wspomnieniach wracają, wspomnieniami temi żyją i bronią się niemi przed pamięcią o tych kilku momentach czarnych, ponurych, które spowodowały odosobnienie ich od reszty ludzi i spowodowały tutaj za kratę więzienną.

I zawsze wtedy, gdy przemawiając do nich, poruszam te dawne ich wspomnienia z lat dziecięcych, lata pierwszej młodości niewinnej, gdy wspomnę im o matce, o pierwszym pacierzu, to widać w niejednem oku łzy. Uspokajają się wtedy i cichną, skupiają nawet tacy, co z całym cynizmem, pomrukiwaniem i nawpół głośniami rozmowami i potrząsaniem kajdan nieraz umyślnie w nabożeństwie przeszkadzali.

Po nabożeństwie zatrzymuję więźniów i śpiewam z nimi. Umieją już sporo pieśni i patryjotycznych i kościelnych do Serca Jezusowego, do Matki Boskiej. W czasie Mszy św. śpiewają »Godzinki«.

W ubiegłą niedzielę zabieram się po Mszy św. jak zwykle do śpiewania — tymczasem śpiewa tylko kilku, reszta uśmiecha się dziwnie i ani drgnie. Pytam dlaczego, odpowiadają, że im wczoraj zmniejszono porcję chleba, że im się chce jeść i nie mogą śpiewać.

Zwróciłem im uwagę, że strajk skierowali pod fałszywym adresem, bo to nie moje zarządzenie, ani ja tej nadwyżki chleba nie zjadam i że mi ich śpiew do szczęścia wcale niepotrzebny, a

czas spędzony z nimi w więzieniu mogę zużyć gdzieindziej na coś lepszego. Skończyło się na tem, że mnie przeprosili, wycalowali po rękach i śpiewali pomimo głodu jak nigdy dotąd, aż rozlegało się i huczało na całe więzienie.

R a d o m, 29. września 1918.

Od dwóch tygodni udzielam nauki religii w szkole niemieckiej przy kościele protestanckim w Radomiu. Uczęszcza tam sporo dzieci różnych oficerów i urzędników austriackich katolickich, zebranych z najrozmaitszych stron Austrii. Nagół dzieci rozwinięte, jednak zaniedbane w czasie wojny, wskutek ciągłego przerywania nauki i przenoszenia się z miejsca na miejsce.

U nas w każdym razie lepiej im niż w kraju, bo tu mimo wszystko niema tak przykrych ograniczeń aprowizacyjnych, jak w Austrii, gdzie wszystko i chleb i cukier i kartofle i tłuszcze wydaje się na kartki, w ilościach ściśle określonych przez urzędy aprowizacyjne przy gminach. To też kto może jedzie do Polski, by się trochę pożywić i odżywić.

Nie przypuszczałem nigdy, że wypadnie mi w Polsce, tuż pod Warszawą, uczyć po niemiecku. O ironjo!

Praca ta dała mi jednak sposobność zbliżenia się do rodziców moich przygodnych uczniów i uczennic. Rodzice ci, znalazłszy się w obcym sobie środowisku, nie związani niczem ani z miejscem pobytu, ani z księdzem, odzwyczaili się po większej części od życia religijnego. W takiej sy-

tuacji dzieci są prawdziwie opatrnościowym łącznikiem i rzeczywistą pomocą w oddziaływaniu na moich wojskowych parafjan.

Wstąpiłem w tym tygodniu do Dębłina, w przejeździe koleją do Lublina.

Po drodze spotykałem znajomych, witali mnie przyjaźnie.

Jednak dziwnie mi tam jakoś smutno było, coś mnie rwało za serce, jakaś tęsknota wielka owładnęła całą duszę i żal, że to, co się tam przeżywało, już minęło, już przeszło i należy już tylko do przeszłości, do wspomnień.

Kiedy przechodzi tydzień po tygodniu i człowiek czeka na tydzień nowy, nie docenia wcale terażniejszości, nie przywiązuje do niej wagi, nie traktuje jej poważnie, lecz śpieszy ciągle naprzód, biegnie myślą, planami, marzeniami w dal, w przyszłość tajemniczą.

Dopiero kiedy tam coś się załame lub zmieni nagle, kiedy człowiek znajdzie się w innych warunkach, wtedy orjentuje się, że chwile, których nie doceniał, bo je miał, że to były chwile prze-drogie, o niesłychanej wartości i cenie. I żal się robi za niemi, żal, co duszę często krzawi.

I było mi żal, że to wszystko już było, minęło, że tego już niema.

Przypuszczam, że tak właśnie każdemu z nas przy końcu życia żal będzie niejednej chwili, którą należało sobie bardziej cenić i czemś wielkiem zapełnić, a tymczasem przeszła niedoceniona, zmarnowana.

Tam w Dęblinie znam każdą ścieżkę, nie-ledwie każde drzewo, każdy szczegół. Dopiero te-

raz poznałem, jak mi to wszystko wzrosło w duszę przez te trzy lata.

Poszedłem na cmentarz, o którym mogę śmiało powiedzieć, że to moje dzieło: od alei, od drzewek, które kazałem tam posadzić, ogrodzenia do napisów na mogiłach. A w mogiłach iluż znajomych, iluż takich, z którymi zbliżyliśmy się w czasie cierpienia i choroby śmiertelnej, takich, którym byłem powiernikiem duszy, którym zamknąłem powieki na wieczny spoczynek!

I byłbym tam nie wiem jak długo błędził wśród tych krzyżów i mogił, gdyby nie zmierzch i konieczność powrócenia tam, gdzie życie, gdzie nowy obowiązek, nowa praca.

R a d o m, 5. października 1918.

W tych dniach wielkie wypadki polityczne.

Bułgaria złożyła w zeszłym tygodniu broń.

Po klęsce pod Wardarem, gdzie armja bułgarska została rozbita i rozerwana na kilka części, a cały materiał wojenny dostał się w ręce sprzymierzonych, zażądał premier bułgarski Malinow od koalicji warunków zawieszenia broni. Warunki postawiono twarde. Pozbawiają one w zupełności Bułgarię terenów przez nią obsadzonych w wojnie obecnej i terenów uzyskanych w poprzednich wojnach bałkańskich. Jednak Bułgaria warunki te przyjęła, oddając się na łaskę i niełaskę koalicji.

Tem samem z chwilą zwinięcia frontu bułgarskiego nastąpił na silnie zwartym i jednolitym

dotychczas na froncie państw centralnych poważny i decydujący wyłom.

Zrozumiano w całym świecie, że to wypadek pierwszorzędny. O ile przedtem, pomimo nadzwyczajnych sukcesów koalicji na zachodzie od sześciu tygodni, głównie przy pomocy tanków, można było jeszcze ciągle wątpić w pomyślny dla niej wynik wojny, to teraz zrozumiał każdy, że Bułgaria zadała ostateczny cios państwom centralnym, że ostateczne zwycięstwo koalicji jest kwestją niedalekiej przyszłości.

Przycichły momentalnie buńczuczne mowy i domagania się aneksji przez Niemców. Mieli przecież zamiar przyłączyć do Niemiec Zagłębie dąbrowieckie i część Kaliskiego. Widać, że tak jak u ludzi poszczególnych, tak samo i u narodów, u państw, pycha poprzedza ostateczny upadek.

W parlamencie wiedeńskim toczą się obrady pod wrażeniem wypadków bułgarskich i niesłuchanie silnej ofensywy wojsk belgijskich, francuskich, angielskich i amerykańskich na froncie zachodnim koło Reims, St. Ouentin i Lille, od morza po Verdun, wskutek czego Niemcy zaczynają się cofać wśród rozpaczliwych walk o każdą piędź ziemi.

Posłowie polscy w parlamencie wiedeńskim złożyli wniosek, zdążający do utworzenia na międzynarodowym kongresie wolnej, niepodległej Polski.

Uważamy podział Polski — tak opiewa wniosek — za akt gwałtu, dokonany na narodzie polskim. Domagamy się przywrócenia niezawisłego

z wszystkich polskich części złożonego państwa polskiego, a więc z właściwym wybrzeżem, jako też z obszarów, zamieszkałych przeważnie przez ludność polską, zwłaszcza Śląska. — Odrzucamy wszelkie jednostronne rozwiązanie kwestji polskiej. Domagamy się udziału przedstawicieli narodu polskiego w kongresie pokojowym świata, który ma sprawę Polski rozwiązać.«

R a d o m, 7. października 1918.

Dziś przyniosły gazety tekst depešy rządów: austriackiego, niemieckiego, tureckiego do Wilsona, prezydenta Stanów Zjednoczonych, w której za pośrednictwem rządu szwedzkiego proponują dyskusję pokojową na zasadzie 14 punktów Wilsona z 8. stycznia 1918 *), określających prawa sa-

*) Zawarte w orędziu Wilsona z 8. stycznia 1918 warunki pokoju w liczbie 14 brzmia w streszczeniu:

1. Wszystkie traktaty pokojowe muszą być jawnie powzięte z wykluczeniem tajnej dyplomacji.
2. Wolność żeglugi na wszystkich morzach.
3. Możliwe usunięcie ograniczeń handlowych i równość państw w tej dziedzinie.
4. Ograniczenie zbrojeń do minimum.
5. Załagodzenie sporów kolonialnych z uwzględnieniem interesów tubylców.
6. Opróżnienie obszaru całej Rosji i nie przeszkadzanie w sposobach jej wewnętrznego urządzenia się.

mostanowienia narodów, które to punkty wysunął Wilson jako podstawę do nowego uporządkowania Europy.

Jestto już konkretne zabieganie o pokój i ogromny postęp naprzód w kierunku zakończenia strasznej wojny, demoralizującej całą ludzkość, postęp w stosunku do 1916 roku, kiedy nie wolno było nie pisać o pokoju i konfiskowano widokówki z napisem: pax.

Nie przeszkadza to jednak państwom centralnym w rozwijaniu w wojsku i w kraju agitacji za dziesiątą już pożyczką wojenną i zmuszaniu

7. Ewakuacja i restauracja Belgii przy uszanowaniu jej suwerenności.
8. Zwrot Alzacji i Lotaryngji.
9. Uregulowanie granic z Włochami w myśl sprawiedliwości narodowej.
10. Nadanie ludom Austro-Węgier możności samorządnego rozwoju.
11. Ewakuacja i restauracja Rumunji, Serbji i Czarnogóry. Wolny dostęp do morza dla Serbji. Międzynarodowe ustalenie stosunków wzajemnych między państwami bałkańskimi.
12. Samodzielność dla części cesarstwa osmańskiego, zamieszkałej przez Turków. Autonomja dla innych narodowości Turcję zamieszkujących. Wolny przejazd przez Dardanele.
13. Niezawisła Polska, obejmująca terytorja niewątpliwie przez Polaków zaludnione, ma mieć dostęp do morza.
14. Założenie związku narodów celem wzajemnej poręki tych zasad.

różnemi sposobami do oddawania ostatniego grosza na rzecz wojny. Są wszędzie specjaliści oficerowie, którzy nic nie robią, tylko agituja za pożyczkami — *Kriegsanleihe*.

Niemcy są oczywiście przekonani, że Wilson musi odpowiedzieć na propozycję pokojową przychylnie i że wojna potem odrazu się skończy. Jednak z dzienników widać, że już dziś nakręcają owe punkty na swoją korzyść. Sprawę samostanowienia, podniesioną przez Wilsona, pojmują tak, że narody będą stanowić o sobie, ale w ramach istniejących dziś państw, a więc o zmianach obecnych granic nie może być mowy.

Sytuacja militarna przedstawia się dla państw centralnych fatalnie. Trudno uwierzyć, by koalicja nie zechciała tej sytuacji wykorzystać i upokorzyć do ostatka państwa centralne właśnie teraz, kiedy wojna wzięła nareszcie tak korzystny dla koalicji obrót, po tylu upokorzeniach i klęskach, po ciągłym cofaniu się.

Obecnie droga przez Serbję na Węgry otwarta, wskutek czego front włoski i albański zagrożony. Mówi się o bliskim przystąpieniu do koalicji Rumunji, niezadowolonej z pokoju, zawartego przedtem z Niemcami i Austrią w Bukareszcie, wskutek czego Niemcy musieliby zwinąć swój front na Ukrainie.

Cambrai, St. Quentin, Lens zdobyte. Armje koalicyjne prą z żelazną energją i konsekwencją pod wspólnem dowództwem marszałka Focha ku granicom niemieckim. Wszystko co trzymało się od czterech lat jak jaka silna, żelazna, niespożyta

twierdza, zaczyna coraz wyraźniej i widoczniej trzeszczeć i pękać.

Pod wpływem tych wypadków następują zmiany w rządach, tak w Niemczech jak i w Austrii. W Niemczech weszło do rządu siedmiu socjalistów. Widocznie sfery rządzące chcą zapobiec grożącej rewolucji ze strony mas robotniczych, najwięcej niezadowolonych i oprzeć na nich rząd wraz z odpowiedzialnością za losy państwa. — W Austrii pojawiają się daleko idące plany przebudowy państwa jako federacji różnych narodów, wchodzących w skład monarchji.

Czesi zwołują do Pragi na dziś i na dzień jutrzejszy konstytuante z wszystkich czeskich posłów parlamentarnych, sejmowych, oraz burmistrzów z Czech, Moraw i Śląska. Przestali już liczyć się i pertraktować z rządem austriackim. Są bowiem przekonani, że wszystko wnet się rozleci i że nie warto podtrzymywać walącej się, sztucznej budowy cesarstwa Habsburgów.

Od szeregu miesięcy nie było takiego ogólnego podniecenia i zainteresowania wypadkami, jak obecnie.

Wobec tego błędną zupełnie wypadki w Rosji, teror uprawiany przez bolszewików, którzy mimo wszystko utrzymują się przy rządach i zatapiają we krwi wszystkie próby kontrrewolucji. Równocześnie armje: angielska od północy z Murmania, kozackie od Uralu, czecho-słowacka i japońska ze Syberji walczą z bolszewikami, starając się koncentrycznym atakiem dotrzeć do Petersburga i Moskwy.

Dzienniki omawiają już zupełnie swobodnie kwestję bliskiego opróżnienia Polski przez obecne władze okupacyjne niemieckie i austriackie i zalecają zorganizowanie służby bezpieczeństwa na czas przejściowy. Narazie władze okupacyjne są zajęte sądzeniem i karaniem różnych objawów protestu społeczeństwa za haniebną pokój brzeski. Zato patrzą przez palce na cichą i planową agitację różnych agitatorów bolszewickich, którzy wracają razem z »bieżeńcami«, zalewają Polskę i przy pomocy »bundystów« żydowskich przeszczipiają na tutejszy grunt idee komunistyczne. Nadużycia władz okupacyjnych, zubożenie kraju, bezrobocie, drożyzna stworzyły dużo fermentu i niezadowolenia, oraz podatny grunt pod wszelkiego rodzaju przewrotową agitację. A tymczasem Niemcy ciężą twardo na Polsce, odrzucają i uniemożliwiają obecnie wszelką myśl o tworzeniu większej armii polskiej na swych tyłach, z tych samych powodów, dla których rozbroili dnia 22. maja b. r. korpus Dowbora-Muśnickiego.

R a d o m, 10. października 1918.

Wczoraj przyniosły dzienniki odezwę Rady Regencyjnej, zamieszczoną w »Monitorze Polskim«. Rada Regencyjna rozwiązuje dotychczasową Radę Stanu i zwołuje zgromadzenie reprezentantów całego narodu, które ma opracować jak najprędzej konstytucję dla wolnej Polski i zwołać potem Sejm celem urządzenia zwierzchniej Władzy państwowej.

Równocześnie zgłasza Rada Regencyjna prawo do nienaruszalności i niepodległości wszystkich ziem i terytorjów, zamieszkanych przez lud rdzennie polski, z dostępem do morza.

Odpowiedzi na depezę państw centralnych do Wilsona dotychczas niema. Powoli zaczynają się ludzie domyślać, że wojna może potrwać jeszcze długo, bo ani Niemcy, ani Austrija nie okazują na razie gotowości wyciągnięcia konsekwencji z punktów Wilsona. Ciężko im zrozumieć, że to, co od szeregu lat uważają za dobre, jest złem i nieszczęściem dla Europy i ludzkości.

R a d o m, 11. października 1918.

Od dwóch dni chodzę wieczorami do kościoła po-bernardyńskiego. Na propozycję Rektora tego kościoła ks. kanonika Rokosznego odprawiam w jego zastępstwie nabożeństwa różańcowe, połączone z naukami.

Mówię o »Zdrowaś Marja«.

Rozpocząłem od zwrócenia uwagi, jak to cały miesiąc różańcowy, październik, pozostaje pod znakiem »Zdrowasia«.

I w domu i w kościele i w okopach i w szpitalach, po jednej i po drugiej stronie tyłu różnych frontów, tyle miljonów ust i sere szepce teraz — Zdrowaś Marjo!

I może nigdy świat nie wymawiał tych słów wśród tyłu cierpień i łez, co teraz w piątym roku wojny. Ale też pewno nigdy nie szeptano słów tych z taką wiarą i ufnością jak obecnie. — Wszelkie hasła, ideje i myśli, zrodzone tu na

krwawiącej się ziemi, zawiodły, poznano się na nich. Dlatego odzyskały znowu swą pierwotną wartość słowa, zrodzone w niebie.

Ave Maria! Zdrowaś Marja! Słowa poczęte w niebie zanoszą na tę ziemię wysłannik Boży, archanioł. On je głosi pierwszy, a po aniele powtarza je cała ludzkość poprzez wieki.

Kiedy idziesz drogą, pozdrowisz kogo, to ci odpowie na pozdrowienie. Kiedy ktoś drogi przyśle z frontu lub z niewoli kartkę z pozdrowieniem, czy nie odpisujemy jak najprędzej?

A gdy pozdrowisz Marję, gdy powiesz Jej — Zdrowaś Marjo! — czyż to miałyby pozostać bez echa, bez odpowiedzi z nieba?

To niemożliwe!

Więc też, kiedy wszystko w Polsce dziś zawodzi, wszelkie obliczenia i nadzieje, gdy nas głodzą, chleb wydzielają, gdy nas depcą, nienawidzą, my jako naród zostaniemy wierni naszej Królowej. Przypominajmy się Jej, pozdrawiajmy Ją, a da Bóg doczekamy się wreszcie — odpowiedzi!

Wczoraj liczba biorących udział w nabożeństwie różańcowem była znacznie większa. I tu jakoś uprzedzenie do kapelana austriackiego znika.

Mówiłem o znaczeniu imienia: Marja. Miriam — gwiazda, jasność, gwiazda morza, według której rozbitek biedny prostuje swą drogę.

Wyobraźmy sobie z Albanem Stolzem, że jednego wieczoru zaszło słońce i nastąpiła noc. I ludzie wszyscy oczekują rana, świtu, brzasku, a tymczasem zamiast poświaty — ciągnęła noc i noc,

przedłużająca się rozpaczliwie na całe dni, tygodnie! Pewnoby życie zamarło, wszystkoby zlodowaciało.

A gdyby tak potem nagle wśród tej strasznej nocy, hen tam na wschodzie zajaśniał jeden małeńki promyczek, punkcik jakiś jaśniejszy i rósłby potem powolutku i rósł i niósł ze sobą nadzieję, ratunek, zbawienie — coby to była za radość bezmierna, jakby to ludzie wszyscy witali na kolanach to światełko, gwiazdę, zwiastującą ratunek!

Po tysiącach lat beznadziejnej tęsknoty — Marja — to ten pierwszy promyczek, gwiazda, co zwiastuje zbawienie — Miriam. Z Nią przychodzi odkupienie i zbawienie.

W Polsce dziś podobna noc beznadziejna, bez światła, noc dłuższa nad wszelkie tęsknoty i oczekiwania. Któż nam będzie tym jasnym promyczkiem wśród braku wszelkiej nadziei? Chyba tylko Ta, co była nam ostoją w chwilach największych nieszczęść dziejowych — Jasnogórska Marja — Miriam! Ty to zrobisz Marjo, że »dnia trzeciego się rozwidni i na wieki będzie rano!« *)

R a d o m, 15. października 1918.

W Warszawie odbywają się narady nad utworzeniem rządu polskiego, nad przejęciem od okupantów administracji kraju i nad utworzeniem wojska własnego.

*) Krasieński, Przedświt.

Rada Regencyjna wzywa posłów Koła polskiego w Wiedniu i w Berlinie do wydelegowania przedstawicieli na narady w Warszawie, mające na celu utworzenie Rady Narodowej i rządu koalicyjnego. Zamierzone jest zwołanie konstytuancy trójdzielnicowej, Sejmu, który będzie miał prawo urzędzenia i powołania zwierzchniej władzy państwowej. Z chwilą powstania tej władzy chce Rada Regencyjna ustąpić.

Z Krakowie uchwalili kolejjarze wprowadzenie języka polskiego, urzędowego, w miejsce języka niemieckiego, począwszy od północy z 13. na 14. października.

Jako chłopiec przesiadywałem często nad linią kolejową Koszyce—Bogumin i obserwowałem pociągi różne, zdążające to w jedną lub w drugą stronę. Kolej ta łączyła Niemcy z Bałkanem i Bagdadem. Widziało się różnego rodzaju parowozy i wagony, napisy na wagonach we wszystkich językach. Wypatrywałem wciąż choćby jednego polskiego napisu! Cobym był dał wtedy zato, by móc zobaczyć choć jeden polski wagon! Dziś marzenie staje się faktem.

R a d o m, 16. października 1918.

W kościele wieczorem coraz więcej ludzi.

Mówiłem na temat: »Łaskiś pełna, Pan z Tobą«. Łaska to nie abstrakcja, ale coś realnego, to dusza duszy naszej, to bytność Boga w nas.

Cały świat dzieli się na tych, co żyją w łasce Bożej, są przyjaciółmi Boga, i takich, co wskutek dobrowolnych upadków ciężkich wyzbyli się

łaski Bożej i żyją z Bogiem w niezgodzie i w wojnie.

Kiedy popatrzeć naokoło, kiedy spojrzeć na to, co wśród ludzi się dzieje, to zło zdaje się zalewać świat cały. Zamiast chwały Bożej płyną z ziemi zbrodnie, i krzywda i przemoc.

Wobec tego wszystkiego dusza ludzka, miłująca Boga, stoi bezradna. Co pomogą tu moje szepty, wołania, modlitwy?

Tę trudność rozwiązuje łaska Boża. Bo oto wszystkie te obrzydliwości i zbrodnie, wołające nieraz o pomstę do nieba, przysłania w oczach Bożych to, co czynią ludzie, żyjący z Bogiem w przyjaźni, w łasce Bożej. Wtedy Duch św., który w nich przebywa, stwarza rzeczy większe, aniżeli wszelkie zło na ziemi.

Dla pięciu sprawiedliwych Pan Bóg gotów przebaczyć tysiącom, oszczędzić całe miasta i kraje.

Jest ktoś, o kim mówi wysłannik Boży — Archanioł — łaską pełna! To Matka Najświętsza. Jakże wielką musi być w oczach Bożych! Ile to złego Bóg dla Niej przebaczyć gotów!

Jeżeli w Polsce jest dziś tak jak jest, to dlatego, żeśmy w większości zerwali z życiem łaski, żeśmy stanęli do walki z Bogiem przez grzechy i upadki, żeśmy Boga sami wygnali z duszy i z Ojczyzny.

»Pan z Tobą!« Bóg z Marją. A z nami?

Nieraz zdaje się nam, że Bóg z nami, czujemy się tacy bliscy Boga, zdaje nam się, że nas nic już od Niego nie rozdzieli — jesteśmy silni, mocarni — a potem jedna słaba chwila, czyjkolwiek

wpływ ujemny, nastrój jakiś, już znowu Boga przy nas niema. Wyzbywamy się Go sami.

A jest Bóg z nami jako z narodem?

Wszystko naokoło wygląda tak, jakby Bóg był od nas daleko, bośmy, prawdę mówiąc, nie zawsze z Nim w porządku. Ileśmy to razy w ciągu wieków zapominali o Nim i zaniedbywali Go? A jeżeli Go kiedy chwalimy, to tylko ustami, a tak rzadko czynami i życiem katolickiem.

Ty nam Go przybliź Marjo i zbliź do nas!
Ty łaski pełna!

R a d o m, 17. października 1918.

We Flandrji na zachodzie nowe walki. Niemcy przyznają w swych biuletynach urzędowych sukcesy wojsk koalicyjnych, które konsekwentnie idą naprzód. W Serbji wojska francuskie zajęły Nisz i pędzą przed sobą armję austriacką. Ludność serbska prowadzi z okupantami partyzantkę, pomagając wojskom francuskim. Durazzo, ważny port na Adryatyku, w rękach włoskich.

W odpowiedzi na notę Niemiec żąda Wilson zmiany rządu w Niemczech. Nota amerykańska z 12. b. m., podpisana przez Lansinga, stwierdza co następuje: »W tym samym czasie, w którym rząd niemiecki wystąpił wobec rządu Stanów Zjednoczonych z propozycjami pokojowemi, łodzie podwodne niemieckie zatapiają na morzu okręty pasażerskie i to nietylko okręty, ale i łodzie, w których podróżni i załoga próbuje się ratować. Armja niemiecka w swoim obecnym odwrócie z Flandrji i Francji, do którego ją zmuszono, kro-

czy po drodze samowolnego zniszczenia, co zawsze uważane było za bezpośrednie naruszenie reguł i zwyczajów cywilizowanego prowadzenia wojny. Miasta i wioski, o ile nie ulegają zniszczeniu, ogołacane są ze wszystkiego, co tylko w nich się mieści, ba nawet niekiedy i z mieszkańców. Nie można oczekiwać, aby rządy, związane sojuszem przeciw Niemcom, zgodziły się na zawieszenie broni, jak długo trwać będą nieludzkie czyny, rabunki i spustoszenia, na które one słusznie patrzą z przerażeniem i z oburzeniem w sercu.«

Dalej cytuje nota jeden z punktów Wilsona, domagający się: »wytępienia wszędzie wszelkiej samowolnej władzy, która sama dla siebie i według własnego upodobania może zamącić pokój światowy«, czyli żąda usunięcia cesarza Wilhelma.

Tak mocno i twardo chyba jeszcze nikt z Niemcami nie rozmawiał. Musi Wilhelm mieć rzadką minę, inną niż miał ongiś na Wawelu.

Mówi się już jako o rzeczy zupełnie pewnej, stwierdził to zresztą w oficjalnej przemowie w delegacjach minister austriacki hr. Burian, że Austria wycofa wkrótce swe wojsko i urzędy okupacyjne z Królestwa, a przekaże władzę rządowi polskiemu.

Niestety z Warszawy brak dotąd jakiegoś zdecydowanego słowa czy czynu. Układy o tymczasowy rząd koalicyjny przeciągają się jakoś w sposób niepokojący, opóźniając wszystko i marnując jeden dzień za drugim. Kiedy trzeba czy-

nów, to wtedy my mamy zawsze tylko powódź słów, chyba dlatego, że jesteśmy Słowianami. A teraz każdy dzień stwarza z zawrotną szybkością nowe sytuacje i warunki. Pewno, że każdy początek ciężki i trudny, ale czas nagli. Tu chodzi o wielkie rzeczy. To może się odbić na całej naszej przyszłości.

Trzeba przejmować administrację, odbierać skarb, tworzyć wojsko, ułożyć się co do objęcia kolei, a nie robi się nic.

Przyczyną jest tu walka między stronnictwami, niesnaski między dwiema wielkimi grupami politycznymi, t. zw. Kołem międzypartyjnym a lewicą. Jedna drugiej nie życzy władzy. Po polsku!

R a d o m, 20. października 1918.

Na nabożeństwie różańcowem wyjaśniałem dziś słowa: »Błogosławionaś Ty między niewiastami.«

Błogosławiony znaczy tyle, co szczęśliwy, taki, któremu się dobrze dzieje. Anioł nazywa Marję błogosławioną; tak samo potem nazywa Ją natchniona Duchem prawdy św. Elżbieta. Więc chyba musi być Marja naprawdę błogosławioną, szczęśliwą, wyróżnioną wobec innych niewiast.

Przypatrzmy się Jej życiu! Przypomnijmy sobie choćby bardzo pobieżnie szczegóły różne! Warunki, w jakich idzie do Betleem, miasta rodzinnego, do swoich, którzy Jej nie przyjęli. Idzie na noc do stajni za miastem, rodzi Syna w nędzy największej, potem Egipt, tułaczka na obczyźnie, później w domu szara praca codzienna, następnie

rosnąca nienawiść ludzka do Jej Syna, wreszcie Jego ohydna śmierć na krzyżu.

I to wszystko przechodzi Ta, którą nazwano kiedyś »błogosławioną między niewiastami!« Czyż to nie wygląda dziwnie?

W oczach ludzi dzisiejszych, którzy za całe szczęście i błogosławieństwo uważają majątek, dobrobyt, którzy sądzą, że błogosławiony jest ten, kto nie ma żadnych zmartwień, przykrości ani cierpień — w ich oczach nazwanie Matki Najświętszej błogosławioną może rzeczywiście wyglądać na jakieś wielkie nieporozumienie, a nawet na ironję...

Ale to tylko nasz ziemski, krótkowzroczny punkt widzenia.

Pan Bóg mierzy ludzi i ich sprawy miarą Swoją, a nie naszą.

Musi mieć dziwny jakiś urok w oczach Bożych cierpienie i ból, prześladowanie, niedostatek i ubóstwo, — jeżeli Ta, którą Bóg wywyższył ponad wszystkie niewiasty, którą w imieniu Boga ogłasza anioł za błogosławioną, przechodzi w Swem życiu tyle cierpień i upokorzeń, tyle męki i bólu, jeżeli sam Syn Boży obraca się przez całe Swe życie w warunkach, w którychby nam samym było bardzo ciężko i bardzo źle.

Czy nie powinno to być bodźcem do rewizji naszych poglądów na warunki i stosunki naszego życia? Czy przypadkiem to, na co dziś tak głośno się skarżymy i narzekamy, nie jest może naszym błogosławieństwem i dobrem?

Ot, choćby ta wojna. Ciąży nam, dokucza, krwawi cały kraj, a jednak wszyscy wierzymy, że

to jest ta wojna, o którą modlił się Mickiewicz i jesteście pewni, że przy Bożej pomocy przyniesie nam rychło błogosławieństwo Boże, że po stuletnich cierpieniach i męce doczekamy się wkrótce — zmartwychwstania, odrodzenia Ojczyzny, ale daj Boże i odrodzenia ducha całego Narodu!

R a d o m, 22. października 1918.

Wróciłem z Lublina z kursów, urządzonych dla t. zw. referentów oświatowych przy różnych komendach wojskowych. Myślą przewodnią kursów była obrona przed idącym z Rosji bolszewizmem, który pochlebiamy najniższym instynktom tłumu bezkrytycznego, szerzy się i toczy jak rak obecny ustrój społeczny i grozi zniszczeniem dzisiejszej struktury społeczeństwa, opartej na rodzinie i porządku państwowym.

Wykłady oczywiście w języku niemieckim. Z dyskusji na kursach dawało się wyraźnie wyczuć, że cement, łączący różne austriackie narodowości, mocno już zwietrzał. Nikt już nie chce mówić o dynastji, o Habsburgach, jak to zawsze dotąd w wojsku było w modzie. Zato mówi się otwarcie o jakiejś unji państw narodowościowych w obrębie austriacko-węgierskiej monarchji, może w połączeniu z Polską, której byt i powstanie dzięki punktom Wilsona jest zdecydowany i nie ulega dyskusji.

Wszyscy zdają sobie sprawę, że wojna ma się ku końcowi. Jaki będzie koniec, kiedy przyjdzie, tego nie umie nikt nawet w przybliżeniu określić.

Mianowany z ramienia rządu polskiego, właściwie Rady Regencyjnej, komisarz generalny na całą okupację J. Zdanowski, rozpoczął w Lublinie rejestrację wojskowych i urzędników-Polaków, którzy chcą wstąpić do wojska polskiego, lub pracować w urzędach polskich.

W Cieszynie została utworzona w sobotę 19. października Rada Narod., jako reprezentacja ludności polskiej na Śląsku. Ma ona strzec interesów ludności polskiej na Śląsku Cieszyńskim do chwili ostatecznego przeprowadzenia nowych porządków na polskich obszarach Austrii, w myśl manifestu cesarza Karola o przekształceniu Austrii na »związek państw narodowych« i w myśl warunków Wilsona.

Radę Narodową tworzy 30 przedstawiciele miejscowej ludności, po dziesięciu z trzech istniejących na Śląsku stronnictw politycznych: Związku śl. katolików, istniejącego od 38 lat, Partji socjalistycznej i Stronnictwa ludowego. — Prezydjum tworzą posłowie: ks. Londzin, Reger i dr. Michejda.

Dnia 15. października odbyło się na rynku w Orłowej koło Bogumina olbrzymie manifestacyjne zebranie ludności polskiej z zagłębia ostrawsko-karwińskiego, na którem zapadła uchwała: »My Polacy Księstwa Cieszyńskiego uznajemy bezwarunkową przynależność naszą i naszej ziemi do Polski i uważamy się odtąd za obywateli wolnej, zjednoczonej i niepodległej Polski. Tej Polsce winniśmy wierność, posłuszeństwo, mienie i krew naszą i nie uznajemy żadnych

wieżów tym najświętszym obowiązkom przeciwnych.«

A więc nie poszła na marne tyloletnia praca dla polskości na zagrożonym Śląsku, nie poszło na marne syzyfowe zmaganie się z systematyczną germanizacją, renegactwem i czechizacją. Najśmielsze, tajone nadzieje i marzenia przyoblekają się w rzeczywistość. Praca Stalmachów, Świeżych, Stojalowskich, Londzinów przynosi oto plon.

Dzięki Ci Boże za to, że jest Polska, a jeszcze więcej za to, że jest, nie gdzieś tam daleko, ale że jest i na Śląsku!

Dzięki Ci Panie za to, że tam każda ścieżka, każda drożyna, którą pamiętam z lat dziecięcych, każde drzewo i plusk fal Olzy, nad którą się bawiłem i gdzie uczyłem się patrzeć w świat i Ciebie kochać — i mogiła mej kochanej Matki i siostry*) znajdzie się w Polsce, że tam wszędzie Polska!

R a d o m, 23. października 1918.

W nocie, wystosowanej do Austrii, odpowiada Wilson, że nie może już pertraktować z Austrią o Czecho-Słowacji i o Jugosłowianach, bo uważa je za wyodrębnione z Austrii. Tem samym proklamuje Wilson niepodległość tych państw.

We Flandrji dalszy odwrót Niemców do kanału Sambre-et-Oise. Anglicy donoszą o postępach

*) dziś po czeskiej stronie, skutek decyzji Rady Ambasad. z 28. lipca 1920, spowodowanej wyprawą kijowską.

swych wojsk na frontach w Mezopotamji, w Palestynie i na Murmaniu.

Austrjackie władze okupacyjne otrzymały rozkaz z Wiednia, by wszelkie formacje wojskowe i zarząd wojskowy okupacji austrjackiej tzw. generał-gubernatorstwa lubelskiego były przygotowane do opuszczenia okupacji. Po tygodniu mają rozpocząć planowe opróżnianie Polski.

Zato Niemcy w okupacji niemieckiej nie zdradzają wcale zamiarów przyjaznych dla przyszłego państwa polskiego, a w Poznańskim wytoczył obecnie rząd pruski proces o zdradę stanu wszystkim Polakom, podpisanym na deklaracji zaboru pruskiego z 12. b. m., oświadczającej się w sprawie zjednoczonej i niepodległej Polski na zasadzie 14 punktów Wilsona.

W Radomiu daje się wyczuwać podniecenie wśród ludności, głównie wśród młodzieży, która nie mogąc doczekać się wyjścia »dziadów«, chce to wyjście przyspieszyć. Gdyby ta młodzież przysłuchiwała się rozmowom żołnierzy i oficerów, dowiedziałyby się ze zdziwieniem, że oni wszyscy teraz tylko o tem myślą jakby najprędzej znaleźć się w domu, a trwają na stanowiskach w przekonaniu, że to i tak już niedługo potrwa, bo przecież każdy dziś już widzi, że wszystko się chwieje i lada chwila runie.

Dziś aresztowała żandarmerja wojskowa kilkunastu chłopców, zdaje się z Polskiej Organizacji Wojskowej. Wybrali się w nocy na zdobycie na Austrjakach budynków fabrycznych w Firleju pod Radomiem. Bez oddania wystrzału, na ko-

mendę: »ręce do góry« — podnieśli wszyscy ręce wraz z rewolwerami, jakie z sobą mieli.

Bez chwały zwycięstwa powędrowali do kozy i narobili swą dziecinną wyprawą sporo kłopotu, bo wszystkie mamusie, ciocie, babcie aresztowanych bohaterów, wśród spazmów i łez, proszą o interwencję i pomoc, bo ich tam podobno biją i katuja, by wymusić zeznania.

R a d o m, 24. października 1918.

Dziś w kościele uspokoiłem opinię publiczną, podnieconą aresztowaniem chłopców; powiedziałem, że byłem u nich, widziałem się z nimi, że wiadomości, kursujące po mieście, są mocno przesadzone i przejęskrawione.

Przy tej sposobności wezwałem zebranych do oddziaływania wszędzie w tym kierunku, by nieodpowiedzialne a zapalne czynniki nie robiły nierozważnych kroków. To już i tak wszystko niedługo potrwa, przecież i okupanci sami rwą się do domu. Trzeba opanować nerwy, skupić się, zspolnić, oszczędzać siły, by wtedy, gdy przyjdzie czas, gdy odezwie się »złoty róg«, działać rozumnie i podeprzeć ramionami powstającą z gruzów Polskę.

Potem mówiłem o imieniu Jezus, wyjaśniając w dalszym ciągu Zdrowaś Marja.

Jezus — to hasło, po którym się wszyscy poznajemy, to oś całej ekonomji zbawczej chrystjanizmu.

Św. Jan Ewangelista, któremu było dane jeszcze na ziemi spojrzeć w niebo, maluje w Apo-

kalipsie*) obraz strasznej wojny. Podczas modlitwy słyszy głos donośny: *veni et vide* — chodź i patrz! I poszedł i zobaczył, jak z obłoków niebieskich wypada na ziemię rumak, czerwony jak ogień. A ten, co na nim siedzi, nazywa się wojna... w ręku miecz, by nim zabrać z ziemi pokój, a wzniecić walkę wśród narodów. — Przyjdź i patrz! Drugi rumak rzuca się ku ziemi — czarny jak noc. A ten, co na nim siedzi — to głód. Trzyma w ręku wagę, by wymierzać i ważyć żywność i kromki chleba. Chodź i patrz! Trzeci rumak — blady, siny jak trup. A ten, co na nim siedzi — to śmierć. A to, co za nim, to piekło i zniszczenie, bo ma moc nad czterema krańcami świata nieść wszędzie śmierć i głód i zarazy.

Czy to nie wizja naszych czasów?

Śmierć, głód i wojna już od pięciu lat! A końca wciąż nie widać, choć tyle razy już zdawał się tak bliski.

Kiedy się to skończy, skąd przyjdzie koniec, skąd przyjdzie nam pomoc — *levavi oculos meos in montem unde veniet auxilium mihi?*

I oto odpowiedź! Odpowiedź psalmisty: *auxilium nostrum in nomine Domini, adiutorium nostrum in nomine Domini* **) — pomoc od Pana! Wspomożenie nasze w Imieniu Pańskim, w Imieniu Jezusa, pomoc nasza w Chrystusie!

Nie wystarczy jednak oczekiwać i wyglądać tej pomocy bezczynnie i biernie. Trzeba samemu zbliżyć się do Chrystusa, trzeba wyjść z rezer-

*) Apok. 6.

**) Ps. 120, 1.

wy wobec Niego, trzeba z Nim zapoznać się bliżej. Nie stać zdala sceptycznie! Sceptycyzm, racjonalizm pozostawmy drugim — Polakowi, Polce z nim nie do twarzy!

Trzeba ożywić wiarę, wprowadzić ją w życie codzienne, w program życiowy, w zajęcia nasze, zapatrywania i przekonania, w rozmowy, a przede wszystkim w czyny nasze! Jezus musi stać się ośrodkiem życia naszego, alfą i omegą naszych pragnień i dążeń. Polska wiarą stoi, bez wiary upada, wiarą się znowu podniesie.

»Z wiary waszej — wola wasza, z woli waszej czyn wasz będzie.« *)

Przedewszystkiem zacznijmy się wszyscy modlić! Trzeba nauczyć się znowu zginać kolana. Tak czynili wielcy Polacy i Polki, rozumni i mądrzy i nam to nie ubliży. Człowiek jest tak wielki jak wielką jest jego myśl. Przy modlitwie sięga myśl do nieba. Dlatego nigdy człowiek nie jest tak wielkim jak wtedy, gdy się modli.

Rozszerzmy serca nasze, przekształćmy ducha naszego, a doczekamy się chyba już niedługo że *auxilium nostrum in nomine Domini*, że pomoc nasza w Imieniu Pańskim!

R a d o m, 25. października 1918.

Po długich pertraktacjach powstał w Warszawie pierwszy trójdzielnicowy rząd polski w następującym składzie:

*) Krasiński: Psalm nadziei.

prezydent ministrów: Józef Świeżyński;
minister spraw zewnątrz. Stanisław Głabiński;
minister spraw wewn. Zygmunt Chrzanowski;
minister rolnictwa Władysław Grabski;
minister komunikacji Waclaw Paszkowski;
minister aprowizacji Antoni Minkiewicz;
minister pracy i ochrony społ. Józef Wołczyński;
minister przemysłu i handlu Andrzej Wierzbicki;
minister oświaty Antoni Ponikowski;
minister sprawiedliwości Stanisław Higersberger;
minister obrony kraj. Józef Piłsudski, więziony
przez Niemców w Magdeburgu.

Od udziału w rządzie odsunęła się lewica, która w tej przełomowej chwili nie chce przystąpić do wspólnej, realnej pracy nad organizowaniem państwa polskiego. Widocznie chce tę pracę zrobić sama, według metod zalecanych przez Marxa i Bebla, a wprowadzanych w czyn przez Trockiego i Lenina.

Senat Stanów Zjednoczonych w Waszyngtonie uznał już niepodległość zjednoczonego państwa polskiego i ofiaruje swą pomoc dla Polski.

Anglja uznaje Polskę za stronę wojującą, a Komitet polski w Paryżu za uprawniony do rokowań pokojowych, na równi z innymi państwami.

W dziennikach warszawskich zamieścił niemiecki wydział prasowy w tych dniach taki komunikat: »Niemieckie władze okupacyjne spotykają się często z zapatrywaniem ludności gubernatorstwa, jakoby wszelkie rekwizycje i dostawy przymusowe zostały już zniesione. Przepuszczenia te są błędne. Władze niemieckie rozpo-

częły coprawda już ulżenie ciężarom okupacyjnym, jak tego dowodzi n. p. zniesienie przepustek, ponieważ jednak dotychczas ani nie doszło do zawieszenia broni, ani nie rozpoczęto rokowań pokojowych, nie można znieść odrazu i bezpośrednio związanych z wojną ciężarów okupacyjnych.«

Tymczasem na froncie zachodnim odwrót niemiecki w Belgji zakreśla coraz szersze kręgi. Linja bojowa zbliża się obecnie ku Gandawie i zaczyna północnym swym odcinkiem odchyłać się coraz bardziej ku Antwerpji. W ten sposób utworzył się wielki łuk, którego boki coraz bardziej napierane przez wojska koalicji, zaczynają się chwiać. Front bojowy, który na ziemi francuskiej miał około 800 km. długości, skrócił się obecnie na 350 km., a pas ziemi francuskiej, pozostający w rękach niemieckich, wynosi w najszerszym miejscu około 40 km., podczas gdy w czasie największego rozpostarcia się ofensywy niem. w r. 1918 na wiosnę wynosił około 130 km. Przeszło trzy czwarte obszaru, zdobytego przez Niemcy na Francji, zostało już z powrotem odebrane, zaś Belgja będzie mogła lada dzień wprowadzić swego króla Alberta z powrotem do stolicy.

Austrjacy wycofują się z pośpiechem z Serbji i Czarnogóry na linję Dunaju.

Na froncie włoskim nowa ofensywa włoska nad Piawą. W Kijowie wykonano zamach na dowódcę wojsk niemieckich gen. Rohrbacha, w Wilnie przyszło do starcia między wojskiem niemieckim i publicznością.

R a d o m, 26. października 1918.

Kościół po-bernardyński okazuje się za szczyt na pomieszczenie tłumów, schodzących się teraz na nabożeństwa różańcowe. Mówiłem dziś o nieprzyjacielu Chrystusa i ludzkości — o szatanie.

W naturze widać pewne stopniowanie: minerały, rośliny, zwierzęta, człowiek. Na czele świata widomego stoi człowiek, który mając ciało i duszę, jest łącznikiem między światem materialnym i światem duchów.

Pismo św.*) i Tradycja**) rozróżnia aż dziewięć stopni duchów nadziemskich, zwanych zwykłe aniołami. To upoważnia nas do twierdzenia, że i w świecie duchowym istnieje pewna gradacja, że istoty duchowe, obdarzone nadzwyczajnym rozumem, bystrością, zdolnościami, przewyższającymi niesłychanie zdolności człowieka, różnią się znacznie między sobą.

Wyobraźmy sobie na samym szczycie ducha anioła, najdoskonalszego, jakiego Bóg ku Swej chwale stworzył, jaśniejącego i cudnego jak zjawisko, jak światło samo, jak słońce—Lucifer.

Pan Bóg zostawia każdemu rozumnemu stworzeniu wolną wolę, by stworzenie dobrowolnym aktem swej woli zasłużyło sobie samo na szczęście.

Pismo św. mówi, że duch ów najdoskonalszy, stojący na samym szczycie, najbliżej Boga, czując

*) Efez. 1, 21; Apok. 5, 11.

**) Św. Cyryl Jer., św. Grzegorz W. hom 34.

się podobnym Bogu, powiedział: — »jestem Bogiem.*) — I pisze św. Jan w Apokalipsie:**) »I stała się wielka bitwa na niebie. Michał i aniołowie jego walczyli ze smokiem. I zrzucony jest on smok wielki wąż starodawny, którego zowią djabłem i szatanem, który zwodzi wszystkich świat.« A z Lucyferem jego zwolennicy.

Pozostały tym istotom ich dawne zdolności i przymioty, ale zaczęły działać w kierunku ujemnym. Powstaje armja duchów, obdarzonych nadzwyczajną inteligencją i siłą, ale i całą otchłanią przewrotności i złości. I odtąd zaznacza się ustawiczne przeszkadzanie Bogu w Jego zamiarach i dziełach.

Bóg tworzy Swoje Królestwo — szatan małpuje Boga i zakłada swoje.

Stworzył Bóg ku Swej chwale ludzi, — szatan przeciąga ich przez grzech na swoją stronę, psuje Bogu plan. Bóg naprawia spaczone dzieło, posyła na pomoc ludzkości Swego Syna. Szatan organizuje całą koalicję wrogów, nie waha się wprzagnąć w swe szatańskie dzieło nawet jednego z apostołów, doprowadza do chwilowego tryumfu swego — do śmierci Syna Bożego.

Śmierć ta jednak staje się ciosem największym dla szatana, bo tym, który mocniejszy, tym który zwyciężany był, jest i będzie zawsze wszechmogący Bóg. Chrystus zmartwychwstaje, Chrystus zwycięża, Chrystus panuje.

*) Ezechiel 28, 2.

**) Apok. 12, 7—9.

Chrystus zakłada Swój Kościół — Swe Królestwo na ziemi. Szatan chce mieć także swoje, więc psuje dzieło Boże, prześladuje z całą nienawiścią, odszczepieństwem, herezjami i ciągłą, nieustanną, systematyczną walkę, w której łączą się stale wszystkie męty — to, co świat ma najgorszego.

Ta nieubłagana walka widoczna i w każdej duszy poszczególnej, widoczna i w dziejach ludzkości.

W historii świata, w historii powszechnej istnieje dużo ciemnych kart, których niepodobna przypisać samemu tylko człowiekowi. Bo człowiek sam przez się nie jest złym. I kiedy mamy przed sobą fakta straszne, potworne zbrodnie, popełnione w ciągu wieków w różnych czasach, rewolucję francuską, rzeź galicyjską w r. 1846, dzisiejszą straszną, przygniatającą swym ogromem i nieszczęściem wojnę, bolszewicką czerezwyczajkę rosyjską ze swemi mrozącemi krew okrucieństwami, to stanowczo nie sam człowiek temu winien. Człowiek nie taki zły. Tego nie mógł człowiek sam zrobić. Inaczej trzeba by zwątpić w ludzkość i człowieczeństwo. To zrobił ktoś poza człowiekiem, ktoś straszny w swej szatańskości i złości, ktoś, który sam w sobie jest zły — szatan.

W maju 1911, będąc w Dziedzicach na Śląsku, poszedłem na przechadzkę w stronę Żebraczy, gdzie znajduje się kopalnia węgla. Pod olszyną widzę zbiegowisko — podchodzę — na ziemi leży człowiek twarzą do ziemi, a plecy ma skrzwawione, zrabane siekierą jak kłoda drzewa. Gdy

spół, podszedł go sąsiad i śpiącego formalnie zarażał.

Przyszedł lekarz żyd i sam przerażony nadmiarem złości i zbrodni, pyta: »Księżę, czy to jeszcze ludzie?«

Trudno uwierzyć, by sam człowiek mógł się zdobyć na podobną ohydę, gdyby nie popchnęła go do tego jakaś poza człowiekiem stojąca, piekielnie zła i przewrotna w swej złości siła.

Dlatego też wbrew wszystkiemu zbliżmy się wszyscy do Boga wiarą mocną! Podnieśmy ducha, zjednoczmy i skupmy swe siły na stworzenie z Polski Królestwa Chrystusowego, Królestwa Marji, gdy wolność przyjdzie, gdy pękną kajdany!

R a d o m, 27. października 1918.

Radom nie gustuje w kazaniach o szatanie. Otrzymałem dziś kilka anonimów z racji wczorajszego przemówienia na nabożeństwie różańcowym. Nie podobało się. Nie wiedzą jeszcze w Radomiu, że kazanie, które wszystkim przypada do gustu, niekoniecznie zawsze bywa dobre i nie o to chodzi w kazaniach, by się podobały, lecz o to, by podziałały na dusze i trwałym swoim wpływem silny nacisk wywarły na wolę słuchaczy.

Zdaje się, że najbardziej nie podobało się ono szatanowi. Lubi, kiedy ludzie jego istnieniu zaprzeczają, a wszelkie rozmowy na temat szatana za naiwne straszenie dzieci i wymysł księży uważają.

Zapomina się, że są w Polsce i poza Polską ludzie, uważający się za bardzo »oświeconych« —

Zuławski, Ewers, którzy nietylko wierzą w istnienie szatana, lecz szerzą jego kult i dają wyraz swej przewrotnej religji satanistycznej w swych dziełach, w literaturze.

Stary Bóg, Bóg pokoju i spokoju, Bóg przykazań, ograniczających swobodę i wolność człowieka, winien według nich ustąpić miejsca szatanowi, duchowi wiecznego protestu walki o rewolucji. Na cześć szatana pisze się hymny i najobrzydliwsze wytwory schorzałej, zdegenerowanej fantazji.

Wcale się nie dziwię, że i w Radomiu ma szatan, ten duch negacji i rewolucji, sporo sympatyków.

R a d o m, 31. października 1918.

Codzień nowe wieści, wprost nieprawdopodobne. Dostaje się formalnie zawrotu głowy. Europa w ruchu.

W nocy z 28. października oświadcza rząd austriacki wobec żądań Wilsona, że zgadza się na wszystkie jego warunki, na samodzielne państwo czeskie i jugosłowiańskie i prosi o zawieszenie broni na wszystkich frontach. Niemcy oczywiście oburzeni na ten samodzielny krok sojusznika i »zdradę wspólnej sprawy«, chcą wojnę prowadzić dalej.

Po nadejściu do Pragi powyższego oświadczenia rządu austriackiego, objął rządy w Czechach Narodni Vybor. Z gmachów rządowych porywano orły austriackie i powrzucono je do Włtawy. Na ulicach odbywają się manifestacje,

publiczność zrywa wojskowym różę tzw. bączki austriackie z czapek i przypina kokardy narodowe. Wydano już pierwsze prawo, stanowiące, że w nowym państwie będzie zachowany dawny ustroj, że wszystkie prawa i rozporządzenia nadal są ważne.

Tak samo południowi Słowianie ogłosili się w sejmie w Zagrzebiu niezależnym państwem. Niemcy w niemieckich krajach austriackich utworzyli państwo narodowościowe ze stolicą w Wiedniu.

Austrii już niema. Rozpadła się.

Gdzie się podziało. — Tu felix Austria, — Oesterreich wird ewig stehen? —

Na zakończenie nauk różańcowych omówiłem słowo: »teraz«. Módl się za nami grzeszonymi teraz!

Bardzo zwykłe, pospolite, bardzo często używane słówko, niepokażne, a w Zdrowasiu takie nadzwyczaj ważne!

»Teraz« jedna chwilka — często tak króciutka jak sam wyraz. I z tych chwilek króciusieńkich, z tych »teraz« składa się czas, składa się dzień, tydzień, miesiąc, lata całe, życie nasze.

Nieuchwytnie chwilki, przechodzące z nieubłaganą koniecznością w przeszłość, by minąć na zawsze i nigdy nie wrócić. Płyną chwile, płynie życie i minie, nie wróci już nigdy. Zostanie tylko to, cośmy zdziałali dobrego w łączności z Bogiem, cośmy zrobili w tych małych chwilkach, które składały się na życie nasze.

Mickiewicz mówi: »Trudniej dzień jeden dobrane przeżyć, niż napisać księgę.«

Nic dziwnego, że i Kościół św. każe nam każdą chwilę oddać Matce Najświętszej i modlić się codziennie raz i drugi i dziesiąty na koronce, na różańcu: — módl się za nami grzesznymi teraz, bo wie, jak to ciężko przeżyć dobrze dzień każdy, przejść dobrze przez życie, by nam to życie nasze nie było kiedyś wyrzutem, by nie było chwil, do których kiedyś nie chcielibyśmy się przyznać.

Módl się za nami Marjo teraz, by każde »teraz« było dobre, jasne, boże!

Módl się za nami Marjo teraz, w chwili obecnej, kiedy kończymy te cudne wieczory, spędzone tu ku chwale Twojej!

Módl się za nami Marjo teraz, kiedy nam wszystkim tak ciężko, kiedy mimo wszystko jeszcze w niewoli trwamy, — teraz, kiedy nam wszystkim dobrej woli i ducha jedności trzeba do pracy zgodnej w powstającej z grobu nowej, odrodzonej Ojczyźnie! Teraz, gdy »oto idzie moc zwycięska, panujący idzie Pan!«*)

Módl się za nami teraz!

R a d o m, 1. listopada 1918.

Dziś wieczorem przy kolacji w kasynie przeczytał nam gen. Kwiatkowski rozkaz szefa sztabu generalnego w Warszawie generała Rozwadowskiego, wystosowany wprost do Komendy: »Wojśka polskie winny być natychmiast uroczyście zaprzysiężone, ludność należy przez plakaty, przy użyciu wszystkich środków zawezwać do spokoju i porządku, każdą niepolską narodowość tak dłu-

*) Krasiniński: Psalm przeszłości.

go uważać za zaprzyjaźnioną, dopóki utrzymuje spokój.

Austrjacko-węgierskie wojska i ewentualnie niemieckie oddziały traktować należy jak neutralne. Ich wymarsz nastąpi po zupełnem uregulowaniu stosunków. Przejeżdżające transporty tych wojsk winny być, o ile możliwości, przepuszczone.

Wojska Polskie noszą uniform b. Korpusu Posiłkowego, gdzie nie da się to przeprowadzić, przynajmniej polskiego orła na czapkach.

Ewentualne oddziały ukraińskie należy uważać jako zaprzyjaźnione, o ile zachowają zupełną neutralność. Należy unikać wszelkich wybryków, przestępstwa bezwzględnie karać, beznaganne działanie wszystkich urządzeń państwowych zapewnić, o dostateczne zaprowiantowanie szczególnie większych miast się starać, wszelki materiał, jak zakłady i zapasy, zabezpieczyć. Sabotaż albo grabież karać według prawa doraźnego.«

Podczas czytania rozkazu przy stole — cisza, że słyhać można było bicie własnego serca.

Wszyscy czują, wszyscy wiedzą, że to Polska się odzywa, że to pierwsze słowo Zmartwychwstającej Polski, że Polska już jest naprawdę, że »ta chwila już do nas należy«.

Wszystkim bez różnicy narodowości udziela się niesłychane wprost podniecenie. Bo to chwile, o jakich nie śniło się nikomu. Jesteśmy już w Polsce, z polskimi żołnierzami i urzędami. Tak nagle, tak zawrotnie szybko! Choć każdy czuł, że się to zbliża, przychodzi, przyjść musi, jednak rzeczywistość jest zupełnie inna niż oczekiwanie.

Wstrząsnęło to wszystko mną do głębi — wprost boję się, że mogę się powstaniem Polski — przecieszyć, bo zawsze łatwiej nad czemś boleć niż się całą duszą radować. A moja radość jest w tej chwili przeogromna — lzy gwałtem cisną się do oczu.

Te Deum laudamus!

To z Twej ręki Panie, z Twej dobroci, toś Ty sprawił, Ty, który trzymasz w ręku losy świata i narodów! »Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś Panie!«

Chciałbym Panie, by dziękował Ci za to na wieki każdy listeczek, każda trawka, co rośnie i rosnąć będzie w Polsce, każdy podmuch wiatru, każda kropla wody, chciałbym, by każde pojedyncze uderzenie serc ludzkich w Polsce było hymnem ku Twej chwale, akordem tak wielkim, jakim jest wzajemna miłość Ojca, Syna i Ducha św.! Confitebuntur coeli mirabilia Tua Domine — i niech do dziękczynienia tego dołączy się całe niebo!

Mamy Polskę — jest Polska!

Ci, co urodzą się w wolnej Polsce, nie będą mieli nawet wyobrażenia, co to znaczy nie mieć Ojczyzny, tęsknić za nią, kochać ją wtedy, gdy jej niema. Nie zrozumieją nas i naszej egzaltacji, nie zrozumieją całej literatury mesjanistycznej. Obawiam się, że Polska wolna utraci ten dziwny nimb i urok, jaki miała Polska »w ciernistej koronie«, że przestanie być tą »wielką rzeczą«, która zapalała całe pokolenia do czynu i pracy i broniła przed marazmem i zepsuciem. Dziś trzeba bę-

dzie dać nowym pokoleniom nową myśl przewodnią. Od wielkości i wartości tej myśli zależeć będzie wielkość i wartość tych, co po nas przyjdą.

Po odczytaniu rozkazu wniósł generał Kwiatkowski okrzyk na cześć powstającego nowego państwa polskiego. Wszyscy powtórzyli go z zapalem.

Obok generała siedział pułkownik austriacki Braun. Ten człowiek płakał, kiedy sobie uświadomił, że Austrii, której tak długo służył, już nie ma. Nic dziwnego. To tak wszystko dziwnie brzmi, takie nieprawdopodobne jak w bajce.

Jesteśmy świadkami chwil niezwykłych. Wielka wojna, wielkie skutki. Stary porządek, oparty na bezprawiu i gwałcie, podtrzymywany przez setki lat pięścią, perfidją i siłą, rozpada się w naszych oczach. Okazuje się, że etyka i sprawiedliwość, choć bezbronne, są jednak wstanie prędzej czy później upomnieć się o swoje prawa, wytrącić miljonom żołnierzy broń z ręki i podyktować swą wolę. Nowe państwa tworzą się same na innych niż dotąd podstawach, przez dziwnie logiczny imperatyw Sprawiedliwości wiecznej.

Takich dni chyba niewiele w ciągu wieków. Gazety dzisiejsze przyniosły wiadomość o zawieszeniu broni na froncie włoskim. Część armji opuściła front i każdy zdąży na swoją rękę do domu. W Lublanie są już Anglicy. Pola i Triest obsadzone przez wojska amerykańskie. Tisza, drugi Bismarek węgierski, zastrzelony.

W Warszawie robota organizacyjna idzie raźniej. Brużdżą tylko stronnictwa lewicowe. Chcia-

lyby wywołać zamieszanie, ferment, by wśród niego objąć rządu. Nie chodzi im o Polskę — tylko o siebie, o władzę.

R a d o m, 2. listopada 1918.

Zyjemy w ciągłym naprężeniu.

Zachodzą zmiany tak radykalne, tak daleko idące, że nie chce się wierzyć, by to była rzeczywistość.

Dziś dzień zaduszny. Odprawiłem rano trzy Msze św. w kościele Marjackim, potem spowiadałem do godz. 11. Idę z kościoła do komendy przez park Kościuszki. Zdaleka widać pod komendą tłumy ludu, oddział byłych Dowborezyków i uczniów szkół średnich z bronią w ręku. Z budynku zdjęto napis: K. u. k. Kreiskommando, c. i k. Komenda powiatowa.

Wchodzę na pierwsze piętro, tam ruch niezwykły, ożywienie. Powiadają, że to oddanie komendy delegatom Rządu polskiego. W kancelarji generała Kwiatkowskiego natrafiłem właśnie na chwilę, kiedy generał Kwiatkowski oświadcza, że oddaje władzę delegatowi rządowemu inż. Słomińskiemu. Następnie przeszli wszyscy obecni na balkon, skąd wywieszono biało-amarantową chorągiew. Cała publiczność przyjęła to oklaskami i okrzykami. Orkiestra strażacka zagrała: »Jeszcze Polska nie zginęła«.

Nastąpiło ogłoszenie objęcia komendy powiatowej przez inż. Słomińskiego, a komendy wojskowej przez podporucznika Marjańskiego.

Dziwny moment niezwykle, wprost przygniatający swą wielkością. Zmiany oszałamiające. — Nastrój w mieście niezwykle, pełen podniecenia.

Po obiedzie poszedłem do parku Kościuszki, gdzie w dni słoneczne siadywaliśmy zwykle w trójkę z komisarzem skarbowym dr. Staromiejskim i komisarzem policji Bartą.

Z daleka słychać było jakieś okrzyki i śpiewy. Okazało się, że to socjaliści sformowali pochód przed swój lokal związkowy. Poszedłem tam. Wygłaszano szereg przemówień z balkonu w domu na rogu ul. Marjackiej i Wysokiej. Mowy te były w wysokim stopniu podburzające. Ich treść mniej więcej taka: Rządy w komendzie objęła burżuazja, a należą się proletarjatowi. To musi się zmienić, musi dojść do rewolucji. Precz z hasłami burżuazyjnemi o wojsku polskim, precz z Radą Regencyjną, precz z Białym Orłem! Jakiś student zaprotestował przeciw temu. Wnet utworzył się koło niego wir, zakłębiło się, zakotłowało, zaczęto go bić laskami. Wreszcie czterech ludzi z partji, z opaskami czerwonymi na rękę, wyrwało go z pomiędzy tłumu i odprowadziło do lokalu socjalistycznego. Biedny chłopiec był blady jak ściana.

I to niespełna w trzy godziny po objęciu rządów i komendy przez Polaków!

Zrobiło to na mnie wrażenie wprost fatalne, oziębiło bardzo mój entuzjazm.

Incydent ten jest najlepszym dowodem, że obecny porządek jest poważnie zagrożony przez elementy niepatrijotyczne, wywrotowe.

Byłem potem w komendzie. Tam przewrót niebywały. W kancelarji starosty rozlokowała się

komisja do przejęcia władzy z rąk okupantów, po korytarzach i schodach pełno uczniów szkół średnich i ludzi młodych z różnych sfer. Znoszą i wybierają sobie karabiny. Kto przyjdzie, dostaje karabin. W przedpokoju komendanta skrzynia z amunicją, naboje karabinowe porzucane w nieładzie na podłodze, tuż obok beczka od piwa, chleb, cukier, skóry na podeszwy.

Równocześnie przejmują młodzież, zebrana dorywczo, magazyny wojskowe po mieście, usuwa austriackie warty i pełni służbę w miejsce dotychczasowych oddziałów austriackich. Zamieszanie rośnie, wszystko ma charakter dorywczości.

Wieczorem pojawiła się następująca odezwa komisarza rządowego:

»Rodacy! Chwila dziejowa nadeszła! Dziś o godz. 12. w południe rządy w Radomiu i jego powiecie objęła Władza Polska.

To, o czym marzyliśmy, to za co tyle krwi niewinnej przelano — za co poniosło śmierć męczeńską tylu synów Ojczyzny — ziściło się.

Wzywamy was do spokoju!

Na was opierając się, wierzymy, iż bez wstrząśnień, bez zaburzeń i nieporządków władza polska utrwali swe podstawy.

Z chwilą obecną ustają niezwłocznie wszelkie rekwizycje rządów okupacyjnych — życie jednak winno płynąć normalnie, by władza mogła spokojnie pracować.

Mamy nadzieję, iż dojrzałość polityczna narodu polskiego, której wyrazem jest zupełna i zgodna wspólna działalność społeczeństwa Rado-

nia, będzie najlepszą rękojmią, iż władza nasza, idąc ręką w rękę z ludem, zapewni Państwu Polskiemu trwale podwaliny.

Obejmując z ramienia Rządu Polskiego władzę w Radomiu i powiecie mam nadzieję, że społeczeństwo swoją postawą ułatwi mi spełnienie włożonego na mnie obowiązku.

Komisarz rządowy powiatu Radomskiego — Z. Słomiński.

Komisja do przejęcia władzy z rąk okupantów: Dr. Stanisław Kelles-Krauz, Wacław Dębowski, Roman Szczawiński, Aleksy Rzewski (Jankowski), Jan Wigura.«

Nadto opublikowano dwa rozkazy:

»Podporucznikowi Józefowi Marjańskiemu polecamy, zgodnie z rozkazem Szefa Sztabu, jen. Rozwadowskiego z dnia 1. b. m. objąć komendę nad wszystkimi znajdującymi się w Radomiu i w powiecie oddziałami żołnierzy Polaków.

Jednocześnie polecamy obsadzić warty po mieście, na kolei, przy składach i na rogatkach.

Obywateli wzywa się do spokojnego i godnego zachowania się i we wszystkim spełniania rozporządzeń władzy wojskowej.«

Drugi rozkaz brzmi: »Od dnia dzisiejszego od godziny 12. w południe ustają wszelkie rekwizycje i pobory czynszowe przez władze okupacyjne.

Wszelkie zapasy dawnego rządu okupacyjnego przeszły na rzecz Rządu Polskiego.

Uprowadzamy, iż wszelkie kupna i sprzedaże tych rzeczy będą karane z całą surowością.

• Zabraniaamy wywozu wszelkich artykułów spożywczych, jak również rąbania i kradzieży lasów rządowych.

Żandarmerję austriacką kasuje się. Na gminach leży obowiązek niezwłocznego zorganizowania milicji gminnej. W razie niemożności zorganizowania milicji własnymi siłami gminy mogą zwracać się do Komisarza powiatu Radomskiego o przysłanie instruktorów.

Komisarz rządowy powiatowy Z. Słomiński, Komisja do objęcia władzy z rąk okupantów — Aleksy Rzewski (Jankowski), Dr. Kelles-Krauz, Wacław Dębowski, Jan Wigura, Roman Szczański.

To pierwsze polskie zarządzenia na terenie Radomia.

R a d o m, 3. listopada 1918.

Od dziś jestem polskim żołnierzem, polskim kapelanem.

Dziś w niedzielę od samego rana panował w mieście uroczysty nastrój. Przed południem odbyła się przysięga żołnierzy, oficerów i urzędników-Polaków z wojska austriackiego. O godz. 9. nabożeństwo w kościele marjackim, Mszę św. celebrował przysłany przed kilku dniami do szpitala epidemicznego, kapelan Mitiska. Po Mszy poszedłem na ambonę.

Kościół przepelniony, choć jest ogromny i może pomieścić tysiące ludzi. Gdzie okiem rzucić, masy, tłumy zbite, głowa przy głowie!

Coś się ze mną stało dziwnego — miałem poczucie, że ciąży na mnie ogromna odpowiedzialność przed Bogiem za te serca ludzkie, za tych dusz tysiące, co słów moich słuchają i po jakieś wielkie hasło na nowe życie w zmartwychwstałej Ojczyźnie przyszli.

Mówilem, gorąco nawołując do zgody i jedności w budowaniu Polski. Trzeba, byśmy dorośli do wielkości chwili. Dziś Polska już jest, ale trzeba nam być Polakami i tylko Polakami, a nie dzielić się na burżujów i proletarjat. Choćby tylko dla przykładu tym, którzy tam na kresach nad słuchują, wyglądając hasła z Warszawy, z Radomia, z serca Polski.

Myśmy dziś podnieceni, pełni zapału, ale już są oznaki rozkładu. Strzeżmy się, by nas muzyka i melodia, idąca od wschodnich granic, od Rosji, nie odurzyła, by nas nie wykierowała na chochołka słomianego, tańczącego na głos zabójczej monotonji cudzej pieśni! — Polska powstaje, by żyć! Polska powstaje, by żyć, a nie by być chochołem na pośmiewisko narodów. — Politykę zostawmy powołanym i odpowiedzialnym, a sami jednoczmy się i słuchajmy! To dziś nasz pierwszy obowiązek narodowy.

Pod koniec przemówienia wezwałem wszystkich do uroczystego ślubowania wobec Boga i Matki Boskiej, że wytrwamy w pracy dla Ojczyzny, w jedności i zgodzie.

Podniósł się cały las rąk — wszyscy w kościele zebrani ślubowali ze mną.

Nie jestem w stanie powtórzyć improwizowanych słów dzisiejszych przy tem przejmującym ślubowaniu. Wszędzie, gdzie spojrzałem, widziałem łzy w oczach, słyszałem szloch tysięcy. Skończyłem zaintonowaniem: »Boże coś Polskę«. — Śpiewał cały kościół.

Potem ruszyliśmy na plac 3. Maja, gdzie miała odbyć się przysięga. Tłumy ludu otoczyły plac. Przemówił ks. Marjan Glibowski, prefekt, poczem nastąpiło odczytanie roty przysięgi, najprzód dla oficerów i żołnierzy, a potem dla urzędników. Po przysiędze każdy ucałował krzyż i Ewangelję.

Następnie przemówił komisarz rządu p. Słomiński, a pod koniec wszedłem na podwyższenie i powiedziałem: »Teraz już dzięki Bogu niema Polaka w służbie austriackiej, ani pruskiej, ani rosyjskiej. Teraz już niema dzielnic, rozbiorów — jest tylko żołnierz polski, obywatel polski, jest tylko jedna wielka zjednoczona Polska, niech żyje Polska!« Wszyscy powtórzyli jak grzmot potężne — niech żyje! Po odśpiewaniu »Roty« Konopnickiej uroczystość się skończyła.

Po południu otrzymałem od p. Szczepaniakowej, nauczycielki Seminarjum nauczycielskiego, list z takim powiedzeniem: »Chłonęłam całą duszą słowa te płomienne o mej Ojczyźnie, odczułam grozę na widok naszego rozdwojenia, wreszcie do przysięgi wzniosłam nietylko dłoń, ale i całe serce moje — ja je całe na tej dłoni umieściłam i każdą kroplą krwi, każdym nerwem tę przysięgę składałam.

Wiem, że życie nie składa się z chwil takich, jak dzisiejsza, że przyjdzie szare, uciążliwe, przy-

kre, ale ja od dziś inaczej na każdą czynność moją patrzeć będę — każda będzie dla mnie częścią tej »służby Bożej i służby dla Ojczyzny«, na którą przysięgam i gdy słabnąć będę, daj mi tylko Boże pamięć na tę przysięgę!«

R a d o m, 4. listopada 1918.

Cieszyn i polski Śląsk cieszyński przeszedł pod rządy polskie z dniem 1. listopada. Obecnie przynoszą gazety dokładniejsze wiadomości o tem, jak się to stało.

Oficerowie polscy odbywali naradę we czwartek dnia 31. października, w domu »Dziedzictwa błog. Jana Sarkandra«. O godz. 7. wieczorem nadszedł telegraficzny rozkaz z komendy wojsk polskich w Krakowie, brygadiera Rosji, do obsadzenia wszystkich zakładów wojskowych, poczty, magistratu i dworców kolejowych.

Po złożeniu przysięgi wierności Radzie Narodowej ruszyli zebrani w domu »Dziedzictwa« oficerowie ku koszarom; koszary, wszystkie magazyny wojskowe i składy amunicji zajęto i wszędzie pozaciągano strażę wojskowe. Dotychczasowy komendant, pułkownik Gerndt, który stawiał opór, ustąpił, oświadczając, że ugina się wobec przemocy. Następnie kompanja wojska polskiego obsadziła pocztę. Przed ratuszem i przed odwachem policji, która się poddała, ustawiono warty. Tymczasem wojsko ruszyło na dworzec kolejowy na Saskiej Kępie, obejmując w posiadanie władz polskich dworzec osobowy, ciężarowy i komendę dworca.

Osobnym pociągiem wysłano oddział wojska do Skoczowa, gdzie obsadzono miasto i ogłoszono rządy Rady Narodowej. Cała kolej koszycko-bogumińska aż do granicy węgierskiej, następnie linja kolejowa Bogumin-Dziedzice, kolej Frydek-Bielsko i inne koleje na Śląsku polskim stoją pod komendą wojsk polskich.

W piątek 1. b. m. udali się posłowie ks. Londzin i dr. Michejda do starosty p. Żurawskiego, który oświadczył, że poddaje się wraz ze swoimi urzędnikami rozkazom Rady Narodowej. Następnie udali się wszyscy trzej posłowie ks. Londzin, dr. Michejda i Reger do prokuratora Prausy i naczelnika sądu obwodowego Harbicha, donosząc, że Rada Narodowa objęła na polskim Śląsku władzę. Przez cały piątek (uroczystość Wszystkich Świętych) liczne tłumy, snujące się po ulicach miasta, w podniosłym nastroju omawiały wielkie zdarzenia ubiegłej nocy.

Nigdzie nie było wykroczeń ani zaburzeń, wszędzie panował porządek.

Magistrat miasta Cieszyna zgłosił imieniem miasta przynależność do państwa niemiecko-austriackiego. Wobec posłów, przedstawiciele Rady Narodowej, zgodził się na uległość wobec postulatów Rady Narodowej. —

Dziś po południu po godz. 2. był Radom świadkiem tak długo oczekiwanego tu powszechnie wyjścia »dziadów«.

Już przed południem wywożono wojskowymi samochodami ciężarowymi bagaż, plecaki, kufry. Koło godz. 2. i pół pomaszerowali ul. Lubelską

żołnierze 93 bataljonu, podzieleni już na narodowości. Najprzód szli Czesi ze sztandarami i kordkami czeskiemi, wszyscy dobrze obładowani i z bronią. Przed komendą powiatową zatrzymali się i zaśpiewali chórem: »Kde domov moj«. Śpiewało chyba z 600 chłopca. Z okrzykami: »Na zdar!« ruszyli dalej w stronę kolei. Po nich szli Niemcy ze sztandarami pułkowymi. Szli bez entuzjazmu i bez śpiewu.

Na ulicach oczywiście tłumy, przyglądające się wyjściu »dziadów« jakby z pewnym żalem, czy też współczuciem.

Bataljon 498 rozproszył się i rozjechał niewiadomo nawet kiedy. Nie pozostało po nim śladu. Tak samo personel szpitala epidemicznego. Wszystko rozleciało się, bo każdy już ma tej wojny dosyć.

R a d o m, 5. listopada 1918.

Sytuacja w Radomiu zaostrza się i daje dużo do myślenia. Przejawia się wyraźna dążność żywiołów lewicowych do zagarnięcia rządów, choćby nawet gwałtem. Przykre nad wyraz wrażenie zrobił na mnie dziś w południe pochód robotników, uzbrojonych w karabiny. Byłoby jeszcze dobrze, gdyby to byli tylko robotnicy. Ale szło między nimi dużo ludzi mocno podejrzanych, takich, którzy nie sieją, ani orzą, a jednak zbierają. Żle, jeżeli robotnik najniepotrzebniej w świecie, zamiast stanąć do uczciwej pracy przy warsztacie, bierze się do nieswoich rzeczy — do karabinu. Na ramieniu mieli wszyscy opaski czerwone. Dzi-

wnie to pachnie Rosją. To wielki błąd taktyczny uzbrajać ludzi niepewnych, elementy niezadowolone nigdy z niczego i zamiast pracy dawać im karabin.

Tłumaczyłem to w komendzie. Powiedziano mi, że to jest wynik najświeższych narad, że tłumaczy się to obecną sytuacją polityczną w Warszawie, gdzie powstaje rząd, w którym, jak słychać, lewica ma przewagę. Wobec tego i tutaj musiano się zgodzić na wejście żywiółów lewicowych, socjalistycznych do rządu powiatowego. Tłumaczono mi, że lepiej gdy wejdą w tej formie, niż gdyby mieli sami siłą i walką to stanowisko zdobywać.

Inaczej przedstawiałem sobie tworzenie i zmartwychwstanie Polski!

R a d o m, 6. listopada 1918.

Lwów obsadzony przez Ukraińców, ukraińska Rada narodowa zawiadomiła mieszkańców afiszami, że objęła władzę w Galicji wschodniej. Między wojskami ukraińskimi a polskimi doszło do starć.

Chodzą niesprawdzone wiadomości, że Galicja razem z byłą okupacją austriacką tworzy wspólny rząd, że dyktatorem będzie do czasu zwolnienia Piłsudskiego z więzienia generał Rozwadowski. Kierowanie krajem z Warszawy ogromnie utrudnione, bo Niemcy nie myślą dotąd o opuszczeniu okupacji. Na ogół spokój. Na kolejach ruch szalony. W nocy słychać ciągle strzały.

R a d o m, 7. listopada 1918.

Na zakończenie drugiego roku wykładów w Collège de France w Paryżu w r. 1842 odczytał Adam Mickiewicz swoim słuchaczom dziwną, a pełną nadziei w zmartwychwstanie Polski przepowiednię poety polskiego Brodzińskiego, zmarłego 1835 roku. Z okazji powstania listopadowego 1830 pisze Brodziński:

»Dni miesiąca listopada są pełne świętych tajemnic. W listopadzie rozpoczyna się uroczystość przyścia Chrystusa — adwent. Na listopad przypada święto św. Andrzeja, którego Pan pierwszego między uczniów powołał, a który według podania był pierwszym apostołem Słowian... w dzień przed uroczystością św. Andrzeja podniósł lud polski na nowo krzyż Chrystusów... czuwajcie matki, czuwajcie nauczyciele i kaznodzieje! Niech każda dusza polska zatęskni i czuwa, bo nie wie, gdzie i kiedy usłyszy wołanie!«

Tak pisze Brodziński.

I kiedy zajrzeć do historji, to rzeczywiście trzeba przyznać, że listopad jest dla Polski miesiącem wielkich wydarzeń i przełomów.

Od okropnej rzezi Pragi, dokonanej 3. i 4. listopada 1794, poprzez strącenie z tronu ostatniego króla polskiego 25. listopada 1795 roku, przez wawy Samosierry i klęskę Berezyny aż do powstania 1830. Potem przerwa do 1. listopada 1905, gdy plac Teatralny w Warszawie spływa krwią polską, kobiet i dzieci, masakrowanych przez kozaków. A w czasie wojny, pamiętny akt 5. listopada, akt zwodniczych obietnic wskrzeszenia państwa

polskiego. W dwa lata później — listopad zmar-
twychwstania — listopad wolności, powstania
państwa polskiego, listopad zjednoczenia trzech
zaborów, niestety bez Lwowa.

Co nam przyniesiesz dalej tajemniczy, wielki,
radosny ale i straszny polski listopadzie?

R a d o m, 7. listopada 1918.

»Monitor Polski« z 5. listopada ogłasza ode-
zwę Rady Regencyjnej do Narodu Polskiego:

»Rada Regencyjna wraz z całym narodem pod
opieką Bożą idzie ku Odrodzonej, Zjednoczonej
Polsce, której moc państwową chce oprzeć na nie-
spożytych siłach ludu polskiego.

Stanowczy krok w tym kierunku uczyniliśmy,
ogłaszając orędziem naszym z dnia 7. października
r. b. Niepodległość i Zjednoczenie Polski. Pod
temi hasłami jednoczy się cały naród. Ale dalsza
droga do urzeczywistnienia Polski Zjednoczonej
i Wolnej prowadzi jedynie i wyłącznie przez
Sejm Konstytucyjny. Wierni naszemu orędziu i
naszej przysiędze, nie dopuścimy żadnego od tej
drogi zboczenia.

Za takie niebezpieczne i niedopuszczalne w
interesie narodu zboczenie musimy uznać wszelką
próbę wciśnięcia pomiędzy naród polski a polski
ludowy Sejm ustawodawczy zawodnych i jedno-
stronnych dążeń i formacji partyjnych. Nie mo-
żemy też dopuścić, aby narażano istotny interes
i istotną suwerenność ludu polskiego, którego
upragnionym rzecznikiem może być jedynie tylko
Sejm na najszerszych, demokratycznych podsta-

wach oparty, a w żadnym razie zmieniające się z dnia na dzień ugrupowania partyjne.

Z tych pobudek i ze względu na konieczny ład, porządek i powagę, godną wielkiego narodu w tak doniosłej dla niego chwili stanowimy:

»1. Zwołać w ciągu grudnia b. r. do stołecznego m. Warszawy Sejm Konstytucyjny, oparty na głosowaniu powszechnem.

2. Ogłosić niezwłocznie ordynację wyborczą, oraz zarządzenia dla zwołania Sejmu konieczne.

Wzywamy stronnictwa polityczne, aby, kierując się ofiarnością patriotyczną, w ciągu najbliższych dni przedstawiły nam do zatwierdzenia Rząd narodowy, uosabiający powszechność narodową, w którego ręce moglibyśmy z ufnością złożyć losy Ojczyzny. Jeżeli się to nie stanie, powołamy niezwłocznie gabinet szczerze demokratyczny z ludzi, którzy sprawę Ojczyzny stawiać będą ponad wszelkie względy partyjne.

Do tej stanowczości wzywa nas chwila historyczna. Budowa państwowości wymaga szybkiej realizacji, granice państwa są zagrożone, wojsko musi niezwłocznie powstać.

Powołujemy cały naród, aby w imię dobra Ojczyzny się zjednoczył i do pierwszego Sejmu Konstytucyjnego śpiesznie się sposobił. W ręce tego Sejmu władzę naszą złożymy.«

Podpisano: Aleksander Kakowski, Józef Ostrowski, Zdzisław Lubomirski.

By umożliwić stworzenie nowego rządu, w którym wzięliby udział przedstawiciele wszystkich ugrupowań partyjnych, ustąpił cały dotychczasowy gabinet Świeżyńskiego.

R a d o m, 8. listopada 1918.

Dziś pojawiły się na mieście ogłoszenia o polskiej republice ludowej i rządzie tymczasowym w Lublinie. Nie czekając na skonsolidowanie sił całego kraju, kilku ludzi ambitnych, adorujących się wzajemnie, narzuca się Polsce, tworząc samowładny tymczasowy rząd lubelski, rozpoczynając bardzo niebezpieczną grę w obecnej chwili.

Na ulicach rozlepiono afisze następującej treści:

»Republika polska — Tymczasowy Rząd Ludowy. Obywatele! Reakcyjne i ugodowe rządy Rady Regencyjnej zostały przez Lud Polski obalone. Z polecenia stronnictw ludowych i socjalistycznych b. Królestwa i Galicji ogłaszamy się za Tymczasowy rząd ludowy republiki polskiej, ujmując w swoje ręce pełnię władzy do chwili zwołania Sejmu Ustawodawczego. — Komendantem naczelnym wszystkich wojsk polskich mianujemy zastępcę J. Piłsudskiego, pułkownika Edwarda Rydza-Śmigłego. Tymczasowy rząd ludowy republiki polskiej: Tomasz Arciszewski, Ignacy Daszyński, Medard Downarowicz, Gabryel Dubiel, Marjan Malinowski, Jędrzej Moraczewski, Tomasz Nocznicki, Julian Poniatowski, Wacław Sieroszewski, Błażej Stolarski, Stanisław Thugutt, Wincenty Witos, Bronisław Ziemięcki.«

Trzynaście nazwisk, trzynastu założycieli republiki polskiej — fatalna cyfra, może się ta zabawa fatalnie skończyć. Data: Lublin-Kraków, 7. listopada 1918.

Trzynastu tych megalomanów ogłasza równocześnie odezwę, której nie powstydzilyby się sowiety rosyjskie. Brzmi ona:

»Do ludu polskiego! Robotnicy, Włościanie, Żołnierze polscy! Nad skrwawioną i umęczoną ludzkością wschodzi zorza pokoju i wolności. W gruzy walą się rządy kapitalistów, fabrykantów i obszarników, rządy militarne ucisku i społecznego wyzysku mas pracujących. Wszędzie lud pracujący dochodzi do władzy. I nie zaświta lepsza dola nad narodem polskim, jeżeli rdzeń i olbrzymia jego większość — lud pracujący nie ujmie w swoje ręce budowy podwalin naszego życia społecznego i państwowego.

Nie może losem narodu polskiego nadal kierować Rada Regencyjna przez obce i wrogie czynniki nam narzucona, która swoją ugodową i reakcyjną polityką, oddając jednocześnie niemal dyktatorską władzę w ręce austriackiego żołdaka Rozwadowskiego, pcha naród polski ku przepaści.

Ludu polski! Polski chłopie i robotniku!

Jeżeli chcesz zająć należne Ci miejsce w rodzinie wolnych narodów, jeżeli chcesz sam być gospodarzem na swojej własnej ziemi, to musisz w swoje ręce ująć władzę w Polsce, musisz sam budować gmach Niepodległej i Zjednoczonej Ludowej Rzeczypospolitej Polskiej.

W przekonaniu, iż sprostasz temu wielkiemu a świętemu zadaniu z polecenia ludowych i socjalistycznych stronnictw b. Królestwa i Galicji, ogłaszamy się za Tymczasowy Rząd Ludowy Polski i do chwili zwołania Sejmu Ustawodawczego władzę całkowicie i niepodzielnie obejmujemy,

ślubując sprawować ją sprawiedliwie ku dobru i pożytkowi ludu i państwa polskiego, nie cofając się jednak przed surową i bezwzględną karą wobec tych, którzy nie zechcą uznać w Polsce władzy Demokracji Polskiej.

Jako Tymczasowy Rząd Ludowy Polski postanawiamy i ogłaszamy poniższe prawa, obowiązujące cały naród polski od chwili wydania niniejszego dekretu:

1. Państwo polskie, obejmujące sobą wszystkie ziemie, zamieszkałe przez lud polski z własnym wybrzeżem morskim, stanowić ma po wszystkie czasy Polską Republikę Ludową, której pierwszego Prezydenta obierze Sejm Ustawodawczy.

2. Rada Regencyjna, działająca na szkodę narodu polskiego, z dniem dzisiejszym z woli ludu polskiego przestaje istnieć.

W razie gdyby Rada Regencyjna oraz rząd przez nią stworzony tej woli ludu polskiego nie chciały się poddać, ogłoszone będą za wyjęte z pod prawa.

Ściganie, ujęcie i oddanie ich w ręce naszych władz wykonawczych będzie obowiązkiem każdego obywatela państwa polskiego.

3. Istniejącemu obecnie w Warszawie prowiźorycznemu rządowi urzędniczemu rozkazujemy niniejszem natychmiast podporządkować się nam i sprawować swe funkcje aż do chwili otrzymania od nas bliższych instrukcyj. W przeciwnym razie będą postawieni w stan oskarżenia przed Trybunałem Ludowym, którego skład i kompetencje będą niebawem ogłoszone.

4. Sejm Ustawodawczy zwołany będzie przez nas jeszcze w roku bieżącym na podstawie powszechnego, bez różnicy płci, równego, bezpośredniego, tajnego i proporcjonalnego głosowania. Ordynacja wyborcza będzie ogłoszona w ciągu najbliższych dni. Czynne i bierne prawo wyborcze będzie przysługiwało każdemu obywatelowi, mającemu 21 lat skończonych.

5. Z dniem dzisiejszym ogłaszamy w Polsce całkowite, polityczne i obywatelskie równouprawnienie wszystkich obywateli bez różnicy pochodzenia, wiary i narodowości, wolność sumienia, druku, słowa, zgromadzeń, pochodów, zrzeszeń, związków zawodowych i strajków.

6. Wszystkie w Polsce donacje i majoraty ogłaszamy niniejszem za własność państwową. Dla przeciwdziałania spekulacji ziemią będą wydane osobne przepisy.

7. Wszystkie lasy zarówno prywatne jak i dawne rządowe ogłaszamy za własność państwową. Sprzedaż i wyrąbywanie lasów bez specjalnego pozwolenia od chwili ogłoszenia niniejszego dekretu jest wzbroniona.

8. W przemyśle, rzemiosłach i handlu wprowadzamy niniejszem 8-miogodzinny dzień roboczy.

9. Po ukonstytuowaniu się ostatecznem przystąpimy natychmiast do reorganizacji na zasadach szczerze demokratycznych Rad Gminnych, Sejmików Powiatowych i Samorządów Miejskich, jak również do zorganizowania po miastach i wsiach milicji ludowych, któreby zapewniły ludności ład i bezpieczeństwo, a posłuch i wykonanie zarządzeń naszych organów wykonawczych.

Należyte postawienie sprawy aprowizacji ludności, zapewnienie jej niezbędnych po taniej cenie artykułów spożywczych uważamy za jeden z pierwszych naszych obowiązków. W tępieniu zbrodniczej spekulacji i ukrywania zapasów i w ułatwieniu dostarczania żywności oprzemy się na organizacjach samorządowych i społecznych.

Na Sejm Ustawodawczy wniesiemy projekty następujących reform społecznych:

a) przymusowe wywłaszczenie i zniesienie wielkiej i średniej własności ziemskiej i oddanie jej w ręce ludu pracującego pod kontrolą państwową;

b) upaństwowienie kopalń, salin, przemysłu naftowego i dróg komunikacyjnych, oraz innych działów przemysłu, gdzie się to da odrazu uczynić;

c) udział robotników w administracji tych zakładów przemysłowych, które nie zostaną odrazu upaństwowione;

d) prawa o ochronie pracy, ubezpieczeniu od bezrobocia, chorób i na starość;

e) konfiskaty kapitałów powstałych w czasie wojny ze zbrodniczej spekulacji artykułami pierwszej potrzeby i dostaw do wojska;

f) wprowadzenia powszechnego, obowiązkowego i bezpłatnego świeckiego nauczania szkolnego.

Polaków, zamieszkałych na ziemiach byłego Księstwa Litewskiego, wzywamy, aby w braterskiej zgodzie z narodami litewskim i białoruskim dążyli do odbudowania państwa litewskiego w dawnych jego historycznych granicach, Polaków zaś ze wschodniej Galicji i na Ukrainie do poko-

owego załatwienia kwestji spornych z narodem ukraińskim, aż do ostatecznego ich uregulowania przez miarodajne czynniki obu narodów.

Ludu polski! Te reformy polityczne i społeczne, które pragniemy w życie wcielić, są najniezbędniejsze.

Bez urzeczywistnienia ich Polska nigdy nie dźwignie się z dzisiejszej nędzy, bezwładu i upokorzenia. Urzeczywistnieniu tych reform na obszarze całej Polski stoi na przeszkodzie to, iż część jej jeszcze znajduje się w posiadaniu rabujących ją i niszczących wojsk niemieckich. Dlatego też nie mamy w swym składzie przedstawicieli ludu z Poznańskiego, dlatego też chwilowo nie urzędujemy w Warszawie — stolicy Polski. Wierzmy, iż lud niemiecki, który z takim trudem dochodzi u siebie w domu do władzy, rozkaże swym wojskom bezwzględnie opuścić wszystkie ziemie polskie, odda nam naszych najlepszych obywateli z Piłsudskim na czele, jak również jeńców wojennych i robotników więzionych dotychczas w Niemczech.

Ale gdyby wojska niemieckie nie ustąpiły dobrowolnie z całej ziemi polskiej, to wezwiemy Cię, Ludu Polski, abyś z bronią w rękę szedł ją uwolnić od niemieckiego najazdu, jednoczyć w całość państwową. Dlatego też organizowanie regularnej armji ludowej uważamy za jedno z najważniejszych i najpilniejszych naszych zadań. Wierzmy, że młodzież wiejska i robotnicza z radością stanie w szeregach rewolucyjnej armji polskiej, z ludu wyszłej, politycznych i społecznych praw ludu pracującego broniącej, Rządowi Ludowemu

wiernie i całkowicie oddanej, jedynie jego rozkazom podległej. Tworzenie tej armji wobec nieobecności Józefa Piłsudskiego powierzamy jego zastępcy pułkownikowi I. Brygady b. Legjonów Polskich, Edwardowi Rydzowi-Śmigłemu.

Ludu Polski! wybiła godzina Twego czynu. Weź wielkie dzieło wyzwolenia Twej ziemi, przesiąkniętej potem i krwią Twych ojców, praojców w swe spracowane, mocne dłonie i przekaz następnym pokoleniom Wielką i Wolną, Zjednoczoną Ojczyznę.

Stań jak jeden mąż do czynu; nie poskap wielkiemu dziełu wyzwolenia Polski i pracującego w niej człowieka ani mienia, ani ofiar, ani życia.

Was bratnie narody litewski, białoruski, ukraiński, czeski i słowacki wzywamy do zgodnego z nami współżycia i wzajemnego wspierania się w wielkiem dziele tworzenia związku wolnych i równych narodów.

Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej: Tomasz Arciszewski, Ignacy Daszyński, Medard Downarowicz, Gabrjel Dubiel, Marjan Malinowski, Jędrzej Moraczewski, Tomasz Nocznicki, Juljusz Poniatowski, Edward Rydz-Śmigły, Wacław Sieroszewski, Błażej Stolarski, Stanisław Thugutt, Wincenty Witos, Bronisław Ziemięcki.

Lublin-Kraków, dnia 7. listopada 1918.

Kilku tych członków rządu lubelskiego znam jeszcze z N. K. N. z Jabłonkowa i z Krakowa. To ludzie nie do rządów. To nie ci, co jak chce Kraśński, »umieliby wylać ducha na miljony, ciałom

wszystkim rozdać chleba, duszom wszystkim — myśli z nieba.« Zresztą z równem prawem może dziś czy jutro inna grupka ludzi proklamować republikę gdzieś w Pacanowie i ogłaszać jeszcze dłuższy program, nie mający z »wołą ludu« i z Polską nic wspólnego.

Program rządu lubelskiego zbywa milczeniem Pana Boga, widocznie chce urządzać Polskę bez Boga. Nie mając jeszcze żadnej władzy w ręku, wyjmuje już niewygodnych sobie ludzi z pod prawa i grozi im Trybunałem Ludowym. Wiadomo dobrze, co to jest. Pierwszym więc aktem — akt nienawiści, drugim zapowiedziana konfiskata, czyli najzwyczajniejsza grabież własności prywatnej na rzecz państwa, a właściwie partji rządzącej, trzecim zapowiedź wyrzucenia Boga ze szkoły, wyrzucenia religji ze szkół przez obietnicę świeckiego nauczania szkolnego.

Jacy ludzie, taki program.

Skrajne żywioły, frakcje rewolucyjne zawsze bardzo krzykliwe i pewne siebie chcą steroryzować resztę społeczeństwa groźbą rozruchów, bolszewizmu i sięgają po władzę. Stara, wypróbowana metoda socjalistyczna.

Pomyśleć, że Polska — katolicka Polska ma mieć rząd socjalistyczny, rząd z takim programem! Nie jestże to paradoks? Przecież tu socjalizm jest rozwinięty tylko po miastach i w ośrodkach przemysłowych, a tych niewiele. Reszta ludu jest stanowczo lepsza od tych, co narzucili mu się na przedstawicieli — to lud religijny, wierzący, nie mający z socjalizmem nic wspólnego, niestety nie zorganizowany, bo ludzie uczciwi są zawsze źle

zorganizowani, albo wogóle nie organizują się, a bez organizacji najlepszy człowiek traci dziś swoją wartość i znaczenie.

W każdym razie czasy idą wielkie. Niewola, zabory nagromadziły za dużo krzywd, za dużo złego, by Polska odrazu mogła stać się rajem. Trzeba wzajemnych ofiar, trzeba reform, ale nie doktrynerskich, oderwanych od życia, reform nie przekreślających etykę i moralność chrześcijańską.

W tej chwili otrzymałem list od p. drowej Szczepaniakowej. Spotkałem ją dziś w Seminarjum nauczycielskiem, gdzie od miesiąca uczę historii powszechnej. Mówiliśmy o tem, co dzieił przyniósł, o tem, że ta nowa Polska tak nienaturalnie czerwona. Wyrwało mi się wtedy: »to wasza praca wszystko«. Ona bowiem także pracowała kiedyś jako socjalistka i była redaktorką pisma socjalistycznego, ale w czasach, kiedy partja socjalistyczna była więcej polską i antyrosyjską, niż socjalistyczną.

W liście pisze: »boli mnie wszystko, co się dzieje, boli, że to budowanie mojej Ojczyzny nie idzie drogą prostą wzwyż, lecz zaczyna się od burzenia, od negacji, od szarpania władzy każdy w swoją stronę. Boli mnie więcej niż kogo innego, bo i ja niegdyś pracowałem w szeregach tych, co teraz głoszą hasła wywrotowe i moja może cegiełka jest w tym gmachu takim bez podstaw i fundamentów.«

Podziemna, tajna robota w Królestwie zwrócona przeciw caratowi, organizowana była głównie przez socjalistów. Działalność ta niebezpiecz-

na, ciągle śledzona i tropiona, była otoczona nimbem, urokiem, pociągała w szeregi jednostki najzdolniejsze, najwybitniejsze, czujące gorąco po polsku. Trafiając na liche tu naogół przygotowanie religijne i rzucając się wprost w oczy ignorancję religijną, skierowywał socjalizm tych ludzi łatwo na drogę materjalizmu i negacji prawd objawionych, oraz ateizmu. Socjalizm wyrobił tu sobie dużo jednostek z politycznym nerwem, wykształconych a przede wszystkim karnych. A aureola męczeństwa i romantycznej pracy podziemnej wśród najtrudniejszych warunków, ogólny brak mocnych i jasno skryształizowanych zasad religijnych we wszystkich warstwach społeczeństwa, zyskuje socjalizmowi i innym wywrotowym partjom sympatyków i poparcie, nawet w sferach uważanych za burżuazyjne.

W gazetach wiadomości, że Niemcy wysłali do generalissimusa wojsk koalicyjnych Focha delegację, która ma układać się o zawieszenie broni. W Galicji walki nad Sanem, we Lwowie walki uliczne z Ukraińcami. W Trzebini stoi masa pociągów z wojskiem, jeńcami, wracającymi do domu. Brak lokomotyw. Wszyscy jadą bez kontroli, bez biletów. Do przedziałów wchodzi ludzie zwykle przez okna, bo wagony i przejścia zapchane do ostatniego miejsca.

R a d o m, 9. listopada 1918.

W tej chwili godzina 12 $\frac{1}{2}$ w południe, odbywa się na placu 3. Maja przysięga wojska polskiego na rząd lubelski.

Otrzymałem przed południem wezwanie do odebrania przysięgi od żołnierzy i do złożenia nowej przysięgi, bo tamta z niedzieli — nieważna.

Oświadczyłem, że o ważności przysięgi decyduje kto inny, nie komenda powiatowa, i że ani sam nie złożę, ani nie odbiorę od żołnierzy przysięgi na rząd, który sam się zamianował i który ogłasza tego rodzaju hasła i zapowiada pośrednio walkę z Kościołem, nie licząc się wcale z przekonaniami i wierzeniami ludu polskiego.

Równocześnie zgłosiłem swe wystąpienie z wojska polskiego, oświadczając, że gotów jestem przez jakiś czas pełnić zastępczo funkcje kapelana.

Przestałem być kapelanem wojskowym.

I przysięga odbywa się bez księdza, bez krzyża, bez Ewangelji św., bo zawiadomiłem księży parafjalnych i księży prefektów o fakcie i motywach i nie przypuszczam, by jaki ksiądz katolicki, zdający sobie sprawę z wypadków, mógł się zgodzić na udział w takiej przysiędze.

Tak skończyła się moja kapelańska służba wojskowa. —

Dziwna rzecz, że choć dałbym się za Polskę pociąć na kawałki, po kilku dniach służby w wojsku polskim jestem zmuszony z tego wojska wystąpić.

W duszy gorycz, ale to nic. To Panie na wynagrodzenie za niewierności moje, opuszczenia, błędy i winy w czasie spełniania obowiązków kapelana wojskowego. Przecież jestem przede-

wszystkiem księdzem katolickim i nie mogę być sługą Kościoła, a równocześnie przysięgać na służbę i posłuszeństwo ludziom, walczącym przez całe życie z Kościołem.

Rząd lubelski zamianował komisarzem powiatowym swojego człowieka Aleksego Rzewskiego. Na budynku, w którym mieszczą się władze powiatowe, wywieszono czerwony sztandar.

R a d o m, 10. listopada 1918.

Rząd lubelski zyskał sobie posłuch tylko w Lublinie i w Radomiu. W Warszawie tworzy się dalej i pracuje po dawnemu. Rada Regencyjna ogłasza w dalszym ciągu chęć ustąpienia i oddania władzy, skoro tylko utworzy się gabinet koalicyjny. Sytuacja wciąż nie wyjaśniona.

Dzienniki donoszą, że poseł Witos nie podpisał wcale programu rządu lubelskiego i od tej całej donkiszoterji się odżegnywa.

Dziś niedziela, miałem nabożeństwo w kościele Marjackim o godz. 9. w miejsce dotychczasowego wojskowego. Nie spodziewałem się, że przyjdą jacy żołnierze. A jednak z przyzwyczajenia przyszli. Było ich do dwustu. Poza tem licznie zebrana ludność radomska.

Wczoraj podczas składania przysięgi na placu 3. Maja napiętnowano publicznie, że duchowieństwo nie przyszło do odebrania przysięgi, bo jest jakoby nieprzyjacielem ludu robotniczego i żołnierzy.

Wobec tego uważałem za konieczne wyjaśnić także publicznie w kościele stanowisko moje i du-

chowieństwa w tym wypadku. — Wszyscy, którym kazano przysięgać wczoraj, złożyli już przysięgę w niedzielę 3. b. m. Przysięga złożona raz wobec tego samego jedynego Boga, na tę samą jedną Polskę obowiązuje bez względu na to, jaki w Polsce będzie rząd. — Komu i przed kim złożył przysięgę rząd lubelski? Skąd uzurpuje sobie prawo zmuszać drugich do tego, czego sam nie robi? Przysięga to nie rękawiczka, którą się dowolnie ściąga lub naciąga na rękę.

Przysięgać na hasła, wysunięte przez ludzi, o których wiadomo dobrze, co za jedni, ludzi, którzy w swej zarozumiałości sięgają sami po władzę, do tego nie przyłoży ręki żaden ksiądz. Czego ci ludzie chcą, to jasno i wyraźnie wydrukowali i podpisali. To są hasła, godzące w wierzenia milionów, w to, czem lud polski w czasach największego upadku Polski stał i bronił się. Religja i wiara i uczciwa praca utrzymała lud przy polskości, wobec najkrwawszych prześladowań, wobec wysiłków germanizacyjnych.

Rząd, złożony z takich ludzi, nie może od nas domagać się przysięgi, brania na świadka Boga, w którego sam w większości nie wierzy.

»Ale Świętości nie szargać, bo trza, żeby święte były, a Świętości nie szargać: to boli!«*)

Jest źle w Polsce — to każdy widzi. Źle, bo przez setki, dziesiątki lat zaborcy tylko psuli i naprawić niczego nie dali. Każdy widzi, że naprawić wiele rzeczy koniecznie trzeba, ale nie rabunkiem, nie grabieżą i nie w ciągu kilku dni.

*) Wyspiański: »Wesele«, 2. scena 6.

Jest źle, jest bieda i naprawa stosunków przyjść musi, ale trzeba jąć się pracy rozumnie, z miłością wzajemną, z Bogiem, budować z Chrystusem. »Jeśli Pan nie zbuduje domu, próżno pracują ci, którzy go budują!« *)

My katolicy musimy zająć wyraźne, zdecydowane stanowisko. Trzeba stanąć wszędzie mocno i nie dać się zakrzywić tym, co dziś wyszli niewiadomo skąd, wiecznie grożąca i niezadowolona gromada, dziś uzbrojona w karabiny i wyciągająca rękę po rządy!

Potem — ostatnie nabożeństwo w więzieniu. Pożegnałem się serdecznie z więźniami, mieli łzy w oczach, a mnie też było dość niewyraźnie.

Następnie powiedziałem kazanie na sumie w kościele po-bernardyńskim. Kościół pełny. — Ewangelja św. o kłakolu, któremu Bóg pozwala rósć z pszenicą aż do żniwa. Nawiązując do myśli przewodniej, przeszedłem na stosunki obecne po wyjściu Austriaków, kiedy Polska rządzi się już sama. Tyle naraz wśród nas i koło nas kłakolu. Wszystko to powychodziło skądś, powypęłzało i narzuca swą opiekę i wolę. A to przeważnie tacy, którym wiara niczem była, co uważali, że dla nich Kościół, Sakramenty św. nie istnieją.

Rozwinąłem dalej myśli z przemówienia ранego w kościele Marjackim. Myśli, słowa szły same z dziwną jakąś siłą, która miała źródło jakby nie we mnie, ale poza mną.

Na końcu postawiłem pytanie: to Ty ludu polski pozwolisz, by Ci odebrano wiarę? To my te-

*) Ps. 126, 1.

raz w Polsce mamy wyrzec się Ciebie Chryste, utajony na naszych ołtarzach i Ciebie Panienko Jasnogórska? Ludzie! Czy Wy na to pozwolicie, by Wam deptano i wrywano wiarę z duszy? Kogo chcecie mieć panem w Polsce, — Chrystusa czy szatana?

Powstał szloch i płacz ogólny. Wszystko kończyło się przed Utajonym w ołtarzu Bogiem z silnym postanowieniem skupienia się dla obrony najświętszych dóbr i ideałów. Deus Israel, custodi hanc voluntatem! *) Boże ojców naszych pobłogosław tę naszą wolę!

R a d o m, 11. listopada 1918.

Plany co do powrotu na Śląsk przesunęły się na dalszą metę. Sytuacja wyjaśnia się w tym kierunku, że tymczasowy rząd lubelski bez ludowców nie utrzyma się i w Radomiu rządy czerwonej gwardji skończyć się muszą.

Wiadomości z gazet: Abdykacja cesarza Wilhelma II. i następcy tronu, bunt marynarzy niemieckich w miastach hanzeatyckich, ogłoszenie republiki niemieckiej z kanclerzem Ebertem — kiedyś majstrem rymarskim — na czele.

Zmiany niebywałe i wprost nieprawdopodobne. Wali się zupełnie potęga straszna, tak długo niezwyczęzona, organizm państwowy, który wytrzymał przez przeszło cztery lata napór całego świata i który do niedawna wszędzie zwyciężał, gdzie tylko uderzył. Runęła już ta pruska pew-

*) I. Paral. 29, 18.

ność siebie, runęła moc, ujarzmiająca i trzymająca w kleszczach dziesiątki milionów, niepokojąca swemi aspiracjami i swą zabobrzeością cały świat.

Wojna dziś już skończona.

W tym tygodniu padną chyba ostatnie strzały w tej strasznej, ohydnej wojnie, bezrozumnej, okrutnej. Tyle cierpień, tyle bólu, tyle ran, tyle krwi, zniszczenia! Coby to można stworzyć tą energją, wyładowaną li tylko w kierunku zabijania i niszczenia! Coby to można dać ludzkości za wszystkie bezpowrotnie zniszczone wartości! — Owoce, plony wojny choćby najidealniejsze, nie zrównoważą nigdy ofiar, jakie ludzkość poniosła.

Narody uwolniły się od gwałtu. Są wolne, zdobyły prawa, podeptane i ciągle deptane względami i interesami dynastycznymi. Dziś wyzbyły się kajdan.

Ludzkość odetchnie.

Oczy nasze patrzą ze zdumieniem, jak się tworzą nowe państwa. Zupełnie automatycznie, według postawionych tam za oceanem zasad Wilsona. — Coś niesłychanego! Ktoś stawia tam zasady, normy jakieś, a o setki, tysiące mil słucha wszystko, ustawia się, układa na nowo.

Oto potęga sprawiedliwości, potęga słuszności i prawa!

Europa zmieniła swój wygląd. Ułożenie sił zupełnie inne. Środkowa Europa będzie nie do poznania. Ustaną już chyba walki narodowościowe, bo nie będzie tarć ani punktów spornych, skoro wszystkie aspiracje powinny teraz być zaspoko-

jone. Ucierpi na tem prawdopodobnie poczucie pa-
trjotyzmu i poczucie narodowe, skoro nie będzie
już w tym kierunku żadnego nacisku ani ucisku.
— Zaczną się zato walki socjalne, tarcia w kie-
runku najkorzystniejszego ułożenia sobie życia,
walka o wyrównanie różnic majątkowych i kla-
sowych.

Świat podzieli się w doborze środków na dwa
wielkie obozy: jeden załatwiający wszystkie aspi-
racje i dążności w zgodzie z sumieniem, etyką, de-
kalogiem, Chrystusem — drugi materialistyczny,
nie oglądający się na żadne zasady moralności re-
ligijnej.

Nastąpi podział duchów na dwa wielkie obo-
zy: chrześcijański i materialistyczny. —

Od ośmiu dni toczą się krwawe walki na uli-
cach Lwowa o poszczególne dzielnice. Polacy
osaczeni przez Rusinów, popieranych przez była
armję austriacką Boehm-Ermolli. Wiadomości do-
chodzą przez lotników. Walczą starcy i chłopcy
14letni, dziewczęta nawet. U nas ludzie bawią się
w zamachy stanu, rządy lubelskie, rozdaje się
broń dla teroryzowania spokojnej ludności, opo-
wiada się o bohaterstwach ludu roboczego, o cu-
dach przy rozbijaniu okupantów, choć okupanci
sami się rozbijali i broń oddawali, tworzy się le-
gendy o wywalczeniu wolnej Polski przez robo-
tników, brednie w które nikt nigdy nie uwierzy,
kto własnymi oczyma na wyzwolenie się Polski
z niewoli patrzył — a tam garstka najdzielniej-
szych skazana na zagładę, a z nią i bohaterski,
polski Lwów.

R a d o m, 14. listopada 1918.

Warszawa w rękach polskich! Dnia 11. b. m. oczyszczono Warszawę z Niemców. Budynki rządowe, koleje, posterunki obsadzone przez wojsko polskie.

W Niemczech rewolucja, żołnierze tworzą rady żołnierskie, Wilhelm II. uciekł do Holandji, cesarz austriacki Karol abdykował.

Piłsudski wrócił z Magdeburga, wypuszczony stamtąd przez niemiecki rząd rewolucyjny i zabrał się do tworzenia rządu narodowego z przedstawicieli wszystkich stronnictw i dzielnic.

Dziś wszystko czeka, nadsluchując wieści z Warszawy, dokąd zjechali się przedstawiciele stronnictw, wezwani przez Radę Regencyjną depeszą następującej treści: »Okupacja niemiecka ustała, wzywamy wszystkich przedstawicieli stronnictw, by przybyli do Warszawy i utworzyli rząd narodowy.«

Wczoraj przyszła do mnie delegacja pań ze znaną ze swej niezmordowanej pracy narodowej i społecznej p. Wroncką na czele i zaproponowała mi, bym jeszcze jakiś czas w Radomiu pozostał celem organizowania na tutejszym terenie sił i ludzi, nie stojących na gruncie socjalistycznym i antykatolickim. Wartałoby rzeczywiście rozruszać trochę Radom, zjednoczyć ludzi dobrej woli, obudzić czynny katolicyzm, wyrwać z panującego wszechwładnie indyferentyzmu i liberalizmu religijnego i narodowego. — Obiecałem pomóc w tej robocie, póki będę w Radomiu.

R a d o m, 16. listopada 1918.

Poznańskie w rękach polskich! Pisma wielkopolskie ogłaszają odezwę Komisarjatu Naczelnej Rady Ludowej z 14. b. m., podpisaną przez ks. St. Adamskiego, Wojciecha Korfantego i Adama Poszwińskiego. Odezwa zapowiada utworzenie Naczelnej Rady Ludowej jako przedstawicielstwa wszystkich Polaków, zamieszkałych na ziemiach, objętych dotąd granicami państwa niemieckiego i kończy następującym apelem:

»Polacy! Z morza krwi unosi się Biały Orzeł odrodzonej Polski, spełnienie naszych tęsknot, pragnień i nadziei, które nas krzepiły w ciężkich przejściach narodowych.

Stańmy więc do szeregu, by utrwać podwaliny nowej Polski!

Polacy! Chwila obecna żąda od nas spokoju, napięcia wszystkich sił, poświęceń materialnych, karności i zgody!«

Walka bohaterska o Lwów trwa dalej. Komenda wojsk polskich ogłasza 13. b. m. taki komunikat: »Odparto i zmuszono do uciezki oddziały ukraińskie, następujące na Wólkę i szkołę kadeczką. Posterunki nasze odparły silne ataki w ul. Meiselsa, Tercjarskiej i Rappaporta. Nieprzyjaciel, otrzymawszy świeże posiłki, wysadzone na dworcu Podzamcze, uderzył większemi siłami na Janowskie. Oddziały rotm. Pomiana odrzuciły go poza linje wypadowe, odebrały koszary trenu piechoty chwilowo przez niego zajęte, wyrwały

mu z rąk most kolejowy z ul. Źródlanej na ulicę Graniczną po kilkakrotnej walce. — Oddział chor. Rydla, wsparty przez podchor. Góreckiego J., po dwugodzinnej walce zmusił do powrotu Ukraińców, usiłujących przedrzeć się ze Zboisk na Zamarstynów. Pojmano tam do niewoli 1 oficera i 3 żołnierzy. Zastępca oficera Presz Wł. wyparł nieprzyjaciela z ul. św. Marcina i Zborowskich. Ponowny atak nieprzyjacielski w tymże kierunku po godzinnej zaciętej walce załamał się dzięki sprawności dowództwa ppor. Pfeiffera i niezwykłej odwadze ogniomistrza karabinów maszynowych sierż. Piszka Piotra. Nieprzyjaciel atakował tu, idąc w poczwórnej linii tyralierskiej w sile około 150 ludzi. W walce tej zdobyto 15 ręcznych granatów i 12 karabinów. — Oddział nasz, prowadzony przez plutonowego Barańskiego Edwarda, zmusił do cofnięcia się pociąg ukraiński, zdążający na dworzec Podzamecze. Kapitan Boruta uderzył od strony Sygniówki na wojska ukraińskie, stojące pod Kulparkowem. Rozbił je i wyrzucił za cmentarz kulparkowski.

Atak ukraiński, prowadzony wielkimi siłami z Hołoska Wielkiego na Kleparów i Górę Stracenia, odparto. Kleparów i Zamarstynów chwilowo przez nieprzyjaciela zajęte, odebrano. Rozgromione oddziały ukraińskie wyparto aż pod Podzamecze. Wzięto jeńców, dużo broni i amunicji.«

Naczelnym komendantem we Lwowie jest profesor, kapitan artylerji Czesław Mączyński, szefem sztabu por. Łapiński. W pierwszej chwili siły polskie liczyły 40 ludzi!

R a d o m, 17. listopada 1918.

Wczoraj wieczorem odbyło się zebranie organizacyjne stowarzyszenia kobiet »Zjednoczenie Polek«. Ze potrzeba podobnego zrzeszenia wibrowała w powietrzu i w sercach tutejszych Polek, najlepszym dowodem, że stawily się tak liczne rzesze kobiet, że duża sala »Macierzy szkolnej« przy ul. Skaryszewskiej okazała się na zebranie za małą. Organizatorkami są panie: Guerquin Zofja, Przyjałkowska Zofja, Słomińska Teresa, Zarebina Władysława i Wroncka Stanisława. Przy dobrych chęciach i pomocy Bożej »Zjednoczenie Polek« wpłynie dodatnio na opinię i kierunek pracy w Radomiu, pchnie niezorganizowany jeszcze ogół do pomocy w budowaniu i urządzaniu Ojczyzny.

Na Śląsku nieporozumienia z Czechami, którzy wbrew umowie, zawartej z Radą Narodową dnia 5. b. m. co do granic obu państw, widząc teraz ciężkie położenie Polski, brak wewnętrznej konsolidacji narodu i trudności w obronie granic, wyciągają rękę po cały Śląsk po Dziedzice i Bielsko, twierdząc, że Śląsk im się należy, bo kiedyś należał do Czech i że ludność śląska, dawniej czeska, została w Austrii spolonizowana!

Ze wszystkich stron Polski widnokrąg zaciemnia się. Trudno inaczej, jeżeli w samej Polsce, w jej sercu, dotąd sytuacja bardzo niejasna.

Słychać, że pretensje czeskie co do Śląska pochodzą jeszcze z czasów przedwojennych, kiedy Czesi spiskowali z Francją w sprawie rozbicia monarchji austriacko-węgierskiej i za tę robotę obiecano im po cichu cały Śląsk. Dziś zobowiąza-

nia koalicji, a głównie Francji wobec Czechów za ich robotę destrukcyjną względem Austrii w czasie wojny znacznie się zwiększyły.

R a d o m, 19. listopada 1918.

W niedzielę miałem po południu w sali »Macierzy szkolnej« odczyt o chwili obecnej. Omawiałem rządu warszawskie Piłsudskiego, który siłą usunął Radę Regencyjną, zachowując wszelkie pozory legalności; teraz kieruje świadomie w swoją stronę, zamianował premierem Daszyńskiego, godzi się na program rządu lubelskiego i ignoruje przy tworzeniu rządu takie dzielnice, jak Wielkopolska i Śląsk.

Oświebliłem odpowiednio i rządu radomskie oraz teror, narzucony Polsce ze strony jednej partji.

Wyjaśniając między innymi słowo »burżuj«, powiedziałem, że komisarz ludowy radomski, tow. Aleksy Rzewski, były robotnik, uważający się za przedstawiciela proletariatu, wykrzykujący na wiecach ulicznych na burżujów, bierze za jeden miesiąc po dwutygodniowym urzędowaniu 3300 K, czyli dwa razy tyle, co brał generał austriacki.

W poniedziałek wezwano mnie przed oblicze komendanta wojskowego okręgu radomskiego, obecnie już kapitana Marjańskiego. — W kilka dni zdołał zaawansować z podporucznika na kapitana. — Kapitan Marjański oświadczył mi »w imieniu prawa«, że mam w przeciągu 24 godzin opuścić Radom.

Zaprotestowałem przeciw temu stanowczo jako wolny obywatel w wolnej Polsce i oświadczyłem kategorycznie, że nie wyjadę. Na groźbę, że ma do dyspozycji siłę, powiedziałem, że zgadzam się na spróbowanie tej siły — ja mam za sobą prawo i siłę moralną.

Na zarzuty, że buntuję lud przeciw rządowi i armji, oświadczyłem, że rządu na razie żadnego nie ma — w Radomiu jest władza nielegalna, samowładna, a przedewszystkiem stronnicza. Ogłoszona zaś przez tę władzę i głoszona wciąż szeroko wolność słowa i przekonań upoważnia mnie do poczynania w celu skupienia żywiołów, nie godzących się na obecną tak niebezpieczną politykę partyjną w Polsce.

Wieczorem przysłał po mnie żandarma sam komisarz ludowy tow. Aleksy Rzewski. Zarzucił mi oszczerstwo i kłamstwo, które popełniłem na odczycie, twierdząc, że »Rzewski pobrał za dwa tygodnie 3300 K«. — Wyjaśniłem, że tego nigdy nie utrzymywałem, bo powiedziałem, że pobrał sam z kasy powiatowej, pozostawionej przez Austriaków, za jeden miesiąc 3300 K po dwutygodniowym urzędowaniu. Wszystko jedno, czy mu przyznano te pieniądze, czy je wziął bez upoważnienia — kwit widziałem na własne oczy — główna rzecz, że je ma w kieszeni, wyzyskując sytuację obecną jak najzwyklejszy burżuj, a nie »obronca ludu«.

Dyskusja stała się, rzecz prosta, bardzo ożywiona. Byłem pewny, że powędruję do więzienia.

Postawiłem wszystko na kartę, nie cofając się już przed niczem.

W trakcie dyskusji przyszedł ks. kanonik Rokoszny i sprawa przybrała inny obrót.

Nie byłbym w stanie powtórzyć dokładnie tego »miłego« dyskursu. Oświadczyłem, że sprowadzanie mnie do komisarza przez żandarma, rozkaz opuszczenia Radomia, jest nadużyciem władzy, gdyż jest powodowane osobistymi względami. — Dalej zapowiedziałem, że z Radomia nie pójdę, zostanę tu jak długo sam zechcę i że nadal w tym samym duchu ludność tutejszą uświadamiać będę; przywileje w Polsce zniesione, jesteście wszyscy równi, więc do przemówienia na odczytach i zgromadzeniach mam równe prawo co i tow. Rzewski i tow. Daszyński. Jako Polak mam prawo nazwania złem tego co złe, choćby to zło popełnił sam komisarz ludowy.

Na zarzut, że wprowadzam politykę do kościoła, odpowiedziałem, że religja jest na to, by regulowała i normowała wszystkie objawy życia, tak osobistego jak publicznego. Katolikom nie wolno dziś milczeć, gdy socjaliści, zwalczający katolicyzm, rozpierają się w Polsce. W powstaniu Polski katolicyzm, duchowieństwo ma także swoje zasługi, więc może teraz zgłaszać pewne prawa. Socjalizm ma swoją politykę, Kościół swoją. W każdym razie temat kazań w kościele i nauk nie od komisarza ludowego zależy. Te rzeczy należą do innej władzy, od rządu lubelskiego i tow. Rzewskiego niezależnej.

Fakt, że chciano mnie wydalić z Radomia, rozniósł się po mieście. Na zebraniu w tej sprawie

uchwalono wysłać do komisarza deputację z protestem.

Uprzedził to wszystko ks. kanonik Rokoszny, który wogóle od pierwszej chwili mego pobytu w Radomiu odnosił się do mnie z wyjątkową wprost dobrocią, przyjaźnią i serdecznością i wobec którego mam dużo zobowiązań. Poszedł do komisarza Rzewskiego, trafiając właśnie na rozmowę naszą, prowadzoną z całą bezwzględnością, oświadczył Rzewskiemu, że nastawianie na wykonanie rozkazu opuszczenia Radomia wywoła w mieście wzburzenie i niemiłe skutki.

Po naradzie z kap. Marjańskim cofnięto wydany rano rozkaz.

Poprosiłem o to na piśmie. Oryginalny ten dokument*) brzmi dosłownie jak następuje:

»Na skutek wstawiennictwa ks. kanonika Rokosznego odwołuje się wydane poprzednio rozporządzenie i pozwala się przebywać ks. Ściskale w Radomiu pod warunkiem zaniechania podburzania ludności przeciw Rządowi Ludowemu w kościołach.«

Radom 17. XI. 1918, pieczętka: Dowództwo okręgu wojskowego Radom.

Podpis: Stefan Tworkowski pp.

Więc tylko w kościołach nie wolno — gdzie indziej wszędzie można. — Nie spodziewałem się nigdy, że zmartwychwstała Polska odrazu będzie dla mnie tak gościnna i łaskawa.

*) Złożony w Muzeum Diecezjalnem w Sandomierzu.

R a d o m, 21. listopada 1918.

Dnia 18. b. m. powołał Piłsudski rząd ze stanowczą przewagą socjalistów, premierem jest Moraczewski. Program tego rządu jest prawie identyczny z tem, co ogłosił rząd lubelski przed dwoma tygodniami.

Szereg stronnictw ogłasza protesty przeciw jednostronnej robocie Piłsudskiego, »który otrzymawszy z rąk Rady Regencyjnej mandat utworzenia rządu narodowego, nie spełnił przyjętego na siebie obowiązku, powołując do życia gabinet partyjny, który za rząd narodowy żadną miarą uznać być nie może«. (Koło międzypartyjne.)

»Przeciw takiemu załatwieniu sprawy rządu polskiego wbrew naszym przedstawieniom jak najformalniej się zastrzegamy i oświadczamy, że za nie żadnej odpowiedzialności ponosić nie możemy. Rząd świeżo ustanowiony nie jest rządem narodowym i nie może liczyć na zaufanie całego kraju.« (Stronnicstwo nar.-dem. Galicji i Śląska.)

»Komendant Piłsudski ugiął się przed żądaniem swej partji, gdyż zgodził się na utworzenie rządu partyjnego, złożonego z członków samozwańczego rządu lubelskiego.« (Zjedn. Narodowe.)

R a d o m, 25. listopada 1918.

Wczoraj był Radom świadkiem imponującej uroczystości narodowej, w której wzięło udział kilkanaście tysięcy uczestników z miasta i z całego powiatu, by zamanifestować swoje stano-

wisko wobec rządu i tego, co się dziś w Polsce dzieje.

Po nabożeństwie w kościele Marjackim ruszył olbrzymi pochód ul. Skaryszewską, Lubelską, na plac 3. Maja, Długą i Kościelną, gdzie się rozwiązał. Po drodze wygłoszono szereg przemówień, przyjmowanych z ogromnym zapalem.

Z wszystkich mów biła żywa radość z odzyskania niepodległości, ale zarazem troska o przyszłość państwa, zepchniętego odrazu na niewłaściwe tory rozwoju.

Na życzenie komitetu tej uroczystości przemówiłem z balkonu mieszkania pp. Lamparskich koło kościoła Marjackiego. Wskazałem na znaczenie tego pierwszego święta w wolnej Polsce.

To podzięką Bogu i Marji za zakończenie wojny światowej, co przeszła przez Polskę jak huragan, to podzięką za zmartwychwstanie, za powołanie do życia, do wolności naszej Ojczyzny, skutej przez dziesiątki lat w kajdany, strzeżonej przez trzech zaborców.

Dziś od kilkunastu dni Polska wolna. Za to my dziś dziękujemy, Te Deum, Magnificat śpiewamy. Ale równocześnie i prosimy, by Bóg, co w tak dziwny sposób powalił tyranję państw zaborczych, co z tej wojny dał wstać Polsce, by pomógł tę Polskę i urządzić i uporządkować w jedności, zgodzie i miłości.

W Polsce na razie jeszcze ciężko, ale może być dobrze, jeżeli się dobrze rządzić potrafimy. Trzeba, żeby było wszystkim dobrze, co w tej Polsce żyją, za Polskę cierpieli, po polsku czują. Wszystkim bez różnicy stanu. Polska przy zgodzie

wystarczy dla wszystkich, bo wielka i szeroka. Wszyscyśmy za nią cierpieli, wszyscy mamy do niej prawo, w pierwszym rzędzie rdzeń narodu, polski lud. Ale lud, »którego panem Bóg jego«, jak mówi psalmista, lud z wiarą w duszy, bośmy wiarą stali w czasie nieszczęść i prześladowań.

Orzeł Biały i Panienska Jasnogórska, to nasz sztandar w nowej Polsce. Te, co dziś w Polsce powiewają, partyjne, czerwone — spadną same z dzisiejszej wysokości, jak spadły rosyjskie i austriackie przez dopust Boży.

Nas tu więcej, siła taka, że aż duszę coś roz-piera — a z nami Bóg!

Dzisiaj zamęt, bo niewolą »duch zatruty«, ale hasła Boże i polskie wnet wezmą górę i Polska przy wspólnej pracy uczciwej i zgodzie stanie się świątynią, w której znajdzie swe miejsce chłop i robotnik, mieszczanin i pan.

W Polsce miejsca dość dla ludzi — trzeba zrobić jeszcze w sercach wszystkich miejsce dla jedności, miłości, zgody i bojaźni Bożej!

Kiedy pochód znalazł się na placu 3. Maja, spotkał się z pochodem, urządzonym przez socjalistów, liczącym kilkaset ludzi. W czasie przemówienia ks. Popkiewicza pochód socjalistyczny, idący z przeciwnej strony, skręcił i wbił się w tłum, prąc w kierunku hotelu Europejskiego. Część minęła już pochód narodowy, gdy oderwało się od środkowej grupy socjalistycznej kilkudziesięciu ludzi i rzuciło się ku najbliższemu sztandarowi, trzymanemu przez włościanina z Wsoli. Część napastników natarła na sztandar z Matką Boską Częstochowską, część zaś zaczęła bić kija-

mi uczestników pochodu. Nagłość napadu wywołała zamieszanie, które nie pozwoliło obronić sztandaru, oraz umożliwiła podarcie go w strzępy. To »zwycięstwo« natchnęło odwagą atakujących, którzy rzucili się jeszcze na sztandar Zjednoczenia Polek, zerwali z niego obraz Matki Boskiej, podarli na kawałki i zdeptali w pyle ulicznym.

Do tego doprowadziło zastosowanie socjalistycznych haseł w Polsce.

Bolesny ten i wiele mówiący incydent otworzył oczy społeczeństwu, które dotychczas nie zdawało sobie sprawy z niebezpiecznej, dwulicowej gry partyj lewicowych i będzie z pewnością głośnym apelem, by stanąć do pracy ku obronie Boga i Ojczyzny.

Wczorajsza uroczystość narodowa i pochód wspaniały wykazał siły zdrowo myślącej części narodu i pomimo szalonej kontragitacji skupił pod sztandarem dziesiątki tysięcy ze wszystkich stanów. Taki przegląd sił jest konieczny, dodaje bodźca do pracy, do organizowania, uświadamiania i skupiania ludzi dobrej woli. A w Radomiu to bardzo potrzebne, bo tu socjalizm terroryzował opinię publiczną jeszcze od 1905 roku i miasto to należało stale do najradykałniejszych i najbardziej niespokojnych.

Nie jest tak źle, jakby się zdawało. Większość narodu myśli zdrowo. Brak mu tylko odwagi przekonań, ale gdy w Polsce w miejsce frazesu zapanuje zdrowy chłopski rozum, a sumienie stanie się regulatorem wszelkich poczynań, to Polska odnajdzie swe właściwe oblicze.

R a d o m, 28. listopada 1918.

Odsiecz Lwowa, zorganizowana pod dowództwem gen. Rozwadowskiego, przyniosła dnia 22. listopada oswobodzenie bohaterskiego miasta.

W Radomiu w dalszym ciągu rządu czerwonej gwardji, znać jednak jakby pewne zakłopotanie i otrzeźwienie po wypadkach niedzielnych. Zrozumiano widocznie, że wszędzie i we wszystkim trzeba przestrzegać granic.

Dla mnie rozpoczęły się ciężkie dni, bo jestem jakby wyjęty z pod prawa. Każdy pochód socjalistyczny, a jest ich teraz dużo, zatrzymuje się przed moim mieszkaniem i wznosi różne okrzyki, rzecz naturalna nie na moje długie życie i zdrowie, przychodzą samozwańcze delegacje, nazywające się reprezentantami ludu roboczego i wzywają mnie przed sąd partyjny, a że to dzieje się i w nocy, więc od kilku dni przebywam u siebie tylko za dnia, a nocuję gdzie indziej.

Jednak za nic w świecie nie ustąpiłbym teraz ze stanowiska.

Zresztą Pan Bóg nie skąpi przy tem wszystkim pociech i radości, zalewa mnie wprost niemi.

Ile razy znajdę się w kościele, to proszą do konfesjonału, a tam szczególnie po ostatniej niedzieli tyle serc biednych, dotychczas karmionych tylko nienawiścią, wraca do Boga, odnajduje dawno utracony pokój, równowagę duchową i prawdziwą radość z życia.

Okazuje się, że na dnie duszy polskiej jest zdrowy rdzeń — jest przedewszystkiem ogromne

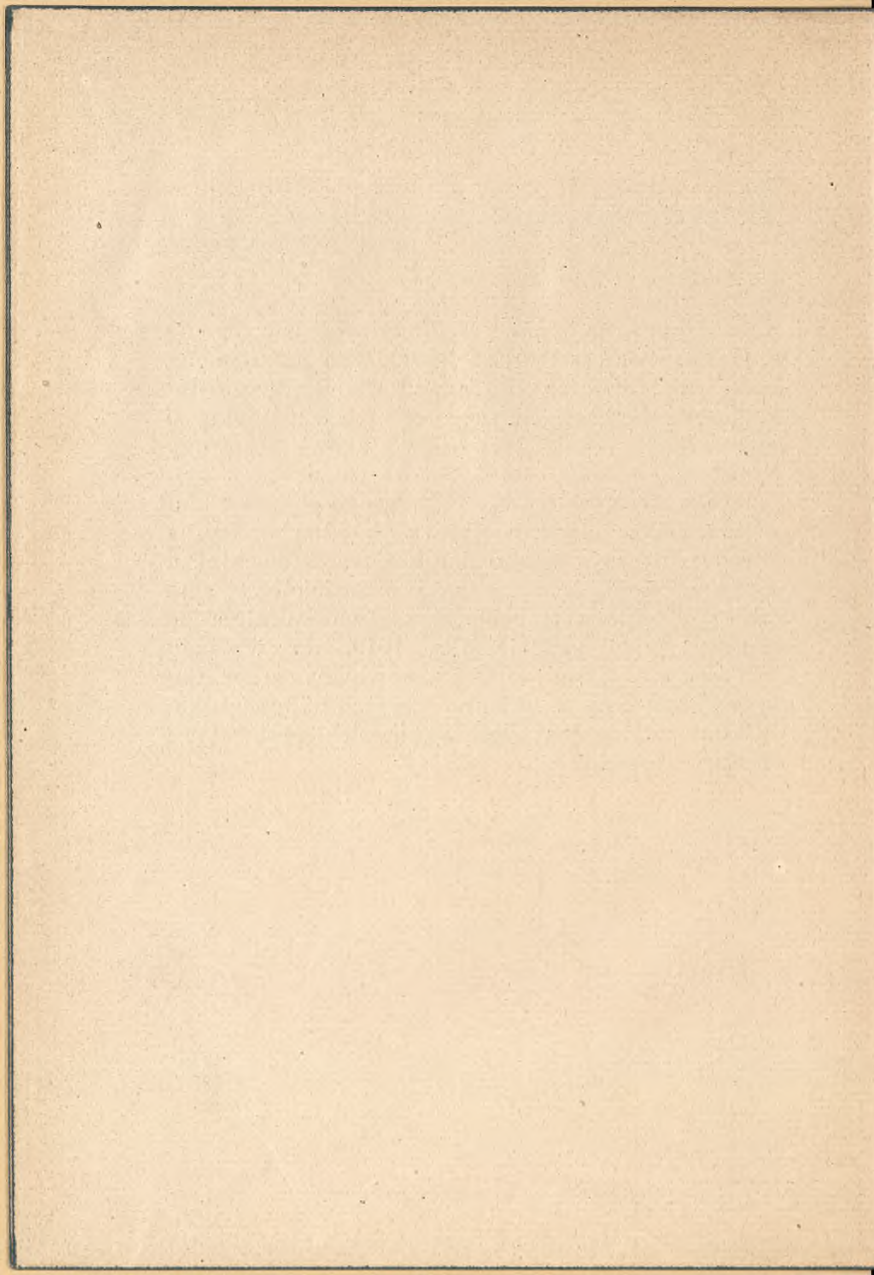
przywiązanie i cześć do Matki Boskiej. I gdyby tę część ożywić, to przez Marję zdobędziemy lud, zdobędziemy Polskę.

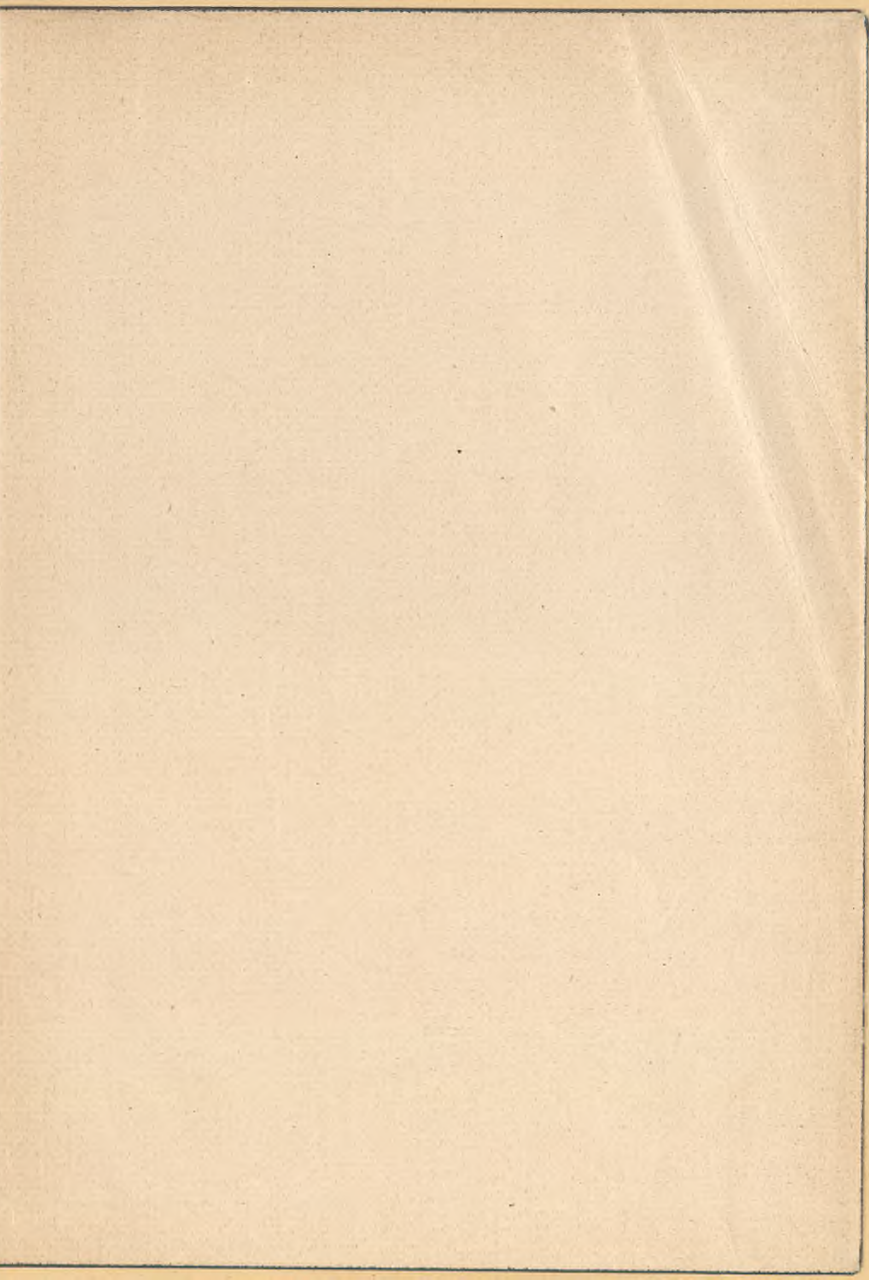
W ciszy konfesjonału, wobec tych niezgłębionych tajemnic działania dobroci i łaski Bożej, wśród zamętu ogólnego i obecnych przejść nauczyłem się dziękować Panu Bogu, że »z gnoju wywyższył ubogiego«, że jestem księdzem katolickim, co musi mieć w życiu dużo gorzkości, bo »nie może być większym od Mistrza swego«, ale zato ma więcej niż kto inny radości, płynącej z Ołtarza i z misternej Bożej pracy nad duszami.

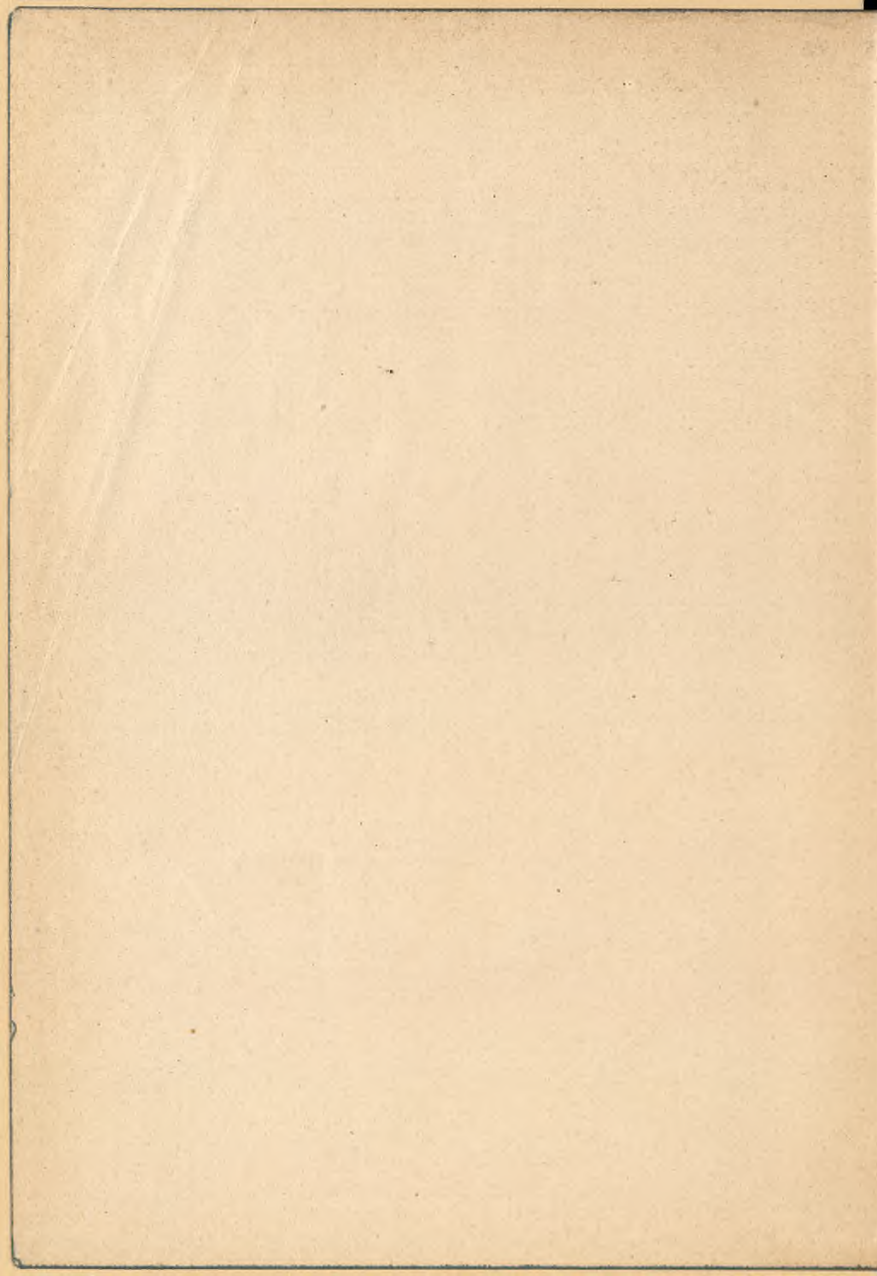


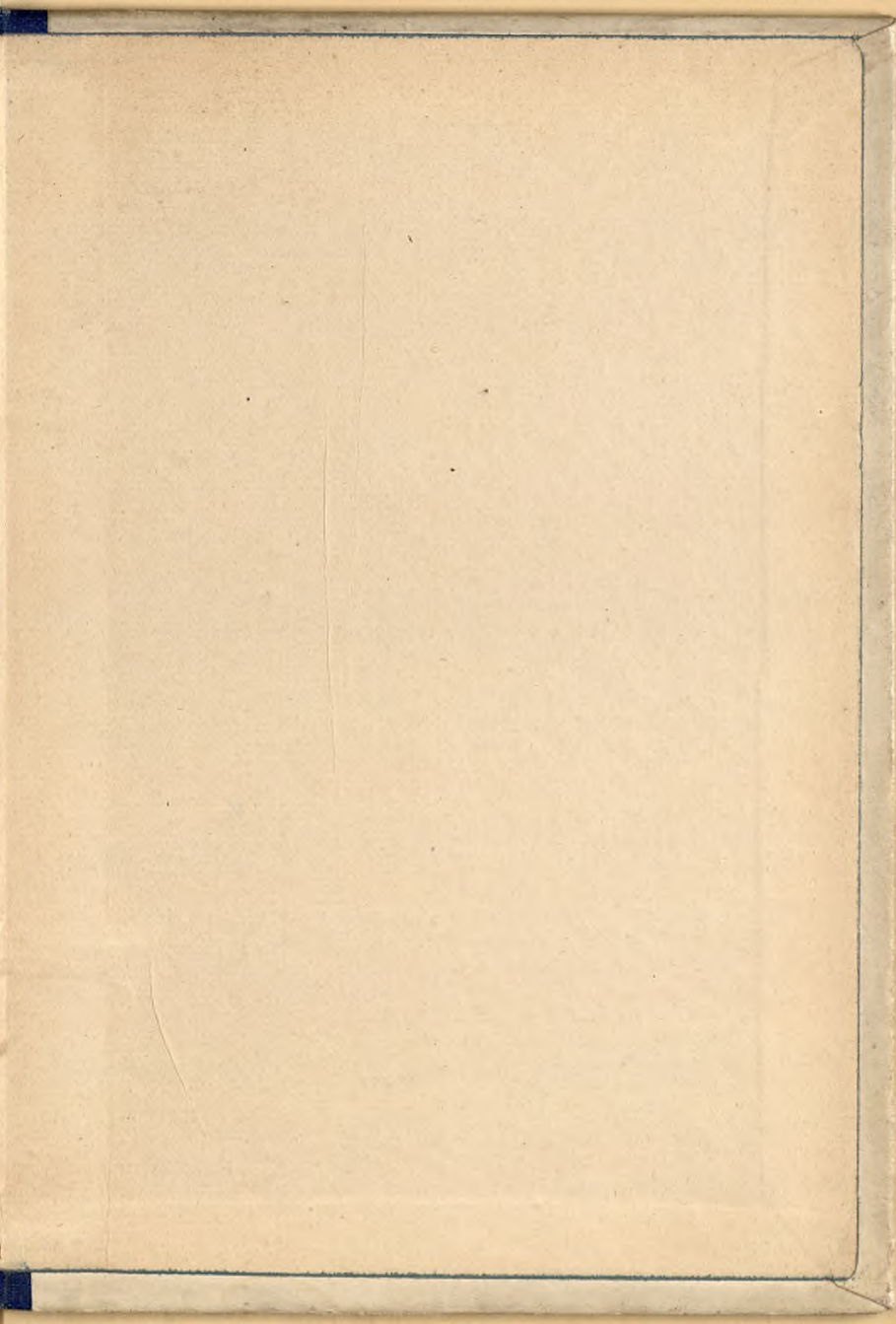
Pobyty w Radomiu przedłużył się na życzenie J. E. Ks. Biskupa Ordynariusza Ryxa z Sandomierza i Ks. Biskupa Sufragana Kubickiego. Ułatwiła zaś ten pobyt życzliwość wielu dobrych serc i dusz, rosnąca w miarę ataków ze strony przeciwnej.

Przyszły wybory do pierwszego Sejmu Ustawodawczego, ożywiona praca przedwyborcza na terenie diecezji sandomierskiej i kieleckiej, a potem spokojniejsza znacznie w kościele w charakterze rektora po-bernardyńskiego kościoła do pierwszych dni października 1919, do wyjazdu do Cieszyna, dokąd zostałem powołany przez Radę Narodową, by w imieniu »Związku śląskich katolików« stanąć na czele akcji plebiscytowej na Śląsku Cieszyńskim.









Biblioteka Śląska *Komp.*

C 034222

I

W